M.B. im. L.W. w Łodzi

Rys. Dariusz Romanowicz

Zamknięta brama do szwedzkiego raju str. 14
Radny Kantyka ujawnia... str. 7
Jak piękna hrabianka straciła cnotę str. 11
Sekretne marzenia trzynastolatka str. 6

Spokojnych świąt życzy zespół „ODGŁOSÓW"

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 15 (1372) ROK XXXIII 15 KWIETNIA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

JERZY DŁUŻNIEWSKI: — Była to „Solidarność" nie tylko z nazwy, lecz także, a może przede wszystkim z działań.

Wysadziliśmy czerwonych z siodła

Rozmowa z JERZYM DŁUŻNIEWSKIM, posłem OKP z województwa łódzkiego.

— Kiedy „Solidarność" stawała do wyborów, czy miał pan świadomość, że nastąpi takie błyskotliwe zwycięstwo drużyny Lecha Wałęsy?

— Raczej nie. Szliśmy ławą, żeby kontrolować komunistów. Mówiliśmy sobie: będziemy czerwonym patrzeć na łapy, walić po tych łapach, mało kto przypuszczał jednak, że potrafimy ich wysadzić z siodła. PZPR już nie istnieje, ale komuniści zostali, stanowią wciąż najsilniejszą zorganizowaną siłę. Inni się jeszcze nie zorganizowali, dlatego trudno przewidzieć, co się jeszcze może stać.

— Czy to nie nadmierna ostrożność?

— Sądzę, że nie należy popadać w zachwyt. Trzeba zachować ostrożność i bardzo uważnie śledzić wszystko, co się dzieje.

— Ale w OKP daje się zauważyć nutki tryumfalizmu...

— W OKP nie ma takiego nastroju. Co prawda zdarzają się wyjątki, ale większość z nas patrzy na to z przerażeniem. Choć oczywiście nasz klub nie jest jednolity. Poza parlamentem powstają grupy bez programów politycznych albo o programach tak identycznych, że trudno je odróżnić, nie przedstawiają jednak większej siły. Niekiedy znajdują one jednak swoich rzeczników w OKP. Nie byłoby dobrze, gdyby w naszym kraju pojawiło się wiele nie znaczących partyjek bo rozszarpią Polskę na strzępy. Mam nadzieję, że ostatecznie wyłoni się kilka partii politycznych, co pozwoli bez obaw skrócić obecną kadencję Sejmu. Tymczasem nie jest z tym najlepiej. W takiej Łodzi ujawniają się partie liczące 20 członków. Nawet Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe zrzesza ledwie 200 osób. Cieszyłbym się, gdyby któreś z działających w Łodzi ugrupowań mogło o sobie powiedzieć, że ma 200 tys. zwolenników.

— Czegoś nie rozumiem. Jeśli uznaje pan, że jedynym groźnym przeciwnikiem są pogrobowcy komunizmu, skąd biorą się wezwania do zachowania jedności w OKP? Nic tak nie integruje jak wspólny wróg.

— To oczywiste, ale w Klubie znaleźli się także ludzie bardzo ambitni. Sam Geremek i trzon OKP skupiony wokół niego apeluje: panowie, nie niszczmy tego, co jest, przyjrzyjcie się drugiej stronie. Mimo rozdarć czerwoni będą dążyli do zjednoczenia, nie wolno nam pozwolić sobie na rozłam.

— Czy rzeczywiście grozi rozłam?

— Oceniam, że do rozłamu dąży jakieś 12—15 procent posłów naszego klubu. Może to margines, ale niebezpieczeństwo istnieje.

— Czy nie dmucha pan na zimne?

— Te tendencje daje się zauważyć w niektórych wystąpieniach sejmowych. Niektórzy koledzy wyłamują się z kierunku przyjętego przez OKP. Nie wiem, czy daje się to zauważyć podczas przekazów telewizyjnych z parlamentu, niekiedy jednak sami musimy wyciszać posłów z naszego klubu, bo te wystąpienia nikomu nie przynoszą zysku. Czerwoni są przeciwnikiem, ale w parlamencie musi obowiązywać kultura polityczna, nie ma powodu, aby demonstracyjnie obrażać drugą stronę. Sądzę zresztą, że w ogóle powinniśmy mniej mówić, a raczej realizować cele. Nasz OKP jest rozgadany, czasem niepotrzebnie dajemy się prowokować. Nad ustawą budżetową debatowano dwa dni, ostatecznie przeszła właściwie bez poprawek. To znaczy, że strasznie się rozgadaliśmy, a kiedy została do załatwienia sprawa tak ważna jak rozwiązanie SB nie było już kworum. A więc pewne siły działające w Sejmie postarały się o takie zagospodarowanie czasu, aby zabrakło go na istotne decyzje. Jeśli występuje 22 czerwonych, to wcale nie znaczy, że dla równowagi z naszej strony musi przemawiać 23 posłów. Staram się nie zabierać głosu, jeśli z przebiegu debaty widać, że przybrała korzystny dla nas kierunek. Partyjniacy są zaciętrzewieni. Niekiedy głosują nie tyle powodowani słusznością, co przeciw OKP. Niestety, podobnie bywa u nas.

— A więc dajecie sobie narzucić taktykę?

— Właśnie i to jest błąd.

— A co z etosem „Solidarności"? Co realizuje się z tych wartości, które zapewniły OKP zwycięstwo wyborcze?

— Na to niełatwo odpowiedzieć. Szliśmy przecież jako jedna drużyna, choć już wtedy „Solidarność" nie była jednolita. Wielu nie wierzyło w możliwość rozbicia czerwonych i było przeciwnych 35 procentowym wyborom. Jednakże my, skupieni wokół Lecha Wałęsy, mieliśmy dalekosiężny plan: chcieliśmy zmienić konstytucję, spowodować uchwalenie szeregu ustaw, aby następny Sejm został wybrany w sposób całkowicie demokratyczny. Doprowadziliśmy, niejako przed czasem, do rozwiązania PZPR. A skoro kontrahentem przy „Okrągłym stole" była PZPR i jej satelici, rodzi się pytanie, czy tamten kontrakt jeszcze obowiązuje. Przyznam się, że układu z czerwonymi nigdy nie traktowałem poważnie, uważałem go za uchylenie furtki. Naszym celem było otwarcie bramy. Zawsze byłem bezkompromisowy, należało system zburzyć od środka. Dlatego wzbraniam się przed wspólnym występowaniem w TV z posłami PZPR. Nie chcę, aby społeczeństwo mylnie zrozumiało, że podaję tamtym rękę. To są przeciwnicy polityczni. Poza tym trzeba ich rozliczyć za to, co zrobili z Polską. Ale skoro premier Tadeusz Mazowiecki uznał, że należy przeszłość odkreślić grubą krechą, muszę się podporządkować.

— Jednak przeszłość trudno jest wymazać z pamięci...

— To jest bardzo trudne, a nawet, do końca, chyba niemożliwe. Na razie trzeba dążyć do demokratycznych wyborów. Było było kogo wybierać.

— Czy nie sądzi pan jednak, że pomimo przywoływania etosu „Solidarności" mamy dziś do czynienia z innym związkiem?

— Cóż, czas nie stoi w miejscu. Potrafiliśmy kiedyś w zakładzie pracy upomnieć się o straż pożarną czy pielęgniarki, bo tamci sami nie mogli walczyć o swoje prawa. Była to „Solidarność" nie tylko z nazwy, lecz także, a może przede wszystkim z działań. Nawet w surowych rygorach stanu wojennego, w konspiracji dzieliliśmy się wzajemnie wszystkim, świadczyliśmy pomoc. Wtedy, kiedy dostało się paczkę, nikt nie ośmieliłby się pójść na rynek, aby sprzedać jej zawartość. Szukało się ludzi potrzebujących pomocy, nie było nawet ważne, czy ten potrzebujący należał do „Solidarności". Nie wypisywaliśmy się nigdy ze związku, płaciliśmy składki przez te 9 trudnych lat. Uważaliśmy, że wierność „Solidarności" polega na pomaganiu innym ludziom. Niestety, dziś się tego prawie nie widzi, ludzie zrobili się łapczywi.

— Na tle tych wspomnień, jak pan ocenia wybory do zarządu regionu?

— Było to coś, co mnie przerażało: te wszystkie pomówienia, plotki, dyskryminacja ludzi, którzy pracowali dla związku po 13 grudnia 1981. Posądzano ich przecież o różne machloje, manipulacje. Nie ubiegałem się o stanowisko w związku, bolało mnie to jednak, bo po opuszczeniu więzienia, od r. 1984 kierowałem regionem, uczestniczyłem także w pierwszej „krajówce". W tym czasie Bogdan Lis i Zbyszek Bujak jeszcze się ukrywali. Organizując RKW nawiązałem kontakt z o. Stefanem Miecznikowskim bo Kościół dysponował dużymi możliwościami pomocy. Na rzecz podziemia pracowało wielu studentów i rencistów, na nich opierał się kolportaż, udostępniali lokale albo nawet sami byli drukarzami. Głęboko zakonspirowani musieli omijać kościół, nigdy nie zgłaszali się po pomoc, bo kościoły były pod obserwacją, w tłumie uwijali się także ubecy. Niejednokrotnie przyjeżdżałem z Ryśkiem Kostrzewą i braliśmy paczki dla innych na własne konto, a następnie rozwoziliśmy po mieście. O. Miecznikowski nam ufał, wiedział, że tej pomocy nie sprzeniewierzymy. Zresztą Kościół prowadzi kartotekę potrzebujących, istniało więc realne niebezpieczeństwo, że może do niej zajrzeć także ktoś niepowołany.

— Kiedy Andrzej Słowik wygrał wybory na przewodniczącego Zarządu Regionu opublikował pan oświadczenie, że ten wybór nie będzie sprzyjał jedności związkowej. Dlaczego?

— Powodowało mną to, że Andrzej wygrał nieznaczną

5

Kim był Grigorij (Henryk) Luszkow?

Japończykom nie udał się zamach na Józefa Stalina

RYSZARD BADOWSKI

W Tokio ukazała się książka zatytułowana „Japońskie plany zamachów na Józefa Stalina". Autor książki, Hijama Yesiaki twierdzi, że dwie grupy specjalnie przygotowanych dywersantów, składające się z rosyjskich białogwardzistów, zostały przerzucone z Mandżurii w rejon Soczi i do Moskwy. Pierwsza miała zaatakować letnią rezydencję Stalina w Maceście. Druga zamierzała wysadzić w powietrze Mauzoleum Lenina na Placu Czerwonym 1 maja 1939 roku.

Wybuch miał nastąpić o godzinie 10.00

Dokładnie o tej porze Józef Stalin pojawiał się na trybunie mauzoleum w otoczeniu członków Biura Politycznego KC WKP(b). Stąd przyjmował defiladę wojskową i pozdrawiał maszerujących mieszkańców Moskwy.

Transmisja radiowa z uroczystości 1-majowych w Moskwie przekazywna była na Daleki Wschód. Odbierano ją również w Japonii. Różnica czasu między Moskwą a Tokio wynosi 6 godzin. W stolicy Japonii była zatem 16.00, gdy kilku wysokich oficerów wywiadu, znających język rosyjski, zamarło na dźwięk kremlowskich kurantów. Z dziesiątym wybiciem zegara na Wieży Spaskiej sprawozdawca radia moskiewskiego powiedział patetycznym głosem: *Na trybunę mauzoleum wchodzi towarzysz Stalin!*

Japończycy spojrzeli na siebie:

Teraz!

Ale wybuch nie nastąpił.

Była to jedna z największych porażek wywiadu japońskiego. W grupie terrorystycznej znajdował się „podwójny agent". Hijama Yesiaki twierdzi, iż nazywał się Borys Bżemanski. Nazwisko nieco dziwne, być może zniekształcone przez japońską wymowę i pismo. W kartotekach wywiadu radzieckiego miał nosić pseudonim „Leo". Był tłumaczem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych marionetkowego państwa Mandżukuo, utworzonego w 1932 roku na czele z cesarzem Pu I. Podporządkowane japońskim władzom wojskowym służyło jako baza dla ekspansji japońskiej na obszar centralnych Chin, Mongolii i Dalekiego Wschodu ZSRR. Tutaj, w Mukdenie, druga grupa oficerów japońskich dyżurowała 1 maja 1939 roku przy odbiornikach radiowych. Stąd bowiem wysłano obie grupy „białych kamikadze".

Wiadomo było, że po zabiciu Stalina, nikt z terrorystów nie wróci do Mandżurii żywym. Ludzie, którzy podjęli się tego zadania, szli na śmierć. Oprócz jednego, a może dwu, którzy informowali wywiad radziecki o każdym kroku zamachowców.

Pierwsza grupa przedostała się na Kaukaz przez Turcję

Zamierzano ciągami kanalizacyjnymi przedostać się do willi Stalina. Józef Stalin przejeżdżał do Macesty na kąpiele. Grupa miała zlikwidować jego ochronę i wpakować w Stalina ile się da specjalnych rozrywających się w ciele kul.

„Plan nie przewidywał powrotu grupy" — pisze japoński autor. — I grupa nie wróciła. Wszelki ślad po niej zaginął. Drugą grupę spotkał podobny los. Hijama Yesiaki przez dwa lata studiował japońskie archiwa, wspomnienia oficerów wywiadu, ich raporty. Rozmawiał

4

Adres redakcji:
90-118 Łódź, ul. Henryka **Sienkiewicza 3/5.**
Telefony: redaktor naczelny **36 52 44,**
sekretarz redakcji, fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc,
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk,
Stale współpracują: Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst, Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Monika Matuszak, Zenon J. Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora, odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób. 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości, w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne. Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa; w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

Przegląd prasy

W 1939 roku największymi miastami w Polsce były: Warszawa 1 mln 289 tys. osób, Łódź — 672 tys., Lwów — 318 tys., Poznań — 272 tys., Kraków — 259 tys., Wilno — 209 tys., Bydgoszcz — 141 tys., Częstochowa — 138 tys., Katowice — 134 tys., Sosnowiec — 130 tys., Lublin — 122 tys., Gdynia — 120 tys., Chorzów — 110 tys., Białystok — 107 tysięcy. Na trzecim miejscu pod względem liczby mieszkańców znajdował się więc Lwów. Miastu temu poświęcono wydanie specjalne „ILUSTROWANEGO KURIERA CODZIENNEGO" (marzec 1990) — 24 strony, 120 tys. nakładu, cena 1500 złotych. Na środkowych kolumnach wydrukowano plan Lwowa oraz spis ulic i placów.

W przedwojennym Lwowie językiem polskim mówiło 63 proc. ludności, żydowskim i hebrajskim — 24 proc., ukraińskim — 8 proc., ruskim — 3,5 proc., niemieckim — 0,8 procent. Polszczyzna lwowian zawierała wiele zapomnianych dziś słów. Ważniejsze wyrażenia gwarowe przypomina Małgorzata Magdziarz. Oto krótki słowniczek: BATIAR — odważny i dumny ulicznik, pełen radości życia; BINIA — dziewczyna batiara; BLAT — spokój, zgoda; CHAWIRA — dom, mieszkanie; IWANIĆ — kłamać, kręcić, kraść; SZAC — piękny; WIC — żart. Niektóre słowa używane są dziś w całym kraju (fajny, graba, morowy, szwendać się, taskać, wcinać).

Lwów był najbardziej rozśpiewanym miastem w Polsce. Repertuar lwowskiej ulicy zawierał m.in. słynny „Bal weteranów". Cytuję pierwszą i ósmą zwrotkę, a panie korektorki proszę o niepoprawianie zapisu gwarowego.

„Tam na balu wetyranów
każdy zna tych panów,
bo tam co nidzieli
jest zabawy wieli.
A kumityt wstempu bierzy
sztyrdzieści halerzy,
każdy przyzna szczerzy,
że wart, że wart.
A muzyczka inu, anu,
a muzyczka rżnie,
bo przy ty muzyczcy
gości bawiu sie wysołu.
Wszysku jednu czy to menska,
czy to damska jest,
byle tylku rżnęła
fest, a fest.
(...)
O północy si zjawili
jakiś dwa cywili,
mordy pudrapany,
włosy jak badyli.
Nic nikomu ni mówili,
tylku w mordy bili,
tak bal zakuńczyli
ta już, ta już...
A muzyczka inu, anu..."

W 1936 roku nakręcono film „Włóczęgi" z udziałem Kazimierza Wajdy (Szczepko Migacz) i Henryka Vogelfängera (Tońko Tytyłyta). Piosenka z tego filmu stała się popularnym przebojem nie tylko we Lwowie.

„Niech inni sy jadu, dzie mogu, dzie chco
do Wiednia, Paryża, Lundynu,
a ja si zy Lwowa ni ruszam za próg,
ta mamciu, ta skarz mni Bóg!
Bu dzie jest na świeci
tak dobrzy jak tu?
Tylko wy Lwowi!
Dzie budzi piusenka
i tuli du snu
Tylko wy Lwowi!
I bogacz i dziad
tu so za pan brat
i kuźdym ma uśmich na twarzy

A panny to ma
słodziutki ten gród
jak sok, czykulada i mniód!
Wienc gdybym si kiedyś
urodzić miał znów,
tylko wy Lwowi!
Bu szkoda gadania
i co chcesz, to mów,
ni ma jak Lwów!

Mużliwy, że wiency
ładniejszych jest miast,
lecz Lwów jest jedyn na świeci!
I z niegu wyjechać — ta dzieża by móg?
Ta mamciu, ta skarz mni Bóg!
Bu dzie jest na świeci..."

We Lwowie urodził się i wychował prof. dr habil. Zdzisław Żygulski (jun.). Musiał wyjechać stamtąd w 1945 roku. I dopiero po 44 latach znowu pojechał do miasta swej młodości. Był zdumiony jego pięknem. W dojrzałym wieku mógł dokonać właściwej oceny. Na łamach wznowionego „IKaCa" pisze:

„Narzuciło mi się od razu porównanie z Florencją. Miasto jest położone w kotlinie, otoczonej górami; nie ma co prawda rzeki Arno, ale można chyba porównać jego najbardziej charakterystyczne wieże do wież florenckich — na przykład kopułę kościoła Dominikanów do kopuły kościoła Santa Maria della Grazie, a wieżę Cerkwi Wołoskiej do wieży Palazzo Vecchio. Te elementy od razu kojarzą Lwów z Florencją, z Halią, z krajem i miastem, które są symbolem kultury europejskiej — renesansowej i antycznej. Na Lwowie bowiem wyciśnięte jest piętno zachodu, sztuki włoskiej, a wcześniej — gotyckiej, choć samo powstanie miasta łączy się z tradycją ruską.

Lwów został założony w XIII wieku przez księcia Daniłę dla jego syna, Lwa; stąd lew jako symbol tego miasta. Jego założenie łączy się z wielkim wydarzeniem, jakim były dla średniowiecznej Europy najazdy tatarskie. Lwów ufundowany po najeździe tatarskim — to właśnie ten pierwszy Lwów, Lwów ruski, Lwów cerkiewny. Jednak już wtedy związki z Polską były bardzo silne. Książęta ruscy żenili się z polskimi księżniczkami, polscy książęta często gościli na tych terenach. Ziemia Czerwieńska była raz we władaniu polskim, raz w ruskim. Te ziemie włączył do Korony dopiero Kazimierz Wielki — i wtedy nastąpiła nowa fundacja miasta — w miejsce starego grodu, który właściwie prawie zanikł.

To Kazimierz Wielki ufundował Wysoki Zamek. Założył też Katedrę Lwowską. W 1360 roku położono pod nią kamień węgielny, a po śmierci króla w 1370 roku mieszczanie lwowscy budowali dalej z własnych funduszy. Najpierw wznieśli wieżę, która pełniła także rolę strażnicy miejskiej i obserwatorium pożarów. Nazwisko budowniczego — Gonzage — wskazuje, że był on Włochem. W XV wieku Katedra była gotowa, lecz w 1527 wybuchł wielki pożar Lwowa. Ucierpiała i Katedra. Odbudowa nadała jej znany nam kształt, z wieżą w postaci otynkowanego bloku, zwieńczonego stosunkowo smukłym hełmem barokowym (wieże były zresztą z początku dwie — dochowała się do naszych czasów tylko jedna). Skarbem Katedry jest — charakterystyczny dla polskich budowli sakralnych — wieniec kaplic. Są one już renesansowe — pochodzą z XVI i XVII wieku. Najbardziej rozsławiona jest Kaplica Boimów, zwana też Ogrojcową. (...).

Lwów jest jedynym miastem w Europie, jeśli nie na świecie, które miało trzy katedry: rzymskokatolicką, ormiańskokatolicką i grekokatolicką, zwaną Cerkwią Świętego Jura. Ormianie osiedlili się we Lwowie już za Kazimierza Wielkiego. Katedra Ormiańska, ufundowana w 1363 roku, rozbudowana w wieku XVII, jest jedyną tego typu budowlą na północ od Armenii. Ten niebywały zabytek został już w XX wieku przyozdobiony pięknymi malowidłami Jana Henryka Rosena. (Katedra jest dziś niedostępna i nie używana, mieści się tam skład (wnętrza i malowideł obejrzeć nie można...).

Grekokatolicka, unicka Cerkiew Świętego Jura pochodzi w swoich fundamentach z czasów bardzo dawnych; na jej miejscu mieli swoją cerkiew mnisi bazyliańscy już w czasach kniazia Lwa. Obecny jej kształt pochodzi z XVII w., budowniczym zaś był Bernard Meretyn".

W 1931 roku wyznanie rzymskokatolickie deklarowało 30 proc. mieszkańców Lwowa, grekokatolickie — 16 proc., prawosławne — 0,4 proc., ewangelickie — 1 proc., inne chrześcijańskie — 0,1 proc., mojżeszowe — 32 procent. Żydzi stanowili 33,2 proc. ludności miast i 3,6 proc. ludności wiejskiej województwa lwowskiego. Największymi miastami — po Lwowie — były: Przemyśl — 51 tys. mieszkańców, Borysław — 42 tys., Drohobycz — 32 tys., Rzeszów — 27 tys., Jarosław — 22 tys., Sambor — 22 tys. Sanok — 14 tys., Gródek Jagielloński — 13 tysięcy.

W tym miesiącu ukaże się drugie wydanie specjalne „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" poświęcone w całości Wilnu. A następny numer będzie o biznesie krajowym i światowym.

MASOWA EMIGRACJA Z POLSKI

Po wojnie nastąpiło przemieszczenie geograficzne Polski o około 200 km na zachód. W wyniku przesunięcia granic utraciliśmy 180 tys. km kw. powierzchni na wschodzie, uzyskując w zamian 102 tys. km kw. na zachodzie i północy. Ziemie przekazane ZSRR stanowiły 46 proc., przedwojennego terytorium naszego państwa, zaś tereny odzyskane obejmują 33 proc. obecnego obszaru kraju, w miejsce zbiegłych (4,5—5 mln) i wysiedlonych (2,3 mln) Niemców na tereny dawnych Ziem Piastowskich przybyło do 1950 roku 2,7 mln osób z Polski centralnej, 1,5 mln repatriantów ze Związku Radzieckiego i 150 tys. reemigrantów z Zachodu.

W późniejszym okresie (1951—1980) opuściło Polskę 827 tys. osób, a przybyło do niej na stałe 307 tysięcy. W latach 1980—1988 wyjechało legalnie na pobyt stały 155 655 osób. Ponadto 402 tys. obywateli pozostało za granicą i poinformowało konsulaty polskie o przedłużeniu pobytu, zaś 159 637 osób odmówiło powrotu do kraju. Połowa emigrujących z Polski kieruje się ostatnio do Republiki Federalnej Niemiec. Pisze o tym w miesięczniku „ŻYCIE I MYŚL" (nr 10) Andrzej Sakson.

„Główną kategorię wyjeżdżających z Polski stanowią osoby będące w posiadaniu dokumentów wymaganych do udowodnienia niemieckiego pochodzenia ich lub ich przodków. Emigrują oni w ramach tzw. akcji łączenia rodzin. W RFN emigranci ci określani są mianem «wysiedleńców» (Aussiedler) lub «spóźnionych wysiedleńców» (Spätaussiedler). O znaczeniu i aktualności tego typu migracji świadczą jego rozmiary. W oparciu o ustalenia zachodnioniemieckie — od 1950 r. do 31 grudnia 1986 r. — z terenów za Odrą i Nysą Łużycką (z terenów Rzeszy w granicach z 1937 r.) przybyło do RFN — 626 tys. osób. Poczynając od 1985 r. następuje systematyczny wzrost liczby osób z Polski, którzy uzyskali status «wysiedleńca». W latach 1980—1988 przybyło 382 476 przesiedleńców z Polski (w okresie 1986—1988 — 215 837 osób), co stanowi aż 48 proc. ogółu emigrantów z Polski w latach osiemdziesiątych.

Po przekroczeniu granicy, niezależnie od charakteru wyjazdu (a więc od tego, czy jest to wyjazd legalny czy też nielegalny z punktu widzenia polskich przepisów), przybywający zgłaszają się w obozie przejściowym (Durchgangslager), gdzie uzyskują obywatelstwo niemieckie oraz status społeczno-prawny «wypędzonego», który upoważnia do szeregu przywilejów, świadczeń i innych form pomocy. Charakterystyczne jest, iż wśród tej grupy systematycznie rośnie odsetek osób, które nielegalnie (z punktu widzenia polskiego prawa) pozostały w RFN. W 1983 r. odsetek ten wynosił 53,4 proc., by w 1985 r. wzrosnąć do 85,6 proc. Innym nowym zjawiskiem są podejmowane na szeroką skalę przez przybyszy z Polski próby fałszowania dokumentów stwierdzających ich rzekome niemieckie pochodzenie oraz fakt, iż około 90 proc. ogółu przesiedleńców z Polski nie zna języka niemieckiego. Są to w zdecydowanej większości ludzie młodzi, urodzeni po 1945 r. w Polsce. Wielu z nich deklaruje «chęć bycia Niemcem» i co charakterystyczne, że liczna grupa nie wyrzeka się polskiego obywatelstwa, zachowując nadal polski paszport".

KRYTYKA PROGRAMU RZĄDOWEGO

Na rynku prasowym pojawiło się pismo konserwatywno-liberalne „CZAS" (nr 1, stron 8, cena 1000 zł). Redaktorem naczelnym jest Janusz Korwin-Mikke. Ma to być pierwsze antysocjalistyczne i antyetatystyczne pismo. W inauguracyjnym wydaniu opublikowano m.in. artykuł Aleksandra Jędraszczyka, w którym krytykuje politykę gospodarczą naszego rządu. Przytaczam trzy wybrane fragmenty:

„Program zapowiadał zmniejszenie produkcji i podaży rynkowej — o 3—5 proc. W rzeczywistości zaś obniżył produkcję na długi okres wielokrotnie głębiej. Jednocześnie zredukowany został popyt krajowy, a popyt konsumpcyjny w szczególności. Ograniczenie popytu osiągnięto przez dowolne wzrosty cen, które obniżają siłę nabywczą płac i wydrenują oszczędności obywateli. W sumie obniżony został poziom życia o około 1/3, przy jednoczesnym okresowym poprawieniu się równowagi na większości rynków. (...)

Każda próba utrzymania równowagi będzie pogłębiała recesję, czyli dalszy zbędny spadek produkcji, spadek wykorzystania zdolności produkcyjnej i zbędny wzrost bezrobocia. Program rządowy jest tylko programem recesji, gdyż nie dokonując zmian liberalizacyjnych w socetatystycznej gospodarce, nie może zostać przekształcony w program przywracający gospodarkę na trajektorię zrównoważonego wzrostu. (...)

Szansę stracono raz na zawsze. Wybrano program gwałtownej inflacji styczniowej i drastycznego, ponad potrzeby gospodarki, spadku produkcji i stopy życiowej. Tak sobie życzyli doradcy zagraniczni, przy pełnej akceptacji ekonomistów rządowych".

Aleksander Jędraszczyk sugeruje, że w ten sposób Zachód sprawdza, do jakiego stopnia społeczeństwo postkomunistyczne skłonne jest do wyrzeczeń konsumpcyjnych pod wpływem haseł wolnościowych, ale bez pomocy krajów rozwiniętych.

PARADOKSY ROZWOJU ŚWIATA

Polska nie jest jedynym państwem mającym poważne trudności gospodarcze. O problemach gospodarki światowej pisze w niezależnym periodyku „GŁOS" (nr 56—57, styczeń—luty, cena 2500 zł), Stefan Kurowski. Stosuje przy tym tradycyjny podział na trzy grupy krajów: kapitalistyczne wysoko rozwinięte, socjalistyczne i tzw. Trzeci Świat.

W 1976 roku pierwsza grupa państw skupiała 20 proc. ludności i miała 5462 dolary dochodu na 1 mieszkańca, druga — 10 proc. i 2712 dolarów, trzecia — 70 proc. i zaledwie 233 dolary. Nowsze dane z 1988 roku, które niedawno przytaczałem w „Odgłosach", wskazują, że kraje rozwijające się skupiają 75 proc. ludności, a wytwarzają tylko 15 proc. dochodu światowego, kraje RWPG — 8 proc. i 19 proc., zaś kraje zachodnie mają 17 proc. ludności, a wytwarzają 66 proc. dochodu. Warto uświadomić sobie, że Chiny mają 1 mld 127 mln ludzi, Indie — ponad 800 milionów. W obu krajach łącznie mieszka aż 37 proc. ludności świata.

Kraje socjalistyczne i Trzeciego Świata dążyły do osłabienia zamożnych państw kapitalistycznych. Rozwój jednak potoczył się inaczej — biedni jeszcze bardziej uzależnili się od bogatych. Stefan Kurowski pisze:

„Po gwałtownej podwyżce cen ropy naftowej w 1973 i w 1975 r. eksporterzy naftowi otrzymali nagle olbrzymie sumy petrodolarów, do zagospodarowania których nie byli przygotowani. Ulokowali więc te pieniądze w bankach, głównie amerykańskich. Banki wobec napływu ogromnych lokat zaczęły poszukiwać pilnie pożyczkobiorców, gotowych zainwestować ten kapitał i płacić odpowiedni procent. Wobec obfitości kapitału stopa procentowa była niska, co też zachęcało do zaciągnięcia pożyczek. Skutkiem tego już od początku lat 70. zaczął się wielki transfer kapitałów z centrów finansowych Zachodu do krajów Trzeciego Świata i do krajów socjalistycznych".

Pożyczony kapitał powinien być tak zainwestowany, żeby przyniósł zysk dłużnikowi i wierzycielowi. Rentowność podejmowanych inwestycji musiała być wyższa niż stopa procentowa. Tego warunku nie udało się jednak spełnić ani krajom Trzeciego Świata, ani krajom socjalistycznym — tym bardziej, że później stopa procentowa wzrosła 2,5-krotnie w stosunku do okresu zaciągania pożyczek... Obie grupy państw popadły więc w trwałą zależność ekonomiczną...

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Całą noc z 22 na 23 czerwca nie spałem. Nawet próbowałem usnąć, ale ze strachu nie mogłem. A nuż — myślałem — hitlerowcy nadejdą i mnie capną. Wówczas i lampka przed portretem Hitlera nie pomoże. Naturalnie powiedziałby szczerze, że gotów jestem służyć im wiernie i że Stalina osobiście chętnie bym zakatrupił. — kolejny fragment książki SERGIUSZA PIASECKIEGO „Zapiski oficera Armii Czerwonej".

— Sunęliśmy lustrzanie gładką drogą. Na niebie sierpniowe słońce, ptaki też, choć ich nie słyszę, po obu stronach wozu nic ciekawego. Żałowałem czasu, który mógłbym spożytkować przyjemniej w gniazdku Cheryl. Długo przyglądała się bransoletce. Śliczna. Polacy mają gest — nigdy nie otrzymała takiego prezentu. Musiałem się wykosztować. Po co, przecież wiem, że mnie kocha — najnowsza powieść LEONARDA pt. „Faceć".

— W połowie ubiegłego stulecia na dwu przeciwległych krańcach globu ziemskiego powstały arterie komunikacyjne uznane za szczyt technikl owych czasów. Na Kaukazie Bolesław Statkowski przebijał nad przepaściami Wojenną Drogę Gruzińską, w Andach wznosił ponad chmurami najwyższą w świecie trasę kolejową. Pochodził z Polski. W ojczyźnie został jednak niezasłużenie zapomniany — pisze RYSZARD BADOWSKI.

— To smutne, ale powstało jakieś nienaturalne zwyrodnienie tzw. zdrowej konkurencji. Miała ona rozbić monopole, w efekcie obniżyć ceny i koszty. Liczono, że te molochy rozbiją drobni, operatywni kupcy i wytwórcy. A tymczasem okazało się, że często kupcy czekają w pustych sklepach, natomiast rej w interesach wodzą cwaniaczki, nie zgłaszający żadnych obowiązków podatkowych. Nigdzie na świecie nie ma tak pojętego „luzu". W czasie mojego pobytu w Paryżu mówiono mi o akcji na grupę egzotycznych młodzieńców usiłujących handlować na placu Pigalle — mówi wicedyrektor Izby Skarbowej w Łodzi LECH MAŁĄG.

— Jestem ostatnią „ofiarą", która jak się zabierze do rzeczy, to okazuje się właśnie, że najbliższy kolega już od dawna jest z tą dziewczyną. Różne gafy popełniam. Na przykład, pytam się kolegi: „Co tam słychać u Kaśki?" A okazuje się, że on od trzech lat nie ma z nią już nic wspólnego — mówi WOJCIECH MALAJKAT, uważany za jednego z najlepszych aktorów młodego pokolenia.

— Na czym polega sekret sukcesu hinduskiej kurtyzany? Przede wszyskim na wyborze odpowiedniego kochanka — bogatego i wpływowego, lecz zarazem niezbyt inteligentnego, zaślepionego wysokim mniemaniem o samym sobie. Takiego mężczyznę sprytna pośredniczka powinna zachęcić pochlebstwami. Hinduska piękność to kobieta o grubych udach, szerokich biodrach i bujnych piersiach, ale za to bardzo szczupła w talii — artykuł TOMASZA MISIAKA pt. „Jak uczono sztuki miłosnej w dawnych Indiach".

— Kilkunastu tajniaków pod wodzą porucznika Finna zaległo w gęstych krzakach niewielkiego parku. Porucznik miał stamtąd dobre wejrzenie przez lornetkę na stojący na odludziu nieduży domek. Tam mieszkał Richard Hauptmann. Porucznik wodził po ulicy uważnym okiem. Była pustawa i jedynie w części zabudowana. Ten drań nie powinien umknąć. Taka ulica to pułapka. Chwycił znów lornetkę i dojrzał, że z domu wyszedł do garażu wysoki mężczyzna. Wyjechał niebieskim dodgem. Uwaga! Zaraz zaczynamy! Skinął na tajniaków — sensacyjny materiał JANA BĄBIŃSKIEGO pt. „Kto porwał i zamordował synka Charlesa Lindbergha?"

Czy Polaków stać na przeżycie ozdrowieńczego szoku?

Kiedy powstanie Czwarta Rzesza?

JULIAN BARTOSZ

Doniosłość przeżywanego w ostatnim półroczu w kwestii niemieckiej momentu historycznego z niczym w przeszłości nie jest porównywalna. Uczciwie przyznaję, że należę do tej zdecydowanej większości obserwatorów, czy też znawców sceny niemieckiej na Wschodzie i Zachodzie, a także w obu dotychczasowych państwach niemieckich, którzy dynamiką, tempem i, rzecz jasna, kierunkiem — powiedziałbym — rewolucyjnej ewolucji w obszarze niemieckim są niemal całkowicie zaskoczeni.

Trzeba to jakoś próbować rozumieć, uporać się szybko z własną konfuzją, wyjść poza słuszne skądinąd lecz w rzeczy samej płyciutkie pragmatyczne pierwsze oceny sięgające po argumenty w rodzaju, że przejawia się w tym wszystkim bunt przeciw totalitaryzmowi, pragnienie dobrobytu a'la carte znad Renu, reakcja przeciw Jałcie lub też tak zwany duch dziejowy. Nie ulega wątpliwości, że pośród wielu istotnych imponderabiliów decydujących o nagłym „wybuchu ogólnoniemieckim" na pierwszym miejscu należałoby wymienić dążenie do wyobrażonej w idealnej niemal postaci demokracji. Nieważne, jakie realne treści będą się pod tym pojęciem kryły, nieważne, jakie czynniki materialne zadecydują o możliwości skorzystania z dobrodziejstw wolności człowieka i wolności obywatela albowiem sama jej wyidealizowana wartość, jako swoistego dobra samego w sobie, posiada olbrzymią, niedocenianą w dużej części obozu lewicy moc sprawczą. Każda jak najbardziej słuszna z dziejowego punktu widzenia rewolucja socjalna wieszcząca nieposiadającym utopię wyzwolenia od wszelkich przekleństw tak zwanego losu — jeśli nie zdoła spełnić tego właśnie naturalnego człowieczego pragnienia demokracji i wolności sama się po prostu zadusi. Własnymi poniekąd rękoma. „Wolność jest zawsze przede wszystkim wolnością dla inaczej myślących" — z powodu tych właśnie słów praca Róży Luksemburg o rewolucji rosyjskiej nigdy nie mogła być drukowana między Łabą i Pacyfikiem. Co z tego, że w swoich prapoczątkach ruch robotniczy prócz haseł socjalnych wysuwał na pierwszym nawet miejscu żądanie wolności dla stanu czwartego, skoro zwyrodnienia upaństwowionego ruchu robotniczego obróciły ten postulat w swoje przeciwieństwo.

Nie, to nie są poboczne dywagacje na tematy ogólne. W moim przeświadczeniu łączą się one najściślej z tym, co się w Niemczech dzieje. To prawda, że socjaldemokrata Egon Bahr określił pod koniec lat sześćdziesiątych Niemiecką Republikę Demokratyczną jako „niemiecki Piemont", ale drugą, ważniejszą prawdą jest również to, że z tego gotującego się kotła jedności niemieckiej wyłania się jako zwycięzca chadecko-konserwatywny Helmut Kohl. Stał się on dla większości Niemców w NRD nie tylko symbolem zachodnioniemieckiego dobrobytu, który — obiektywnie biorąc jest porównywalny (tzn. Produkt Społeczny Brutto na głowę mieszkańca RFN był wedle najnowszego „Fischer-Welt-Almanach" — w wysokości 12 080 dolarów, na mieszkańca NRD — 11 118 dolarów) — ale właśnie demokracji. Oczywiście, my z dochodem 2070 dolarów per capita (wedle tego samego źródła) skłonni jesteśmy absolutyzować czynniki materialne. Byłoby błędem nie doceniać tej kwestii, jednakże moim zdaniem jeszcze większym nieporozumieniem byłoby niezauważenie znaczenia tego **potwornego molocha obywatelskiego ubezwłasnowolnienia w NRD**, które określano tam jako „totale Bevormundschaft". Chęć zerwania z tym — oto jeden z podstawowych czynników napędzających zjednoczeniową lokomotywę, której pierwszym maszynistą okazał się właśnie Helmut Kohl. Moim zdaniem wygrał on 18 marca 1990 r. podczas wyborów w NRD przyszłoroczne wybory do Bundestagu — a może nawet, bo i to jest możliwe, pierwsze wybory ogólnoniemieckie...

Przywołując znaczenie i wartość demokracji i wolności obywatelskich w dokonującym się procesie jednoczenia się Niemców sięgamy po pewne elementy porównawcze z XIX wieku. Rzecz jasna, nieadekwatność sytuacji obecnej z ewolucją między rokiem 1815 i 1871 zdaje się czynić nasz wywód nieco problematyczny (jak zresztą wszystkie historyczne odwołania się), niemniej warto, moim zdaniem, zwrócić uwagę na dwa momenty: na to, po pierwsze, jak podczas ubiegłowiecznych 55/56 lat z powszechnie w 41 członach Związku Niemieckiego apostrofowanej symbiozy Wolności i Jedności ostała się na końcu tylko jedność z konsekwencjami objawionymi w 1914 i 1939, a po drugie na to, jaką rolę w tych skomplikowanych procesach odgrywała tak zwana sprawa polska.

W tym ogólnorefleksyjnym tekście trudno, rzecz jasna, o systematyczny wykład stopniowego odchodzenia od wartości wolności i demokracji w kierunku absolutyzowania samej jedności — zasługuje to bowiem na szczegółowe przypomnienie, podkreślmy tedy ewidentną i w całej historiografii mocno akcentowaną prawdę, że to, co rodziło się jako reakcja na wsteczne Święte Przymierze, na Uchwały Karlsbadzkie, a więc oddolne dążenie do wolności w jedności zostało po obietnicach tzw. Przedmarca i po wzlotach roku 1948 ujęte mocno w karby odgórnej bismarckowskiej rewolucji i przekute przede wszystkim w jeden podstawowy czynnik dziejotwórczy: w siłę, w nagą brutalną siłę.

Co się zaś tyczy tego drugiego wspomnianego momentu, a więc kwestii związków procesu jednoczenia się z tzw. sprawą polską, to tyle w tym czasie było wzruszających wspaniałości symbolizowanych przykładowo odbytą 27 maja 1832 roku Uroczystością w Hambach (podczas której postulat jedności niemieckiej łączono jednoznacznie z ideą „skonfederowanej braterskiej republikańskiej Europy" — tak, tak: wtedy też), że nawet tak wielki realista jak Joachim Lelewel nie mógł pojąć w 1848 roku, jak po tych wszystkich objawach autentycznego entuzjazmu demokratów niemieckich dla sprawy polskiej najświetniejsze zgromadzenie uczonych mężów zebranych w roku Wiosny Ludów w kościele świętego Pawła we Frankfurcie nad Menem nie chciało zgodzić się na przyznanie demokratycznych i wolnościowych praw Polakom z tzw. Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Warto by dziś odczytać na nowo dwa smutne posłania Joachima Lelewela do szanownego Zgromadzenia Frankfurckiego, aby — jak zresztą z całości dzieła „Polska, dzieje i rzeczy jej..." nauczyć się trzeźwości oceny wydarzeń europejskich w kontekście polskiego interesu narodowego. Warto by też upowszechnić niezwykle cenną porcję wiedzy zawartą w eseju Wojciecha Wrzesińskiego z VI. tomu „Polskiej Myśli Politycznej XIX i XX wieku" opublikowanego w Ossolineum w 1988 roku, aby próbować wyzbyć się świętej naszej polskiej naiwności wyrastającej z głębokiej wiary w to, że będzie tak, jak sobie tego życzymy.

Przy wszystkich zastrzeżeniach, które można i trzeba mieć do zbyt łatwych porównań i uogólnień historycznych, winniśmy się zdobyć rzeczywiście na wysiłek, zwłaszcza dziś, przemyślenia dziewiętnastowiecznych nauk płynących z procesu stawania się jedności niemieckiej. Mam tu na myśli przede wszystkim procesy ekonomiczne. Jest niestety tak, że to, co z tak wielkim trudem zgromadził w swoich pracach poznański uczony Czesław Łuczak, zajmujący się dziejami gospodarczymi Niemiec, właściwie polskiej inteligencji i całej polskiej czytającej publiczności prawie nie jest znane. Podobnie mają się rzeczy z pracami analizującego dzieje stosunków gospodarczych polsko-niemieckich Karola Białuta z Wrocławia. A właśnie **w tych bezlitosnych faktach ekonomicznych** tkwi podstawowy klucz do zrozumienia tego, dlaczego stosunek Niemiec do Polski był i jest taki, jaki był i jest. Brzmi to eufemistycznie, ale gdy się weźmie choćby pewne podstawowe dane zawarte w tzw. Ploetzu i porówna się je z tabelami z IV tomu Zbigniewa Landaua i Jerzego Tomaszewskiego „Gospodarki Polski Międzywojennej 1918—1939" to zobaczymy, że w wyniku rozwoju ekonomicznego między 1830 i 1871 terenów niemieckich ujętych od 1833 roku w Związku Celnym wielkości produkcji węgla, stali, żelaza, ilość instalowanych w przemyśle koni mechanicznych, długość czynnych linii kolejowych, rozmiary funkcjonującego kapitału, dynamikę eksportu itd., itp. to stwierdzimy rzecz niesamowitą: Niemcy w chwili uzyskania jedności w 1871 roku miały we wszystkich tych wskaźnikach już wtedy wyższe wyniki niż Polska w 1939 roku. Trzeba by zobaczyć w poszczególnych dziedzinach, na ile ten dystans 70 lat obecnie powiększył się dziś wobec RFN, jutro wobec zjednoczonego potencjału gospodarek niemieckich.

Nie piszę tego dla dosmucenia polskich czytelników. Chcę jedynie, abyśmy sobie uświadomili, jakie jest Anno Domini 1990 nasze położenie wobec gospodarczo hegemonialnej pozycji powstającego w sercu Europy kolosa. Żeby była całkowita jasność, to warto sobie postawić dodatkowo dwa pytania:

— Wczuwając się w interes państwowy Rosji z tak czy inaczej uformowanymi przyległościami a także z jej istniejącymi potrzebami i potencjalnymi możliwościami — z kim ten nasz wschodni sąsiad będzie chciał mieć dobre stosunki, coraz lepsze stosunki?

Obserwując z jednej strony nierówność gospodarczą między dotychczasowymi członkami Wspólnoty Europejskiej (EG), a nadto uświadamiając sobie przepaść ekonomiczną między Zachodem i Wschodem kontynentu, a badając z drugiej strony stan rozwiniętych związków, a nawet komplementarność obu istniejących gospodarek niemieckich — a więc patrząc na to, jak bardzo nierówne są ekonomiki państw europejskich i jak bardzo zbliżone są gospodarki obu państw niemieckich (tu ocenia się proporcje jak 8/9:1) — czyż nie wydaje się nam, że odwołując się do tego, by proces jedności niemieckiej był sprzęgnięty ze stawaniem się jednej Europy pielęgnujemy w sobie jednak wielką iluzję? Czy naprawdę ktoś przytomny może serio twierdzić, że skoordynowanie czy zgoła zharmonizowanie obu tych procesów — jedności niemieckiej i jedności europejskiej — jest choćby teoretycznie możliwe? — A przecież tak zwana myśl polityczna obecnego obozu rządowego na tej iluzji się zasadza!

Nie jest to zresztą iluzja jedyna. Jak w każdym momencie dziejowym brzemiennym dla Polski budzą się nie tylko pewne upiory wynikające z naszego geopolitycznego położenia, ale ożywają także pewne koncepcje, które z pewnością należą i niestety należeć będą do dziejów głupoty w Polsce. Niektórzy z faktu, że lwia część polskiego zadłużenia (szacuje się do 70—80 proc.) jest w ręku czy pod kontrolą właśnie kapitału niemieckiego, na ile występuje on w tak „narodowo" czystej postaci, proponują nam rozwiązanie a'la Studnicki, że użyję nieco prostackiego przykładu. Moim zdaniem, jakakolwiek koncepcja przypominająca to, co historycznie określano jako germanofilstwo (ukryta mniej lub bardziej udolnie pod europejskością) skazuje Polskę na odgrywanie roli „zwischeneuropejskiego" Hinterlandu.

Polski na żadne szczęśliwe wyspy przenieść się nie da.

Równie zrozumiałe, że zależność ekonomiczna od woli wierzyciela może skutkować ograniczeniem rzeczywistej suwerenności — może, choć nie musi. I nawet tak patriotyczny mąż stanu, jak Józef Piłsudski, nie był w stanie wymyślić nic innego, jak ułożenie dobrych stosunków z obu sąsiadami (w 1932 i 1934 roku). Jednakże biorąc to wszystko pod uwagę nie można nie zapytać o to, czy nie czas zrewidować nasz negatywny stosunek do tego, co Stanisław Cat-Mackiewicz określił jako egzotyczne sojusze.

Przede wszystkim wszelako jest w Polsce czas, na przeżycie wielkiego szoku. Niemcy mówią „heilsamer Schock" — ozdrowieńczy szok. Realia technologiczne każą odsunąć od siebie wszelką myśl o możliwościach gwałtownych, wojennych zmian w Europie. Tę myśl zaiste wykluczam. Lecz gdy o bezpieczeństwie mowa widzieć to trzeba współcześnie nie tylko w kontekście granic i nie tylko w związku z nienaruszalnością integralności państwowej. Bezpieczeństwo ma dziś wymiar przede wszystkim ekonomiczny wraz z następstwami w dziedzinie ograniczenia suwerenności politycznej. Przy niezwykle dziś rozwiniętym poczuc odrodzenia się tej suwerenności, co w paradoksalny sposób łączy się z niszczeniem systemu jałtańsko-poczdamskiego, obserwuję jakieś dziwaczne i prawdziwie niepokojące otumanienie — i to, za przeproszeniem, wśród najbardz reprezentatywnych przedstawicieli obecnego obozu rządowego. Widzimy i czujemy, do jakich ofiar gotowe jest społeczeństwo — w imię demokracji i pluralizmu. „Żyjemy wreszcie we własnym domu". Musimy — szokując właśnie społeczeństwo, w tym i świat pracy najemnej — mieć odwagę zapytać, do jakiej ofiarności gotowe jest społeczeństwo w imię zachowania tego własnego domu. Strojnego nie tylko w ukoronowanego Orła Białego, ale mocnego fundamentami nowoczesnej ekonomiki i technologii. Oczekiwać, że pomogą nam w tym Niemcy, zwłaszcza zjednoczone, jest moim zdaniem narodowo samobójcze.

Czy jest w Polsce gotowość do przyjęcia takiego szoku, do jego ozdrowieńczego przeżycia?

Oto jest pytanie, od którego dzikimi tańcami wokół **następstw komuny"** nie uciekniemy. Jest w Polsce do zrobienia wielka praca do uzyskania ekonomicznej suwerenności, dla zapewnienia krajowi trwale pewnego miejsca w nowoczesnej Europie. Dziś nawet nie jesteśmy zdolni zabrać się do zaplanowania tego przedsięwzięcia. Premier Tadeusz Mazowiecki najdzielniej, jak tylko może stara się bronić naszych bieżących interesów, ale Senat i Sejm nie dorastają do wypełniania zadań chwili w tej dziedzinie. Zżeramy się w nietwórczych rozliczeniach, w pozornych poczynaniach **„wolnorynkowych"** i takich działaniach, które służą głównie zabezpieczeniu spłat odsetek kapitałowych. Kimkolwiek są autorzy „Planu Leszka Balcerowicza" — nie jest to podstawa rozwoju Polski dla wejścia w wiek XXI.

Do podjęcia tej pracy zmusza nas dynamiczny proces stawania się jedności niemieckiej. Ciekawe, jaką datę obiorą Niemcy, aby obwieścić o narodzeniu się — co tu dużo mówić — narodzeniu się nowej Rzeszy. Czy to będzie 18 stycznia 1991 — w 120 rocznicę powstania II Rzeszy i 290 rocznicę koronowania się Fryderyka III na „króla w Prusiech"? A może to będzie 18 maja — dla przypomnienia początku Zgromadzenia w kościele świętego Pawła? Bo 8 maja — w dzień kapitulacji III Rzeszy to na pewno nie będzie. A że będzie — to jest prawie tak pewne jak to, że pierwszym kanclerzem zjednoczonego państwa niemieckiego stanie się Helmut Kohl. A on wie, dlaczego i po co kręci i kluczy z tą sprawą ostatecznego, formalnego zadeklarowania, że również zjednoczone państwo niemieckie uznaje Europę w obecnym terytorialnym kształcie...

Co z tego będzie dla Łodzi?

Interesy i sentymenty

Rozmowa ze ZBIGNIEWEM KAŹMIERCZAKIEM, polonijnym businessmanem z Chicago.

— Telewizja Polska przedstawiła cię niedawno w specjalnym programie jako jednego z najbardziej liczących się businessmanów w środowisku polonijnym USA. Czy zgadzasz się z tą opinią?

— Jakby ci odpowiedzieć, żeby nie zabrzmiało to kokieteryjnie... Kto wie, czy trafiłbym przed kamery Telewizji Polskiej, co więcej, nie wiem, czy odgrywałbym obecną rolę w środowisku polonijnym gdyby nie Wiesiek Żółtowski, u boku którego wystąpiłem w tym programie. Współpraca z nim znacznie rozszerzyła pole mego działania, ułatwiła zdobycie obecnej pozycji. I z nim też właśnie przyjechałem teraz do Polski. Łączą nas nie tylko interesy, ale i pewne idee, które chcemy urzeczywistniać zarówno tam — w Stanach Zjednoczonych, jak i tutaj, w kraju, który jest przecież wciąż naszą ojczyzną.

— O ideach tych, pomysłach, koncepcjach rozmawialiście z premierem Tadeuszem Mazowieckim w Chicago?

— Tak, ale w bardzo ogólnych zarysach, nie sposób przecież zabierać premierowi czas szczegółami interesów, jakie są do zrobienia tu w kraju...

— A są w ogóle takie interesy?

— Oczywiście, my już je zaczynamy robić...

— Jeśli pozwolisz, powrócimy do tego wątku, przedtem jednak odpowiedz mi na pierwsze pytanie.

— To nie takie proste... Są ludzie którzy mają fortuny nieporównanie większe niż ja. Są tacy, którzy robią interesy na skalę o wiele większą. Jest wreszcie mnóstwo takich, co mają potężne koneksje, prestiż i wpływy, które w sporej mierze zawdzięczają po prostu zasiedzeniu się, obracaniu się od dawna w określonych sferach i środowiskach. Gdzie mnie do nich, skoro ja tam jestem zaledwie od sześciu lat. O moim znaczeniu, o ile takie mam, przesądza to, w jaki sposób wykorzystałem owe sześć lat. Tam, w Stanach, ceni się dynamikę, prężność, aktywność. Każdy woli robić interesy z człowiekiem, któremu

Zbigniew Kaźmierczak i Wiesław Żółtowski
Foto: Zbigniew W. Nowak

się udaje to, co zamierzył. A jeśli działa on z równym powodzeniem na wielu płaszczyznach, jeszcze bardziej jest dostrzegany i doceniany.

— Zrobiłeś więc iście amerykańską karierę...

— A żebyś wiedział... To taki dziwny kraj, gdzie każdy może naprawdę decydować o swoim życiu. Ameryka jest dla ciebie taka, jaka chcesz, żeby dla ciebie była. Nie chcesz żyć po amerykańsku, proszę bardzo, nie wysilaj się, mieszkaj sobie w „basementacie" (suterenie — przyp. J.I.), głodny i obdarty nie będziesz chodził, na gorzałkę też ci pewnie starczy, TV-set i wideo też możesz mieć, jeśli cię to bawi. Zresztą, wiesz sam jak to jest, przeciętny Polak mógłby pozazdrościć amerykańskiemu bezrobotnemu... A ja? Ja pojechałem po to, żeby żyć po amerykańsku...

— Od razu ci się udało?

— Przez pierwsze dwa lata zajmowałem się sprzątaniem. I nie wstydzę się tego. Zresztą, miałem świetne zarobki i dobre ubezpieczenie. Bo tam ktoś, kto jest nawet dość zasobny, ale nie ma medycznego zabezpieczenia, jest na straconych pozycjach, choroba może uczynić z niego nędzarza. Pracowałem na noc, żeby w dzień chodzić do szkoły i uczyć się języka. Prawda bowiem jest taka, że wielu naszych rodaków przez całe życie pozostaje na marginesie z powodu tylko i wyłącznie nieznajomości języka.. Ja od pierwszych dni wiedziałem, czego chcę i do czego dążę.

— Tobie jednak było łatwiej, lądowałeś w Ameryce miałeś raczej miękkie.

— Myślisz o mojej rodzinie? Oczywiście, bardzo mi pomogli, ale prawda o moim starcie w Ameryce jest bardziej złożona. Po prostu ja od pierwszego dnia miałem własną koncepcję na życie w tamtejszych warunkach. Otóż, powiem ci, że ojciec, który był tam już wówczas od lat dwunastu, a i brat w piątym roku pobytu — mogli dorobić u mnie po dziewięciu zaledwie miesiącach od momentu, gdy zjechałem do Stanów Zjednoczonych.

— Wszedłeś więc w tamten świat z wielkim impetem.

— To też nie tak. Ja mam po prostu łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi, może i dlatego, że nie dzielę ich na komunistów i niekomunistów, wierzących i niewierzących, to mnie po prostu nie obchodzi. Ja dzielę ludzi na mądrych i głupich. I z mądrymi właśnie, z otwartymi wiązałem się od początku. I co? Wielu z nich mi pomogło... Teraz, kiedy mocno stoję na nogach, chcę ten dług spłacić, pomagając innym. Swoją drogą, nie masz pojęcia, ilu wspaniałych, mądrych ludzi przyjechało do Chicago w ostatnich latach. I teraz tym mądrym, otwartym mówię: — zróbmy coś dla ludzi w ojczyźnie. Wiesz, Polacy są sentymentalni, co przeszkadza często w interesach, ale jeżeli się znajdzie odpowiedni sposób na połączenie sentymentu ze smykałką do interesów, którą Polacy przecież wykazują, wtedy można zrobić wspaniałe rzeczy. Rozmawialiśmy o tym z premierem Mazowieckim...

5

Z różnych szuflad.

Dziewki miłosierne

Większość czytelników zna zapewne słowa popularnej piosenki o tym żołnierzu, co to szedł „borem lasem, przymierając z głodu czasem", ale już tylko specjaliści dopowiedzą, że najwcześniejsza ze znanych jej wersji pochodzi z 1584 r. i zaczyna się od słów:

Chociaż żołnierz nie ubrany,
Przeciet ujdzie między pany,
Suknia na nim nie blatuje,
Dziurami wiatr wylatuje.

Inny z tej samej epoki wierszopis uzupełnił ów zapis o mizernej kondycji prostego żołnierza równie wymowną treścią: *„żołnierz nie zawsze dośpi, dolega go zbroja i nie dostanie dla wczasu pokoja, robactwo gryzie, głód, pragnienie przydzie, nim z pola znidzie"*. Nic więc dziwnego, że bywał uprzykrzony i straszny dla otoczenia, osobliwie dla mieszczan, kmieci i uboższej szlachty, zwłaszcza gdy żołdu nie otrzymawszy żywić się musiał własnym przemysłem. Trzymały go w ryzach „artykuły hetmańskie" przeznaczone dla starszyzny wojskowej, *„aby sami z sługami, pachołkami i pachołkami swymi pamiętać mogli, jako się rządzić i zachować mają bez wymówki w ciągnieniu na wojnę, w obozie, na staniech, bo gdzie rząd jest, ćwiczenie i karność, tam bywa z łaski Bożej dobra sprawa i nadzieja przyszłego zwycięstwa"*. Artykuły te, coś w rodzaju współczesnych regulaminów wojskowych, przewidywały surowe kary za przekroczenie rygorów, a w szczególności za niesubordynację, zabójstwo, gwałt, alkoholizm i gry hazardowe. Przepisy te, wznawiane i aktualizowane przez kolejnych władców, hetmanów i regimentarzy zabraniały włóczęgostwa i uprawiania jawnego i ukrytego nierządu.

Prawodawcy wojskowi i moraliści minionych stuleci pod pojęciem prostytutki rozumieli panny wesołe, białogłowy bezecne lub wszeteczne, dziewki miłosierne, fryjerki, kawalerki, kurwy, małpy, maszkary, nałożnice, niecnoty, niewiasty nierządne, niewstydliwe, obłudne, prosne, wesołuchy, wszetecznice.

W artykułach hetmańskich z lat 1557—1586 stanowiono: *„wszetecznych niewiast za obozem nie cierpieć ani chować, bo stąd swary i zwady, oprócz własnych żon, jeśli się i te uczciwie rządzą, a wszetecznice w wojsce (wojsku) abo w obozie ani w karczmach żaden aby nie chciał chować, pod wielkim karaniem, bo i ten, co ją chowa, i ów, u którego będzie pojmana, jako bywa, oboje rózgami wygnani będą"*. Dopuszczano zatem możliwość przebywania kobiet na terenie obozu lub w jego sąsiedztwie, ale jedynie w roli marketanek i to wyłącznie w przypadku stwierdzonego małżeństwa z żołnierzem albo taborytą. Oczywiście przepisy te były z reguły omijane przez wysokiej rangi dowódców. Szymon Starowolski w traktacie „Prawy rycerz" (1648) zadawał czytelnikowi retoryczne pytanie: *„Jako się wygranej z nieprzyjacielem spodziewać mamy, kiedy wszystka starszyzna nierządem się obłożywszy, raczej fraucymer niżeli rycerzów na wojnę prowadzi"*. I dalej powiada, niby w odpowiedzi: *„Bo to wielka sromota rycerzowi nierządem się bawić i wozić z sobą nałożnicę, która go w pieszczoty wprawuje i serce mu każi do boju, a pijaństwem i wyśmienitymi potrawami paść mu się każe"*.

Była to przejrzysta aluzja do winowajców klęski pilawieckiej we wrześniu 1648 r., a w szczególności do ks. Dominika Zasławskiego, któremu inny autor wspomniał:

boś Ormianki w obozie piastował
I ich bardziej niźli buławę szanował.
W jednej była buława i twa żona cenie,
Wakowało oboje, a insze na łonie
Twym siadały dziewczęta, a wojsko bez pana.

Jeszcze w roku następnym poeta Samuel ze Skrzypny Twardowski nawoływał do opamiętania:

Aż i w obozie, wszytkiej nędzy szkole,
Wety od cukrów muszą być na stole,
A od perfumów i wszytkiej niecnoty
Śmierdzą namioty

Wobec takiego naruszenia dyscypliny wojskowej hetman polny Wielkiego Księstwa Litewskiego Janusz Radziwiłł, znany czytelnikom „Potopu" warchoł i zdrajca, groził: *„Kto by się opilstwem, albo wszetecznością bawił a pogotowiu z wszetecznicą mieszkał i onę z sobą woził albo gdziekolwiek przechowywał a gwałt białej płci uczynił, na gardle albo poczciwości ma być karany"*. I dalej: *„niewiasty niewstydliwe aby z obozem nie ciągnęły ani chowane były, pod srogim karaniem na gardle. Gdzie by tedy towarzysz przechowywał sobie jaką nierządnicę a za inkwirowaniem rotmistrzowskim nie chciał tego poniechać, ma do hetmana rotmistrz donieść. A gdzie by towarzysz po napomnieniu rotmistrzowskim, porzuciwszy zaraz wszeteczność, znowu się do niego wrócił, tedy ma być o to gardłem karany, spólnie z tą maszkarą, jeśli dobrowolnie na to wszeteczeństwo zezwoliła"*.

Kasztelan rawski Krzysztof z Mirowa Mirowski w artykułach ustanowionych 1 listopada 1572 r. przestrzegał, że za pośrednictwem pań wesołych *„wszelakie niezdrowie, zbytki i france przychodzą, skąd najczystszego pachołka takowe choroby złamią i w niwecz obróca"*. Za uprawianie nierządu pan kasztelan groził nierządnicom utopieniem.

Jan Zamoyski zalecał karanie obojga winowajców ucięciem głów (1580), potwierdził tę sentencję niebawem Stefan Batory (1581). Artykuły hetmańskie z 1609 r. orzekały karę pręgierza, chłostę, wyświecenie z wojska, białogłowę wszeteczną prócz tego pryskowano czyli piętnowano.

Mimo zagrożenia zdrowia i życia żołnierze oddawali z trudem uzyskany żołd lub zysk ze zdobyczy wojennej za chwile płatnej miłości i nieskuteczne okazywały się zarówno formuły prawne jak i najsurowsze sankcje. Podobnie nie przestrzegano zakazów odnoszących się do postępowania z cudziemskimi brankami wziętymi do niewoli podczas wojen moskiewskich za panowania Zygmunta III Wazy. Obowiązywał tu pewien liberalizm, jak to bywa gdy jeńcy stanowili cenną zdobycz, ale w przypadku nierządnic prawo okazywało się twarde i orzekało bezzwłoczne porzucenie takowej zdobyczy na łaskę i niełaskę. Gdyby prawo zostało naruszone, nierządnicę skazywano na śmierć przez utopienie. Zdarzało się czasem, że kobietę przebierano dla niepoznaki w strój męski lub mniszy habit. Wojewoda wileński Krzysztof Radziwiłł w sierpniu 1635 r. orzekał, że w takim wypadku żołnierz tracił cześć, nierządnica zaś podlegała hańbiącemu piętnowaniu. Okrucieństwa wyroku można było uniknąć jedynie poprzez zawarcie związku małżeńskiego, co wyraźnie określała „Ordynacja sądów wojskowych za króla Jana Kazimierza" z lat 1649—1668: *„Żadna małna abo wszetecznica jawna nie ma być pod regimentem cierpiana, tak w ciągnieniu jako w stanowisku. Jeśliby kto chciał z taka przebywać, tedy ma z nią ślub brać, jakoż każdemu wolno małżonkę swą uczciwą z sobą wozić"*.

Jeszcze za czasów Augusta II Sasa (1698) jeden z artykułów wojskowych zalecał, by *„nałożnicow, nierządnego życia białych głów i innych podejrzanych kobiet ani oficjer ani żołnierz przy sobie trzymać i przy kompaniej cierpieć nie powinien, i owszem takowe wcale odprawić ma, inaczej należytej nie ujdzie kary"*. Przemijali królowie i hetmani, pozostawał wciąż aktualny problem wesołych pań i ich miłośników.

ANDRZEJ KEMPA

ze str. 1

z tymi, którzy jeszcze żyją. W swej książce japoński autor fabularyzuje niektóre wątki. Po prostu brak mu danych.

Radzieckie pismo „Argumenty i fakty", o nakładzie ponad 35 milionów egzemplarzy, wspomina o tej książce, odpowiadając na list czytelnika, który pyta czy na Józefa Stalina dokonywano zamachów. Pytającemu chodziło zapewne o wymuszone w śledztwie na Nikołaju Bucharinie zeznanie, że w 1918 roku Lew Trocki planował zamach na Włodzimierza Lenina, Józefa Stalina i Jakowa Swierdłowa, a po zabójstwie Sergieja Kirowa w grudniu 1934 Nikołaj Bucharin sam miał kierować grupą zwolenników Lwa Trockiego, zamierzających zlikwidować dyktatora. Tamtym urojonym spiskom nadano wielki rozgłos. Józef Stalin posłużył się nimi dla fizycznego zlikwidowania opozycji. O zamachach rzeczywistych milczało natomiast zarówno NKWD jak i wywiad wojskowy. Na ten temat w ZSRR nikt dotąd nie zabrał oficjalnie głosu. Były zatem japońskie zamachy na Stalina, czy ich nie było? „Argumenty i fakty" piszą:

„Nie śpieszmy się z ostatecznymi wnioskami. I oto dlaczego. Główna postać operacji, opisanych w książce „Japońskie plany zamachów na Stalina" to osoba rzeczywiście istniejąca. Był nią szef zarządu NKWD w Chabarowsku Grigorij (według innych źródeł Henryk) Samojłowicz Luszkow".

Człowiek, który zdradził

W tym miejscu naprasza się komentarz. Ależ ja to nazwisko znam! Tak nazywał się dowódca wojsk ochrony pogranicza na Dalekim Wschodzie ZSRR w 1938 roku — a wojska te podlegały NKWD. Jego ucieczka posłużyła jako pretekst do aresztowania legendarnego bohatera wojny domowej, dowódcy Specjalnej Armii Dalekowschodniej marszałka Wasyla Blüchera, skatowanego na Łubiance w Moskwie i zastrzelonego w czasie przesłuchania 9 listopada 1938 roku. Aresztowano go jako... japońskiego szpiega. Czy marszałek Wasyl Blücher padł ofiarą prowokacji wywiadu japońskiego podobnie jak marszałek Michaił Tuchaczewski, który zginął na skutek intryg wywiadu III Rzeszy?

Marszałek Wasyl Blücher był postacią szczególnie znienawidzoną przez Japończyków. W latach 1925—27 przebywał w Chinach jako doradca rewolucyjnego Kuomintangu. W 1929 roku stanął na czele specjalnej Armii Dalekowschodniej, osłaniającej między innymi linię kolejową biegnącą przez Mandżurię do Portu Artura, którą Rosja zbudowała w latach 1897—1903. Linia ta zarządzana była wspólnie przez ZSRR i Chiny. W 1929 roku napadli na nią militaryści chińscy, nie uznający władz w Pekinie. Po stronie chińskich watażków brały udział oddziały rosyjskich białogwardzistów, którzy schronili się po radzieckiej wojnie domowej w Mandżurii. W walce z nimi wyróżnił się przyszły marszałek ZSRR i Polski Konstanty Rokossowski, wówczas podwładny komandarma (stopnie marszałkowskie wprowadzono w ZSRR później) Wasyla Blüchera, który dokonał kawaleryjskiego rajdu na tyły chińskich generałów. W niespełna trzy lata później zjawili się w Mandżurii Japończycy. Oto jak ocenił podbój Mandżurii przez Japonię osławiony „Krótki kurs historii WKP(b)", streszczając odpowiedni fragment referatu Stalina na XVI zjeździe partii:

„W roku 1932 zwiększyło się niebezpieczeństwo wojny ze strony Japonii. Imperialiści japońscy widząc, że mocarstwa europejskie i Stany Zjednoczone są w związku z kryzysem ekonomicznym całkowicie pochłonięte swymi sprawami wewnętrznymi, postanowili skorzystać z okazji i dokonać próby wywarcia nacisku na słabe pod względem obronnym Chiny, podbić je i stać się w Chinach panami sytuacji. Imperialiści japońscy, nie wypowiadając wojny Chinom i oszukańczo wykorzystując wywołane przez nich samych „incydenty miejscowe", wprowadzili w złodziejski sposób wojska do Mandżurii. Wojska japońskie całkowicie zagarnęły Mandżurię, przygotowując sobie wygodne pozycje dla zaboru Chin północnych i dla napadu na ZSRR".

Ocena była trafna. 29 lipca 1938 roku Japończycy zaatakowali okolice jeziora Chasan leżącego na terytorium ZSRR w pobliżu Korei. W walkach z radzieckimi wojskami obrony pogranicza wzięły udział 3 dywizje japońskiej piechoty, brygada zmotoryzowana i pułk kawaleryjski pod osłoną 70 samolotów. Napór Japończyków powstrzymywał z trudem 39 Korpus Armii Dalekowschodniej, którym dowodził szef sztabu Frontu Dalekowschodniego generał G. Sztern.

Józef Stalin był niezadowolony z przebiegu operacji

Zrugał telefonicznie Wasyla Blüchera. Zapytał go: *Powiedzcie uczciwie, czy chcecie walczyć z Japończykami? Jeśli nie, odrzeknijcie wprost, jak komunista. A jeśli tak, wyjeżdżajcie na miejsce walk.*

Teraz, po latach, wyszło na jaw, że Stalin zażądał rzucenia do walki w złych warunkach pogodowych radzieckiego lotnictwa bombowego. Wasyl Blücher obawiał się, że zostanie przy okazji zbombardowana Korea. Objął wszakże bezpośrednie dowództwo operacjami wojskowymi, wprowadzając do boju 285 czołgów i 250 samolotów. 11 sierpnia 1938 roku Japończycy rozpoczęli odwrót. Czy Grigorij vel Henryk Luszkow wydał Japończykom plany umocnień granicznych? Na te pytania brak wyraźnej odpowiedzi.

31 sierpnia 1938 roku Wasyl Blücher został wezwany do Moskwy. Tu przesłuchała go Naczelna Rada Wojskowa Armii Czerwonej. W jej posiedzeniu brali udział Józef Stalin, Wiaczesław Mołotow, Siemion Budionny, wysoki funkcjonariusz NKWD Frinowski. Wkrótce po tym przesłuchaniu Wasyl Blücher został aresztowany.

I znów pytanie: czy NKWD przekonało tym samym Japończyków, że zdrajca (?) Luszkow zasługuje na zaufanie? A może Luszkow był podwójnym agentem? Jego ucieczkę wykorzystano dla usunięcia Blüchera, a jednocześnie podrzucono Japończykom wtyczkę wywiadu ZSRR?

Po wypowiedzeniu przez Związek Radziecki wojny Japonii w dniu 9 sierpnia 1945 roku i rozbiciu przez Armię Czerwoną doborowej Armii Kwantuńskiej, w zatoce morskiej w pobliżu miasta Dajren w Mandżurii wyłowiono zwłoki Grigorija (Henryka) Luszkowa. Śledztwo ustaliło, że Luszkow został uduszony i zrzucony do wody z pokładu łodzi motorowej. Jej załogę stanowili członkowie Japońskiej Misji Wojennej w Mandżukuo. Pod tym szyldem działał w Mandżurii wywiad japoński. Powiadomił o tym redakcję „Argumentów i faktów" czytelnik z Chabarowska, który piastował w 1945 roku funkcję urzędnika radzieckiego konsulatu w Harbinie. *„Śmierć Luszkowa — to także zagadka, którą należy rozwikłać"* — piszą „Argumenty i fakty". — Artykuł radzieckiego pisma kończy się słowami: *„Luszkowa zlikwidowali Japończycy. Jakie sekrety japońskie mógł wydać?"*

O samym Grigoriju (Henryku) Luszkowie było dotąd wiadomo niewiele. Naukowiec z Instytutu Dalekiego Wschodu Akademii Nauk ZSRR J. Owczynnikow ustalił, że w chwili śmierci Luszkow miał 45 lat. Urodził się w 1900 roku w Odessie, w rodzinie kupca. Pod wpływem brata-bolszewika wziął udział w rewolucji, w czasie wojny domowej był dowódcą pułku Armii Czerwonej. Do organów WCzK (później GPU-NKWD) trafił w 1919 roku. Pełnił różne funkcje w organach bezpieczeństwa w Moskwie i na Ukrainie. Do Chabarowska został skierowany w 1937 roku. W czasie inspekcji umocnień granicznych przeszedł 1 lipca 1938 roku na teren państwa Mandżukuo. W 29 dni później Japończycy złamali granicę ZSRR.

J. Owczynnikow przeanalizował gazety, donoszące o przejściu Luszkowa na stronę wroga. Motywów jego zdrady dopatrywano się w tym, że był „człowiekiem Jagody, którego kariera właśnie się załamała. Nikołaj Jeżow — następca Henryka Jagody — dokonał licznych aresztowań w NKWD. Luszkow ratował się przed represjami ucieczką za granicę.

Czy brał udział w przygotowaniach japońskich zamachów na życie Stalina? Radziecki uczony nie wypowiada własnej opinii na ten temat. Przytacza zdanie Hijamy Yesiaki:

„Sama myśl zamachu powstała dzięki temu, że Japończycy nieoczekiwanie pozyskali takiego sojusznika jak Luszkow. Któż mógł im lepiej opisać trasy przejazdów, nawyki, system ochrony Stalina? Któż jeszcze mógł zapewnić, że w przypadku powodzenia zmachu znajdą się w kierownictwie NKWD ludzie, którzy wstawią się za terrorystami?"

Rosjanie spod znaku swastyki

Z japońskich i radzieckich źródeł nic właściwie nie wiadomo o samych zamachowcach. Wskazane zostało jedynie środowisko, gdzie ich zwerbowano: biała emigracja w Mandżurii.

Sięgnąłem do wspomnień radzieckiej dziennikarki Natalii Iljinej, która w latach 30. mieszkała w Harbinie. Była krewną rosyjskiego botanika A. Wojejkowa. Wiosną 1933 roku porwali go, licząc na okup, chińscy rozbójnicy, zwani chunchuzami. Wówczas Iljina zetknęła się z ich przywódcą, szefem charbińskiej bandyckiej mafii, mówiącym świetnie po rosyjsku, zruszczonym Japończykiem o nazwisku Konstantin Iwanowicz Nakamura. Po zajęciu Mandżurii przez wojska japońskie Nakamura objął wysokie stanowisko w japońskiej żandarmerii. Odpowiadał za kontakty z „rosyjskimi faszystami" Natalia Iljina bierze te słowa w cudzysłów, ale wyjaśnia, że w Harbinie istniała rzeczywiście Rosyjska Partia Faszystowska, posługująca się swastyką i uważająca za swych ideowych przywódców Adolfa Hitlera i Benito Mussoliniego. Rosyjscy faszyści nosili czarne koszule przepasane koalicyjkami, bryczesy, buty z cholewami, opaski z hackenkreutzem i pozdrawiali się wyrzucaną w hitlerowskim geście powitalnym ręką, wykrzykując „Sława Rossiji!" Znak swastyki umieścili na dachu swego klubu. Wydawali gazetę „Nasz Put'", ozdobioną carskim orłem siedzącym na hitlerowskim emblemacie.

Rosyjską Partię Faszystowską założył urodzony w 1907 roku syn syberyjskiego notariusza Rodzajewski, który w 1925 roku uciekł z Błagowieszczeńska do Harbinu. Był człowiekiem oczytanym, lubił muzykę, grał na fortepianie. Fanatycznie nienawidził Żydów. Bojówki jego partii, podobnie jak oddziały SA w Niemczech, tłukły szyby w żydowskich sklepach, obrzucały kamieniami synagogę. W Harbinie istniała wówczas spora kolonia żydowska. Byli to przeważnie Żydzi z Rosji, którzy schronili się tutaj przed boleszewikami.

Jednego z nich, bogatego jubilera nazwiskiem Kaspe, odwiedził latem 1933 roku syn mieszkający w Paryżu. Był znanym pianistą. Wystąpił dwa lub trzy razy przed harbińskim audytorium z koncertem składającym się z utworów kompozytorów francuskich. Młodego Kaspe porwali chunchuzi. Zażądali 300 tysięcy dolarów okupu. Stary Kaspe albo nie miał takich pieniędzy, albo nie chciał ich dać. Jego synowi odcięto uszy. Ponieważ japońska policja ochraniała chunchuzów świadczących jej usługi, francuski konsul podjął śledztwo na własną rękę. Wysłano go z Harbinu jako „personę non grata". Stary Kaspe otrzymał wkrótce trumnę ze zmasakrowanymi zwłokami syna. Jego pogrzeb przekształcił się w antyfaszystowską demonstrację, okazało się bowiem, że pod chunchuzów podszyli się tym razem rosyjscy faszyści. Podano w gazetach ich nazwiska. Martynow, Kiriczenko, Szander, Gałuszko i Zajcew. Gazeta „Nasz Put'" wzięła ich w obronę, twierdząc, że okup miał posłużyć wykupieniu od tegoż samego Kaspe kosztowności carskich, skradzionych w Rosji i nabytych przez niego po lichwiarskiej cenie. Rosyjscy faszyści twierdzili, że młody Kaspe był agentem Kominternu.

W grudniu 1936 roku Natalia Iljina wyjechała do Szanghaju, a po wojnie wróciła do ZSRR. Kiedy w 1945 roku Armia Czerwona wkraczała do Harbinu biała emigracja witała ją biciem w dzwony, modłami za ojczyznę, kwiatami. Słynny kozacki ataman Siemionow, który walczył z Armią Czerwoną na Syberii, a potem nękał radzieckie tereny nadgraniczne napadami z terytorium Mandżurii, wydał w Dairenie bankiet na cześć dowództwa radzieckiego. Po bankiecie przewieziono go samolotem do Moskwy. Z lotniska trafił na Łubiankę. Rodzajewski uciekł przed wojskami radzieckimi do Tientsinu. Tu wszakże odwiedził go konsul radziecki z ambasady w Pekinie, przekonał, że kraj potrzebuje żarliwych patriotów i namówił do powrotu do Rosji.

W Pekinie Rodzajewski napisał list do marszałka Rodiona Malinowskiego, który dowodził operacjami wojsk radzieckich w Mandżurii. Treść tego listu nie jest znana. Napisał też list do Józefa Stalina. Kopię listu odnalazł profesor historii Uniwersytetu Hawajskiego John Stefan, autor książki „Rosyjscy faszyści. Tragedia i farsa na wygnaniu". Opublikowało to prężne wydawnictwo „Harper and Row" w 1978 roku. W liście swym Rodzajewski składał hołd geniuszowi Stalina i uznawał w nim wodza, o jakim marzyła Rosja. Za jego największą zasługę uważał wprowadzenie porządku w kraju, zwycięstwo w wojnie i poszerzenie granic Rosji. Wyrażał też nadzieję, że Stalin zbawi Rosję od Żydów. Zapewniał, że przedtem stawiał na Hitlera, gdyż sądził, iż Hitler dokona tego dzieła. Tylko dlatego go popierał.

Z Pekinu Rodzajewski także trafił na Łubiankę. Sądzono go. Wyrok brzmiał: kara śmierci przez rozstrzelanie. Atamana Siemionowa powieszono.

Zeznania Rodzajewskiego i Siemionowa nie zostały opublikowane. Czy NKWD pytało ich o Luszkowa (zginął pod bokiem atamana Siemionowa)? O niedoszłych zabójców Stalina, których Japończycy zwerbowali spośród ich ludzi?

Zamiast epilogu

„Argumenty i fakty" nie mogą zdecydować się, jak określić ostatecznie Grigorija (Henryka) Luszkowa. Jako patriotę, który przejrzał i szukał ludzi, mogących zbawić jego kraj od tyrana? Jako agenta NKWD? Jako zdrajcę? Pozostawiają otwarte pytanie, czym się kierował. Teraz, na fali krytyki stalinizmu, szczególnie nęcący wydaje się pierwszy motyw. Pismo radzieckie dodaje jednak: *„Zdrada dokonana z najszlachetniejszych pobudek pozostaje wszakże zdradą. Za informację, przekazaną Japończykom, zapłacił nie Stalin, ale radzieccy pogranicznicy, czerwonoarmiści, funkcjonariusze wywiadu i ich pomocnicy — komuniści chińscy, członkowie podziemia"*.

Nie wiadomo, jaki byłby dalszy ciąg wydarzeń, gdyby zamach na Stalina się powiódł. Mógł pociągnąć za sobą „radziecki Pearl Harbor" czyli napaść Japonii na Syberię. Japońska machina wojskowa była gotowa do zadania ciosu radzieckim wojskom na Dalekim Wschodzie, osłabionym po odwołaniu i zamordowaniu marszałka Wasyla Blüchera. W maju 1939 roku Japończycy zamiast na ZSRR uderzyli nad rzeką Chałchin-Goł na Mongolię. 20 sierpnia 1939 roku przeszedł do przeciwnatarcia radziecki komdiw, przyszły marszałek ZSRR Gieorgij Żukow. 31 sierpnia 1939 roku Japończyków wyrzucono z Mongolii.

Następnego dnia Adolf Hitler napadł na Polskę. Józef Stalin stał się sojusznikiem Hitlera. Coś pomieszało się w kartach osi „Berlin—Rzym—Tokio". Wywiad japoński nie podejmował więcej prób zamordowania Stalina. A Kreml milczał pół wieku o tym, co zaszło w Maceście a potem w Moskwie przed 1 maja 1939 roku. Właściwie milczy nadal. Na razie przemówiła prasa.

Japończykom nie udał się zamach na Józefa Stalina

RYSZARD BADOWSKI

ze str. 1

większością, ściślej jednym głosem. Mógł nawet te wybory przegrać, gdyż część ludzi z RKO jakby je zlekceważyła: nie było ich na sali w decydującej chwili, nie wytrzymali wielogodzinnego maratonu. To mało przekonywające zwycięstwo znamionowało głęboki podział. Wielu działaczy pamiętało nieobecność Andrzeja w najtrudniejszym okresie.

— Przecież siedział w Barczewie, w więzieniu...

— Wielu z nas siedziało, ale kiedy wyszedł widziało się go raczej przy Kościele mniej w związku. RKW korzystało z pomocy Kościoła, nie zapominało jednak o „Solidarności". Andrzeja Słowika nie było widać na forum krajowym ani przy Lechu Wałęsie, deklarował się nawet jako jego przeciwnik. A więc zwycięstwo jednym głosem nie dawało jedności w związku I to widać w tej chwili — jedności nie ma.

— Ale w demokratycznych wyborach nawet zwycięstwo jednym głosem pozostaje przecież zwycięstwem.

— Tego nie kwestionuję, uznaję w nim przewodniczącego regionu, chociaż sądziłem, że pójdzie za przykładem Zbigniewa Bujaka i da szansę komuś młodszemu. Bo „Solidarność" się zmieniła, my już nie odbudujemy tamtego związku, trzeba to sobie uświadomić. W 1980 r. na czele związku musiał stać bojownik, walący w czerwonego. Teraz nie ma potrzeby walczenia z rządem, bo rząd jest nasz. Będzie się musiała zmienić także struktura związku, ludzi bardziej będą jednoczyć interesy zawodowe grupowe, a zarządom regionów przypadnie tylko funkcja koordynacyjna, nie będą już przedstawiać siły. Nie wiem tylko, czy do tych nowych funkcji będą się nadawać ludzie, którzy przywykli do walki z rządem.

— W Łodzi daje się zaobserwować ducha walki narasta konflikt między Łódzkim Porozumieniem Obywatelskim a Wojewódzkim Komitetem Obywatelskim.

— Bo inna jest ich geneza Porozumienie Obywatelskie zawiązało się jeszcze przed wyborami do Sejmu i zaczęło skupiać różne, powstające dopiero, ugrupowania polityczne, natomiast Komitet Obywatelski powstał z inicjatywy Lecha Wałęsy dla zorganizowania wyborów do Sejmu. Nasz Komitet Obywatelski wyłonił się z warszawskiego, krajowego, do którego należał dr Marek Edelman oraz ja. Wybory do Sejmu Komitet Obywatelski wygrał Andrzej Słowik ze swoją grupą znalazł się poza tą strukturą, popierał kandydaturę mecenasa Karola Głogowskiego na senatora, zresztą bezskutecznie.

Lech Wałęsa obawiał się, że komitety obywatelskie, które udowodniły swoją wielką operatywność, mogą stanowić konkurencję dla związku i w pierwszym momencie dążył do ich rozwiązania. Przekonano go jednak, że nie wolno marnować tak cennego kapitału doświadczeń. Komitety obywatelskie pozostały więc w społecznym pejzażu i działają do dziś, niemal w tym samym składzie.

żadnej partii, oznacza lewicowość? A może obywatele mają dość partii, doświadczywszy na własnej skórze kierowniczej roli jednej z nich? WKO nie pyta nikogo o przynależność, interesuje go tylko, czy ktoś cieszy się autorytetem społecznym.

— W jaki sposób ustala się to społeczne poparcie?

— Ludzi godnych zaufania typują komitety osiedlowe i dzielnicowe. Małe społeczności doskonale orientują się, kto jest porządnym człowiekiem, a kogo należy się wystrzegać. Chodzi przecież o to, aby kandydat na radnego, niezależnie od swoich przekonań, działał dla dobra tej dzielnicy. Czy partie polityczne mogą rywalizować między sobą w dziedzinie skuteczniejszego wywożenia śmieci? Tego nie rozumiem. W samorządzie potrzebni są fachowcy. To przez 45 lat liczyła się przynależność do jakiegoś ugrupowania, my chcemy zerwać z tą ponurą tradycją.

— Stoi pan więc na stanowisku, że kwestie polityczne będą istotne dopiero podczas wyborów do parlamentu?

— Tak, politycy potrzebni są w Sejmie, w samorządzie raczej fachowcy. Polityka owszem, także, ale w ramach tego miasta i dla dobra tej dużej gminy, jaką będzie Łódź.

— Wspomniał pan o interesie miasta. Czy mimo niechęci do czerwonych nie należy mimo wszystko współpracować z posłami przeciwnej strony dla dobra Łodzi?

— Jakiś miesiąc temu prezydent Waldemar Bohdanowicz zaprosił wszystkich łódzkich posłów. Apelował o fundusze na oczyszczalnię ścieków, o środki dla szpitala Akademii Medycznej. Gdy decydują racje nadrzędne, trzeba działać wspólnie, niezależnie od podziałów politycznych. Nie chcę w to wnikać, na ile tamci się przemalowali. Ważne, że deklarują swoją pomoc dla Łodzi tak jak my.

— A jak pan ocenia swoją więź z wyborcami?

— Czuję, że mam za mało kontaktów z moimi wyborcami, choć nie ponoszę winy. Praca w parlamencie jest tak absorbująca, że praktycznie

na nic nie ma czasu. Przebywam w Warszawie przeciętnie cztery, pięć dni w tygodniu, zostają więc dwa dni dla wyborców i własnej rodziny. Do tego pracuję zawodowo, prowadzę interes, bo z czegoś trzeba utrzymać rodzinę. Ale mimo wszystko staram się o jak najczęstsze spotkania z ludźmi. Przebywałem na przykład wśród mieszkańców Parzęczewa czy Aleksandrowa, miało to pewien społeczny rezonans, odwiedzam zakłady pracy, co drugi poniedziałek przyjmuję zainteresowanych w biurze poselskim przy ul. Buczka.

Wysadziliśmy czerwonych z siodła

— W Łodzi, w kierownictwie Komitetu Obywatelskiego, obserwowaliśmy jednak dość częste zmiany...

— Oczywiście, niektórzy chcieli przecież ten Komitet rozsadzić od środka. Były próby przejęcia go przez ŁPO. Zarzucano Komitetowi, że nie jest reprezentatywny, nie ma w nim przedstawicieli partii politycznych, personalnie zaś brak w nim Andrzeja Słowika, Jerzego Kropiwnickiego czy Grzegorza Palki. A oni nie mogli brać udziału w pracach Komitetu, gdyż byli przeciwnikami czerwcowych wyborów do parlamentu. Powiedzmy, aby nie było wątpliwości, że WKO opiera się na ludziach dobrej woli, nie reprezentuje żadnych partii politycznych ani związków. Chodzi o wyłonienie reprezentantów do przyszłych samorządów terytorialnych. Nie chciałbym, aby ludzie w osiedlach pozbawieni zostali prawa wybierania własnych przedstawicieli, bo jakaś partia przyniesie im w teczce swojego reprezentanta. W samorządzie potrzebni są dobrzy gospodarze, a nie politycy. Dla mnie ŁPO to nowy PRON, ostatnio sekretarz ŁPO zachęcał nawet do przystąpienia byłych działaczy czerwonych.

— To chyba niemożliwe. Na łamach „Dziennika Łódzkiego", w dodatku redagowanym przez ŁPO lansowana jest przecież opinia, że WKO to taka nieco podejrzana lewica.

— Nie rozumiem, dlaczego chce się nam na siłę przypiąć obelżywą etykietkę. Czy fakt, że się nie należy do

Ludzie zapisują się już na czerwiec. Zastanawia, dlaczego zgłaszają się do posłów OKP, a nie szukają kontaktów np. z radnymi.

— Może to kwestia zaufania?

— Zapewne. Ale także dowód, że służby miejskie nie pracują najlepiej. Cóż może zrobić poseł w sprawie zamiany mieszkania czy zawalonej komórki? Wiele spraw udało mi się mimo wszystko załatwić, nie chcę jednak rozwodzić się nad tym szeroko, aby nie rozbudzać nadmiernych nadziei: wtedy kolejka jeszcze się wydłuży. Najwięcej, niestety, jest spraw mieszkaniowych.

— A więc posłów traktuje się jako ostatnią instancję nadziei?

— Wolałbym nie być ostatnią instancją. Uświadamiam ludziom, że poseł może interweniować dopiero wtedy, kiedy nastąpiło naruszenie prawa.

— Czasem odnoszę wrażenie, że angażuje się pan nadprogramowo. Choćby przez słynną sprawę lotniska, która naraziła pana również na uszczypliwe uwagi prasy.

— W tej chwili trwają prace studialne, które zostaną zakończone w czerwcu. Finansują je trzy zainteresowane miasta: Łódź, Sieradz i Piotrków, które wyłożyły 100 mln zł. Sprawą interesuje się dwóch poważnych kontrahentów zagranicznych, ale nie zostałem upoważniony do ujawniania szczegółów. Mogę powiedzieć tylko, że w pierwszym etapie byłoby to lotnisko transportowe. „Lot" nie jest zainteresowany, nie posiada odpowiednich maszyn. Ale to dobry interes. Wymaga uregulowania kwestia własności, gdyż jest to lotnisko wojskowe i w tej sprawie muszą się dogadać MON i Ministerstwo Finansów. Toczą się rozmowy.

— Czy ma pan czas śledzić konsekwencje swoich spotkań i interwencji poselskich? Mam na myśli sprawę Parzęczewa, przez pana przecież wywołaną.

— Rozmawiałem z prokuratorem wojewódzkim w Łodzi i prokuratorem rejonowym w Zgierzu, bo to jego teren. Udostępniłem im własne materiały, zeznania na piśmie na temat łapówek a także protokoły kontroli sklepów spożywczych, gdzie spekulowano artykułami poszukiwanymi na rynku. Jestem w kontakcie z Komitetem Obywatelskim w Parzęczewie, ale poseł nie może wyręczać organów ścigania. Prokurator zapewnił mnie, że ludzie, którzy przyznali się do dawania wymuszonych łapówek, nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Przypuszczam, że takich skorumpowanych gmin jest w Polsce więcej. Ludzie milczą jednak czekając jak zostanie załatwiona sprawa Parzęczewa.

— Czy otrzymuje pan także listy?

— Tak adresowane do mnie, do prof. Bronisława Geremka albo wprost do Sejmu. Całe szczęście, że mamy biuro przy Buczka 18 i angażujemy je do załatwiania tych spraw, sami nie dalibyśmy rady, „posłowanie" zabiera dużo czasu.

— Można więc powiedzieć, że w Polsce wykształcił się już zawód parlamentarzysty?

— Chyba tak, ze względu na obciążenie posła. Parlament w tzw. PRL wyglądał nieco inaczej, były sejmowe sesje: wiosenne i jesienne.. I na tym się kończyło. My działamy praktycznie bez przerw.

— Ile trzeba dołożyć z własnej kieszeni, aby działać skutecznie w parlamencie?

— Na pewno dieta nie wystarcza, stołówka jest bardzo droga. Nikt nam nie zwraca za telefony i taksówki. W Sejmie są zaledwie dwa samochody do dyspozycji na 460 posłów, więc kiedy trzeba szybko coś załatwić, korzysta się z taksówki. Kolegom, którzy posiadają samochody nikt nie zwraca za benzynę czy naprawę wozu. Sporo pieniędzy trzeba wydawać także na prasę, bo to ważne źródło informacji o stanie państwa. W Sejmie można zaobserwować, że niektórzy posłowie jedzą tylko zupę, bo nie stać ich na drugie danie. Jeśli ktoś jest zawodowym posłem i utrzymuje się z diety, a ma na utrzymaniu dzieci, temu na pewno się nie przelewa.

— Może to dobrze, że posłowie poznają w ten sposób poziom życia dużego odłamu Polaków?

— Zapewne są w ten sposób bliżej życia, ale aby mogli działać sprawnie, trzeba im stworzyć możliwości.

— Czy mimo tych wszystkich obciążeń będzie się pan ubiegał o mandat w następnej kadencji?

— Poseł działa na wielu polach, jest rozdzierany przez liczne obowiązki. To ciężka praca, ale i satysfakcjonująca, zwłaszcza, gdy jak w komisjach sejmowych, drąży się jakiś temat. A potem przechodzi się do następnego. To wciąga. Ale pamiętam zawsze, że zaniedbuję własną rodzinę. Moje córki dorastają, żona narzeka, że wciąż nie ma mnie w domu. Żelazko stoi tygodniami zepsute. Dlatego nie wiem, co odpowiedzieć. Byłem długo w opozycji, może to czas dla młodszych co mają teraz po 30 lat. Jedno nie ulega wątpliwości: trzeba przyspieszyć wolne wybory, przeprowadzić je; gdy tylko powstaną dogodne warunki, to znaczy kiedy wyklarują się struktury polityczne. Podpisałem się jako drugi na liście pod inicjatywą poselską aby już w tej chwili przystąpić do opracowania nowej ordynacji wyborczej. Nie wolno tylko działać zbyt pośpiesznie. Wiemy dziś, czego w kraju powinniśmy unikać, dobrze poznaliśmy czerwonych. Pozytywne programy buduje się jednak trudniej.

— Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Interesy i sentymenty

ze str. 3

— Ty — jako prezes „Polish-American International Business Association"?

— Tak, tego stowarzyszenia młodych polonijnych businessmanów, którego radzie nadzorczej przewodniczy Wiesiek Żółtowski... Premier podczas pobytu w Stanach powiedział: „Polska potrzebuje Polonii, a Polonia potrzebuje Polski". I to był istotny motyw naszej rozmowy.

— Czego potrzebujemy od Polonii, wiemy doskonale, a ona — od Polski?

— Na początek, żeby nie utrudniała naszej pomocy. O tym też mówiliśmy z premierem. Oczekujemy pewnego uprzywilejowania dla kapitału polonijnego, oczywiście, nie wobec rodaków w kraju, lecz w stosunku do kapitału obcego. Chcielibyśmy po prostu w harmonijny sposób łączyć sentymenty z interesami.

— Uda się?

— Musimy być dobrej myśli, chociaż wciąż jeszcze warunki polskie daleko odbiegają od standardu amerykańskiego, nowy ład prawny i gospodarczy zaprowadzany jest nie zawsze konsekwentnie, jest wciąż spory chaos, za dużo państwa w jednych sprawach, za mało — w innych.

— W tym więc tkwi zagrożenie dla powodzenia interesów?

— Obawiam się, że spore też niebezpieczeństwo tkwi w samych ludziach, w ich nawykach, spaczeniach, zaściankowości... Dopiero z tamtej perspektywy można dostrzec Polskę we właściwym wymiarze, który — będąc tu, w kraju — często zatracamy.

— A Polacy?

— Tak tam, jak i tu strasznie się żrą... Bo popatrz, milion Polaków w Chicago i co? Czy nie powinniśmy mieć własnego burmistrza? Własnych władz stanowych i municypalnych...? Próbujemy coś zrobić, żeby skonsolidować środowisko emigracyjne, wyasygnowaliśmy sto tysięcy dolarów na kampanię wyborczą Teda Lechowicza — senatora stanu Illinois. Będziemy wysuwać i popierać polskich kandydatów.. Mamy zresztą na tę konsolidację pewien sposób: nie identyfikujemy się z żadną partią czy grupą polityczną, jesteśmy w tym bardzo konsekwentni. Chcesz robić politykę? Wybacz, ale nie u nas, u nas robi się przede wszystkim pieniądze. Można by długo mówić, ale wy macie swoje problemy. Swoją drogą, większość Polaków ma w Ameryce bardzo trudny start, często przed przyjazdem nie mają nawet wyobrażenia, ile trzeba mieć samozaparcia, hartu, żeby coś osiągnąć, żeby się tam nie zatracić, bo wtedy zamiast marsz w górę, zjazd w dół: alkoholizm, rozbite rodziny... Przykre to, ale Polaka na amerykańskiej ulicy poznaje się na pierwszy rzut oka. Na początku mojego pobytu byłem jedynym spieszącym się facetem w dzielnicy, gdzie mieszkałem. Spoglądali na mnie z aut jak na jakiś eksponat, nie dość że idzie, to jeszcze się spieszy... A te Polki? Zdyszane, spocone, z torbami pełnymi zakupów... To nie po amerykańsku!

— „Keep smiling" czy „take it easy", kiedy czekasz na mieszkanie dwadzieścia lat albo nie masz za co dożyć do pierwszego? Łatwo powiedzieć... Masz kompleks, że jesteś Polakiem?

— Rany boskie, coś ty! Jestem dumny! Cholernie z nas utalentowana nacja! Za Gierka było takie hasło: „Polak potrafi!". Święta prawda. Zwłaszcza tam, gdzie świat normalny, gdzie wygrywa najlepszy, a Polacy nad podziw często są bezkonkurencyjni... To oni, Amerykanie, powinni mieć kompleksy, że taki Kazimierczak zarabia parokroć więcej od ich przeciętnej. Musimy w końcu obalić mit polskiego nieudacznictwa. Tak tu, jak tam... To jeden z celów, jakie chce osiągnąć nasze stowarzyszenie.

— Twoja recepta na sukces?

— Nie będę zbyt oryginalny. Recepta prozaiczna: codzienna rzetelna praca i determinacja w dążeniu do zamierzonego celu. Zachnąłeś się, jakbyś pytał, co ty z tego masz, chociaż tak pracowałeś całe życie... Doskonale rozumiem, żyjecie przecież w kraju niby już wolnym, ale wolnymi wcale się jeszcze nie czujecie. Zbyt wiele czynników zewnętrznych ogranicza waszą wolność, począwszy od koszmarnie niskiego poziomu egzystencji. Zresztą, tu w kraju wciąż — jak sądzę — mniej się liczy to, czy człowiek — jako pracownik — jest rzetelnym, uczciwym profesjonalistą, bardziej, skąd przychodzi i z kim trzyma. Tak było i tak jest.. Moja recepta, mimo wszystko, jest dość uniwersalna. Wielu ludzi wie, jak odnieść sukces, nieliczni jednak go osiągają, a naszarpią się przy tym, ech! Dojrzały człowiek powinien wiedzieć, na co go naprawdę stać, zamiar więc stanowić powinien wynik surowej konfrontacji ambicji z możliwościami. A wtedy — ostro do przodu!

— Ty poszedłeś ostro, twoja pierwsza firma...

— ...znakomicie prosperowała, zajmując się czymś, co się tam nazywa „landscaping". Pielęgnowaliśmy posiadłości bogatych ludzi, trawniki, krzewy... Świetnie nam szło, dobrałem się z kolegą, który jak i ja wychował się na wsi, potrafił więc i lubił robić w ziemi.

— Najadłeś się jednak do pracy w „General Development Corporation".

— Właśnie, właśnie, skonfrontowałem ambicje z możliwościami i doszedłem do wniosku, że dla mnie jest wielki business. Uczyłem się go pilnie w tej korporacji. Stałem się szybko — nie chwaląc się — najlepszym „marketing-managerem". W nagrodę posyłali mnie to do Puerto Rico, to do Brazylii, a nawet w ekskluzywny rejs na pokładzie „Queen Elizabeth II"... Tam nauczyłem się przeprowadzać transakcje, które są dzisiaj moim chlebem powszednim.

— We własnej firmie „A to Z — Real Estate Investment Company", która zarabia krocie na handlu nieruchomościami...

— ...która związana jest z „A to Z Corporation", stworzoną i prowadzoną przez Wieśka Żółtowskiego... Uśmiechasz się. Połączenie interesu z przyjaźnią zdarza się tak rzadko, jak połączenie hobby z zawodem. Ja miałem to szczęście.

— Przyjechaliście z panem Żółtowskim do Polski nie tylko z sentymentu...

— Przyjechaliśmy, żeby rozeznać możliwości inwestowania w Polsce i nawiązać pewne kontakty, które być może zaowocują w niedalekiej przyszłości spotkaniem polonijnych i polskich businessmanów w Pułtusku.

— Gdzie sobie panowie pogadają i nic z tego nie wyniknie. A z waszej wizyty coś konkretnego wyniknie? Na przykład dla Łodzi?

— Właśnie, dla Łdzi już niemal od zaraz. Znów sentyment, ale tu spędziłem przecież kawał życia.. Jesteśmy już po wiążących spotkaniach, zanim wyjedziemy, dogramy szczegóły. Gdy pracowałem w Łodzi, znałem kilku doskonałych managerów: Andrzeja Moryca z „Tricotu", Janka Grzesieka z „Polmozbytu" i innych. Żałowałem nieraz, że nie ma ich razem w Chicago, świetnie by nam się robiło interesy. I zrobimy je w końcu, ale tutaj. Chcemy zainwestować w zaopatrzenie Polski w różne towary i surowce, które będziemy sprowadzać po autentycznie atrakcyjnych cenach.

— Przyda ci się do tego inna twoja firma, operująca na giełdzie — „First Polish Trading Group"?

— Nie ukrywam... Wchodzimy w ten interes na dużą skalę, inwestując u startu kilkaset tysięcy dolarów. Spora część przeznaczona ma być na powstrzymanie agonii przemysłu włókienniczego, który musi dostać takie nowoczesne surowce i materiały, żeby mógł ze swoimi wyrobami wrócić na rynki światowe.

— Dogorywa nie tylko włókiennictwo.

— Wiem, wiem, wbrew temu, co się czasem w kraju głosi, nigdzie w świecie kultura nie jest samowystarczalna, potrzebuje wsparcia.. My jednak dbamy o właściwe proporcje między gadaniem a działaniem. Cóż ci więc mogę dzisiaj powiedzieć? W momencie, gdy uruchomimy business i będzie szedł jak należy, przyjdź i powiedz, że tyle i tyle pieniędzy potrzeba, wtedy nie powiemy: nie, bo to przecież i nasza kultura. Swoją drogą „Odgłosy" znane są również i w Chicago.

— Ale w Chicago pewnie nie wiedzą, że pismo to — jak i wiele innych — po rozwiązaniu koncernu RSW „Prasa" jest właściwie niczyje, do wzięcia.

— Dobrze, powiem i o tym w Chicago... A wiesz, mam przyjaciela, Bogusia Boczarskiego, wydawcę z autentyczną pasją, kto wie, może on też zobaczy tu interes?

— I na koniec: jak się czujesz znów — po latach — w Łodzi?

— Na samopoczucie człowieka duży wpływ ma bez wątpienia towarzystwo, w jakim się obraca, a ja zjechałem tu również i do takich przyjaciół, jak Staszek Michalak i Janek Jonas, którzy robią wszystko, abym wywiózł stąd przekonanie, że ta Łódź tak naprawdę nie przestała być wciąż i moją.

Rozmawiał:
JACEK INDELAK

TRZYNASTOLETNI JAREK: — Moim największym marzeniem jest przestać pić wódkę.

Czy zostali skazani na zło?

MAGDALENA GROCHOWALSKA

Dlaczego dzieci uciekają z domów?

— *Częstą przyczyną ucieczek dzieci z domów jest zbytnia surowość rodziców.* — Mówi pani kapitan Halina Kupińska. — *Dziecko do tego stopnia boi się rodziców, że woli strach związany z niepewnością jutra, głód, zimno i ucieczkę przed milicją niż powrót do domu.*

Za potwierdzenie tych słów może służyć wypracowanie czternastoletniej Doroty (we wszystkich przytoczonych fragmentach wypracowań została zachowana oryginalna pisownia).

„Nie spałam już 7 nocy, tylko noce te spędzam na stacji na siedząco, bo milicja nie pozwala spać. (...) Przez 7 dni nic je jadłam, jedynie tylko nieraz kupiłam sobie herbatę".

Dalej Dorota pisze:

„Nigdy w życiu nie zaznałam pieszczoty rodziców, ja do nich nic nie czuję, nic mnie do nich nie ciągnie, mogłabym żyć bez nich, bo oni mi nie współczują, tylko jeszcze krzyczą. (...) Ciągle mają jakieś głupie pretensje. (...) Ojciec tylko klnie i denerwuje się, a mnie ta atmosfera nie sprzyja. Mogę powiedzieć prawdę, nigdy jeszcze nie tęskniłam za rodzicami i chociaż teraz w tak trudnej sytuacji, kiedy nie mam grosza, chce mi się jeść i spać jednak nie marzę o tym, żeby jechać do rodziców, bo wiem, że przywitają mnie obelżywymi słówkami".

Również czternastoletni Staś nie marzy o powrocie do domu rodzinnego:

„W moim domu jest zawsze kłótnia. (...) Mój drugi ojciec jeść żałuje, a bić to by bił ile chciał i zaganiał do pracy. (...) Chciałbym iść do domu dziecka, gdyż tam bym miał opiekę i nikt by mnie nie bił".

Pisze piętnastoletnia Kasia:

„Moje pogotowie opiekuńcze jest duże, ma dwa piętra, jest fajnie, czysto, miło. (...) Moja wychowawczyni jest bardzo fajna. Są bardzo dobre obiady".

— *Te dzieci nie są złe.* — mówi pani Halina Kupińska. — *Im po prostu brak ciepła rodzinnego. W poszukiwaniu miłości i akceptacji uciekają z domu, czasem wpadają w złe towarzystwo i schodzą na złą drogę. Winę za to ponoszą rodzice, a nie dzieci — w końcu to naturalny odruch, że uciekają stamtąd, gdzie im źle.*

Pisze piętnastoletnia Ewa:

„Mam żal do matki. Za każde drobne przewinienie biła mnie. Ona strasznie łatwo się denerwuje, więc często chodziłam z podbitymi oczami. (...) Nie mam pojęcia co ze mnie wyrośnie. Właściwie to mam dwie twarze. To znaczy mogę kraść, przeklinać, a wystarczy, żeby mnie ktoś pogłaskał i już lecą mi łzy".

Nie wszystkie dzieci uciekają z domów dlatego, że są w nich źle traktowane. Wśród uciekinierów znajduję się również sporo poszukiwaczy przygód. Należy do nich siedemnastoletni Emil, uczeń Liceum Ogólnokształcącego.

„Pozbieraliśmy różne ubiory i inne przedmioty i wczesnym rankiem ruszyliśmy niby to do szkoły — opisuje swoją przygodę. — *Wsiedliśmy do pociągu pospiesznego, który zdąża do Warszawy. Gdzieś około godziny 12 byliśmy w Warszawie. Nie mieliśmy dużo pieniędzy, bo kolega musiał zapłacić mandat za nieważny i niezgodny z legitymacją bilet. Postanowiliśmy więc, że po zwiedzeniu Warszawy wracamy do domu. Innym powodem tej decyzji było dotkliwe zimno. Niestety ciągnięci jakąś dziwną pasją fantastycznych przygód ruszyliśmy z Warszawy w kierunku Hajnówki".*

Wyprawa zakończyła się w Izbie Dziecka.

Są i inne przyczyny ucieczek dzieci z domów — trzynastoletnia Halinka, mieszkanka podłódzkiej wsi tak to uzasadnia:

„Ja uciekłam z domu dlatego, że musiałam paść bydło".

Piętnastoletnia Danusia, również mieszkanka wsi pisze:

„W domu panuje zawsze spokój, ojciec jest bardzo grzeczny, mama i babcia też. Pracują wszyscy wspólnie na roli. (..) Wieczorem, gdy wrócą z pracy są tak bardzo zmęczeni, że nie mogą się nawet umyć przed snem. Nieraz, gdy spojrzę na nich to mnie rozpacz ogarnia. Ja nie chcę tak żyć!!!".

Szesnastoletnia Ela uciekła, bo nie mogła się zgodzić z przyjaciółką ojca:

„Przyjaciółka ojca nie lubiła mnie, a ja również czułam do niej antypatię".

Czternastoletnia Ania, uczennica czwartej klasy szkoły podstawowej nie wie, dlaczego ucieka z domu.

— *Jej mama wyjechała 5 lat temu do RFN* — mówi dziadek Ani. — *Od tamtej pory Ania ucieka z domu. Jej ojciec nie mógł sobie z nią poradzić, więc postanowiłem wziąć ją do siebie. Dziewczynka wymaga opieki, a ja jestem na rencie, więc mam czas, żeby się nią zająć. Myślałem, że sobie z nią poradzę, ale ona znika na całe noce, wynosi z domu rzeczy, wagaruje. Ostatnio ukradła sąsiadce radiomagnetofon. Wreszcie zabrało ją Państwowe Pogotowie Opiekuńcze. Tam siedziała 4 dni w izolatce. Uciekła tego samego dnia, którego ją stamtąd wypuścili. Ja już nie mam do niej sił. Bardzo ją kocham, ale może będzie dla niej lepiej jak ją zabiorą do zakładu poprawczego? Może to ją uratuje...?*

Ania, wysoka, ciemnowłosa ma nieprzeniknioną twarz.

— Za co siedzisz w Izbie Dziecka — pytam.

— *Za ucieczki.*

— Tylko?

— *I za kradzież radiomagnetofonu, ale ja go nie ukradłam, tylko schowałam do szafy.*

Ania kłamie patrząc mi prosto w oczy.

— Dlaczego uciekłaś z domu?

— *Bo jak matula wyjechała, to tata zaczął mnie bić jak przychodziłam późno do domu.*

— A dlaczego uciekłaś od dziadka? Przecież dziadek cię nie bił.

Ania milknie i więcej nie odpowiada.

Od ucieczki do przestępstwa droga jest krótka.

— *Dzieci są głodne* — mówi pani Halina Kupińska — *a nie mają pieniędzy więc kradną. Na dziewczynki czyha więcej niebezpieczeństw. Za jedno ciastko czy bułkę są gotowe pójść z każdym, a potem trudno to naprawić. Pozostaje ślad w psychice.*

Szesnastoletnia Ania opisuje to tak:

„Po raz pierwszy poszłam do kawiarni mając 15 lat. Później uczęszczałam do kawiarni częściej. Poznałam dziewczęta kawiarniane. Zaczęłam pić wino. Wiodłam życie lekkie. Odechciało mi się szkoły i wszystkiego. Zaczęły się wagary, które doprowadziły do nieukończenia szkoły".

Piętnastoletnia Ewa:

„Poznałam ludzi, którzy nie lubili pracować i uważali, że praca hańbi. Imponowało mi to".

Co dzieje się z dziećmi, które trafiają do Izby Dziecka?

—*Dzieci przebywają u nas 48 godzin* — mówi pani Halina Kupińska. — *W przypadku postanowienia Sądu Rodzinnego i Nieletnich mogą pozostać u nas dłużej, jednak okres ich pobytu nie może przekroczyć 14 dni. Przez ten czas ustalamy, komu oddać dziecko, tak aby było to zgodne z jego interesami; czasem są to rodzice lub opiekunowie, czasem Dom Dziecka lub nawet Dom Poprawczy.*

Do Izby Dziecka trafiają zdemoralizowani młodociani przestępcy. Nie mają oni wcale ochoty skończyć ze swoją przestępczą działalnością. Często bywają oni niebezpieczni. W pisanych przez nich wypracowaniach pojawiają się opisy aktów wandalizmu, brutalnych napadów rabunkowych, a nawet prób zabójstwa. Robert ma lat 15.

„Ukradłem matce 200 tys. zł, około 120 tys. zł przetraciłem na picie, a resztę pieniędzy wydałem na różne słodycze i papierosy. Gdzieś w dniach 5 i 6 marca dokonałem dwóch rozbojów na pijanych mężczyznach. Jeden z nich spał na ławce, a drugiego przewróciłem i usiadłem na nim. Z tych dwóch bejców miałem około 400 tys. zł. Za te pieniądze kupiłem sobie buty i 3 wina i zacząłem pić sam na ławkach".

Tomasz, lat 16:

„Zostałem umieszczony w Milicyjnej Izbie Dziecka z powodu rozboju, który dokonałem na nieznanym mężczyźnie. Rozbój ten dokonałem dnia 29.XI.1988 r. Odbyło się to zdarzenie na ulicy róg Limanowskiego a Zachodniej. Skradłem temu mężczyźnie kożuszek, czapkę, saszetkę".

Piotrek, lat 13, został zatrzymany wraz z kolegami za kradzież młodszemu chłopcu zegarka.

„Wciągnęliśmy go do bramy, w której ja go uderzyłem w twarz i po chwili Kuba podwinął chłopcu rękaw, żeby Rafał mógł mu ściągnąć zegarek. Robert bił go żelazem po plecach i po tyłku".

Piętnastoletnia Agata została zatrzymana za próbę zabójstwa nieznanego jej mężczyzny, który ją zaczepił na ulicy.

„On mi ubliżył, wtedy ja wyjęłam nóż (...) i uderzyłam przebijając mężczyźnie bok".

Szesnastoletni Piotr opisuje w pełnej błędów ortograficznych relacji swoje liczne kradzieże.

„Poszłem do bloku przy ulicy Gogola 6, zobaczyłem motorower typu komar. Na drugi dzień poszłem do komurki i ukradłem komara. Po drodze spotkałem kolegę, którego zabrałem na komara, żeby sobie pojeździć. Kiedy zabrakło nam paliwa postanowiłem zaprowadzić go do siebie do komurki. Odprowadziłem kolegę i poszłem do domu spać".

W podobnym tonie utrzymana jest relacja piętnastoletniego Karola.

„Z domu wyszedłem przed godziną 02.00. Udałem się w stronę sklepu radiowo-telewizyjnego przy ul. Pabianickiej. Gdy znalazłem się przed sklepem wybiłem szybę wystawową kamieniem. Z wystawy wziąłem 2 magnetofony. (...) Potem dokonałem drugiego włamania też do sklepu radiowo-telewizyjnego przy ul. Rzgowskiej".

Wstrząsające są wyznania nieletnich zboczeńców seksualnych. Należy do nich czternastoletni gwałciciel małych dziewczynek, piętnastoletnia Basia, która brała udział w zbiorowym gwałcie swojej koleżanki, co nazwała „świetną zabawą", czternastoletni Sławek. Pisze on tak:

„Wczoraj o 9 rano nie poszłem do szkoły. Poszłem do domu jakiejś pani. Weszłem po cichu bo drzwi były otwarte, doszłem do tej pani i ta pani się obudziła. Zapytałem o kolegę. Ta pani odpowiedziała, że tu taki nie mieszka. Rzuciłem się na nią i zacząłem ją całować i łapać za piersi. Potem ta pani uderzyła mnie w twarz i ja uciekłem".

Wiele dzieci nie odróżnia dobra od zła.

Piotrek ma lat 14, zatrzymano go za kradzież. Na pytanie dlaczego kradł oburza się:

— *To nieprawda, ja nie kradłem. Weszliśmy do sklepu. Kolega poprosił o pepsi. Wypiliśmy wspólnie i uciekliśmy. To nie była kradzież!*

Sławkowi, który ma 14 lat, pani kapitan Halina Kupińska długo tłumaczyła, żeby nie kradł z kolegami. Po namyśle chłopiec odpowiada:

— *Ma pani rację, na drugi raz będę kradł sam.*

Rafał, lat 15, jest w Milicyjnej Izbie Dziecka już szósty raz.

— *Pierwszy raz znalazłem się tu przez kolegę* — opowiada. — *Weszliśmy do kuchni szkolnej i ukradliśmy noże. To był jego pomysł. Potem pocieliśmy tymi nożami palmy, a potem powybijaliśmy szyby sklepów. To była zabawa. Potem włamaliśmy się do kiosku, sklepu spożywczego, kilku mieszkań, działek i garaży. Kradłem też cukierki, ciastka i portmonetki z torebek. To wszystko dla zabawy.*

— W jaki sposób kradłeś cukierki? — pytam.

— *Normalnie. Dochodziłem do lady, brałem kilka cukierków i wychodziłem.*

— Mówiłeś, że kradłeś dla zabawy. Czy w przyszłości też się będziesz tak zabawiał?

— *Nie wiem, może...*

Rafał należy też do grona „wąchaczy".

— *Zacząłem w Wieluniu w schronisku dla nieletnich. W ramach zajęć resocjalizacyjnych kazali nam malować zakład, a my laliśmy rozpuszczalnik na szmatkę i wąchaliśmy. Jak jestem na wolności to leję rozpuszczalnik do torebki foliowej, przytykam torebkę do nosa i mocno się zaciągam.*

— Co wtedy czujesz?

— *Mam halucynacje. Raz mi się przywidziało, że z szafy wychodzą wieszaki i tańczą. Innym razem słyszę piosenki. Raz widziałem Matkę Boską na ścianie, a raz siebie jak okradam sklep, to było przyjemne.*

— O czym marzysz?

— *O niczym. Nigdy nie myślę, co będzie potem.*

Niektóre dzieci chcą się wyrwać z „kręgu niemocy" za jaki uważają swoją działalność przestępczą. Piętnastoletni Józek pisze:

„Dokonałem włamania do samochodu osobowego. Moje największe marzenie, to żebym już więcej nie włamywał się do samochodów".

Jarek ma 13 lat:

„Moim największym marzeniem jest przestać pić wódkę".

Trzynastoletnia Małgosia napisała na temat: „Jak chciałabym spędzić Święta Wielkanocne".

„Za oknem piękna pogoda. Słońce świeci prosto w okna Izby Dziecka. Przypuszczam, że nadchodzące święta będą słoneczne, coś dziwnego, że właśnie te dni chciałabym spędzić na wolności z osobą, którą kocham. Wolność!!! to pojęcie, które kojarzy się z osobą, którą kocham. Chciałabym święta spędzić właśnie z nim, choć wiem, że jest to niemożliwe... Jesteśmy oddzieleni wiele kilometrów od siebie. (...) Nasze sprawy są takie same, on i ja jesteśmy w zamknięciu i nawzajem o sobie myślimy. W święta Wielkanocne będzie mi bardzo smutno, będzie mi go bardzo brakowało, lecz cóż mogę na to poradzić. Zasłużyliśmy na to. (...) Lecz jeszcze nic nie jest powiedziane, bo złączą się dwa serca, które się naprawdę kochają".

Poza wypracowaniem Małgosia narysowała pisanki, na których umieściła napisy: „Smacznego jajka", „Wesołych Świąt" i „love free".

U szesnastoletniego Tadka też widać chęć powrotu do normalnego życia:

„Święta Wielkanocne chciałbym spędzić w domu z rodzeństwem w miłym nastroju, przy obficie nakrytym stole. W pierwsze święta Wielkiej Nocy chciałbym być w kościele na uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego. W lany poniedziałek chciałbym polatać po ulicach Pucka i wraz z kolegami lać wodą na wszystkie strony. W Święta Wielkanocne chciałbym zjeść dużo jajek i jak co roku posiedzieć w wieczory świąteczne przy telewizorze. (...) W święta chciałbym pójść z koleżanką na spacer, mam nadzieję, że nadchodzące święta będą słoneczne".

Czternastoletnia Wanda okazała się dziewczynką o zainteresowaniach społecznych i politycznych.

„Moim marzeniem jest zostać w przyszłości nauczycielką, nie odczuwam do tego specjalnego powołania, ale lubię ten chyba najbardziej interesujący zawód. Obcowanie z dziećmi sprawia mi ogromną przyjemność, chciałabym uczyć i wychowywać młode pokolenie budujące Polskę. Młodzież to członkowie społeczeństwa, na które zwraca uwagę zarówno pokolenie najmłodszych szkrabów, jak i najstarszych obywateli".

— *To straszne, że te rokujące nadzieje na przyszłość dzieci i nie skażeni jeszcze przestępczą działalnością uciekinierzy z domów muszą u nas przebywać razem z mocno zdemoralizowanymi nieletnimi przestępcami* — mówi pani kapitan Halina Kupińska. — *Winę za to ponosi między innymi nasz niedostosowany do celów, jakim służy, budynek. Również nieodpowiedni jest teren otaczający ten budynek, dlatego nie wyprowadzamy dzieci na codzienny spacer, choć należy to do naszych obowiązków. W innych tego typu placówkach obserwuje się brak personelu. W Zakopanem młodociani przestępcy wykorzystali brak odpowiedniej liczby strażników i zamordowali wychowawcę, a następnie uciekli. Coraz częściej zdarzają się wypadki, że dzieci połykają łyżki, żeby iść do szpitala, bo stamtąd łatwo jest uciec, a my nie możemy temu zapobiec. Kto wie, czy problemy finansowe, z jakimi boryka się obecnie milicja nie odbiją się w przyszłości ujemnie na tych młodych ludziach.*

— Czy zna pani dalsze losy dzieci, z którymi się pani zetknęła w Milicyjnej Izbie Dziecka?

— *Niektóre. Te losy są tak różne, jak różne są dzieci, które do nas trafiają. Jedne są dziś porządnymi obywatelami, inne, już jako dorośli ludzie odsiadują długoletnie wyroki. Których jest więcej nie wiem. Mam nadzieję, że tych porządnych, chociaż długoletnie doświadczenie pracy w milicji podpowiada mi co innego...*

Rys. Dariusz Romanowicz

Reporter „Odgłosów" podąża starymi tropami (2)

Memento radnego Kantyki

JACEK INDELAK

Foto: Zbigniew W. Nowak

W obu poprzednich reportażach o radnym Tadeuszu Kantyce wiele miejsca poświęciłem opisowi sprytnych niekiedy, częściej jednak prymitywnych prób wywiedzenia go w pole. Prób podejmowanych również i przez organa kontroli, do których ten zmuszony był odwoływać się o pomoc i wsparcie. Prób — dodajmy — zakończonych niejedną porażką radnego. On nie poddawał się jednak, uporczywie stawał do walki. Nie o swoje przecież...

— *Nawet po wprowadzeniu stanu wojennego* — wspomina dziś — *miałem jeszcze złudzenia. Wybrałem się do komisarza wojennego Łodzi, płk. Kazimierza Garbacika, ten jednak nie raczył mnie nawet przyjąć, wysłuchać. Cóż, skoro w najwyższych łaskach znaleźli się wtedy tacy panowie Niewiadomscy... Zgłaszałem jeszcze interpelacje, słałem pisma do przewodniczącego Rady Narodowej Łodzi, prof. M. Serwińskiego, zabierałem na sesjach głos, lecz mi go zaraz odbierano... W końcu i ja dałem spokój...*

I podsuwa mi notatkę inspektora Mieczysława Nolbrzaka z OZDPiKF:

„Z uwagi na rozbieżności między dokumentacją źródłową a faktycznymi kosztami, brakiem dokumentów oraz niewłaściwym ewidencjonowaniem kosztów, faktyczne wartości wykonywanych robót — szczególnie u ob. ob. Zbigniewa Turewicza, Janusza Podlejskiego (dyrektor śródmiejskiego PGM — przyp. J.I.), *Józefa Niewiadomskiego, Bolesława Koperskiego i Czesława Kowalczyka — można by ustalić tylko na podstawie wyceny dokonanej przez rzeczoznawcę."*

Oczywiście, żadnych wycen i obmiarów już nie było. Stan wojenny przywrócił błogi spokój. Znów można było używać i nadużywać władzy do woli. Sprytniej już jednak niż za rozpasanej gierkowszczyzny, bo i prominenci wyciągnęli wnioski z sierpniowej lekcji.

— *A pamięta pan, panie Tadeuszu, Kęblíny* — pytam, gdyśmy obaj pomarkotnieli, wspominając walkę z wiatrakami, które zmiotły nas na długo z życia publicznego, pozbawiwszy całkiem wpływu na bieg spraw, jakim poświęciliśmy tak wiele czasu i energii.

— *Jakże by nie* — ożywia się. — *Przecież to w Kęblinach skrzyżowały się po raz pierwszy nasze ścieżki, gdzie i też nam obu okazało się nie być po drodze z panem Niewiadomskim.*

11 marca 1981 roku radny Tadeusz Kantyka pisał do OZDPiKF:

„Otrzymałem informację, że we wsi Kęblíny, gmina Zgierz przeprowadza się remont dworku Biedermanna. Różne osoby przedstawiły mi dwie wersje przeznaczenia tego obiektu: I. że będzie to cicha kawiarenka dla określonych osób. II wersja, że remont przeprowadza się na polecenie prezydenta (Niewiadomskiego — przyp. J.I.), *ponieważ ma to być jego prywatna rezydencja.*

Byłem tam osobiście, obecnie zwozi się tam materiały budowlane"

Traf chciał, że i ja natknąłem się na tę sprawę, zbierając materiały do reportażu pt. „Strapienia młodego C." („Odgłosy" nr 18 z 3.05.81), którego tytułowy bohater — Zdzisław Cyganiak, wiceprezes kęblińskiej Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej — pokazał mi ukrytą pośród lasu piękną willę modernistyczną, zbudowaną w 1939 roku dla żony łódzkiego fabrykanta.

Oryginalny okaz architektoniczny z rozległym tarasem i ogromnymi oknami, palisadą surowych kolumn i drzwiami wejściowymi wielkimi, niczym wierzeje stodoły. Dom piękny, lecz okrutnie zdewastowany, tynki spękane, sypiące się obmurówki, rozłażąca stolarka. Wewnątrz — jeszcze gorzej. Podłogi pozrywane, grzyb na ścianach, złuszczająca się farba. Tu i ówdzie ślady dawnej świetności: zgrabny kominek, piec kaflowy, w pokoju kąpielowym — błękitna glazura, w hallu — plafon z fajansowych, kolorowych bajecznie talerzy, gigantyczny piec kuchenny, ba, nawet szczątki windy do przesyłania posiłków z kuchni do jadalni.

— *Odnowa planu pokrzyżowała* — komentował wtedy Zdzisław Cyganiak. — *Mówią we wsi, że władze Łodzi pałac sobie tu na weekendy szykowały, ale teraz nie pora już na pałace. Gmina lekką ręką oddała ten dom Urzędowi Miasta Łodzi. Niby to WOSiR przejął. A my chodziliśmy, prosiliśmy. Trudna sytuacja mieszkaniowa we wsi. Można by systemem gospodarczym wyremontować, parę rodzin zasiedlić.*

Po przeczytaniu mojego reportażu radny Kantyka wybrał się znów na wizję lokalną do Kęblin, a w parę tygodni później inspektor Grażyna Jaruga z OZDPiKF przeprowadziła w Wojewódzkim Ośrodku Sportu i Rekreacji wnikliwą kontrolę, która potwierdziła, że z kęblińską willą związana jest autentyczna afera. Jej szczegóły opisałem w reportażu pt. „Radny Kantyka na tropie". Przypomnę tu tylko, że kęblińską willę na osobiste polecenie prezydenta Józefa Niewiadomskiego przejął od gminy Zgierz łódzki WOSiR, który zaangażował w nią większe fundusze niż swój własny roczny budżet. Pełną parą przystąpiono do urzeczywistniania zamysłu prezydenta, który nie do końca był jasny, nawet dla kontrolerów. Sprawa długi czas była sprytnie kamuflowana, nam jednak udało się dotrzeć do *„programu przebudowy instalacji elektrycznych w budynku hotelowym"*, opracowanego przez Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego, gdzie stało czarno na białym:

„Projektowany obiekt przeznaczony będzie na hotel dla gości Urzędu Miasta Łodzi lub KW PZPR — osób, które z różnych względów nie będą mogły korzystać z hotelu miejskiego. Dlatego przewiduje się wysoki standard wyposażenia obiektu."

Szczególny miał to być hotel dla szczególnych gości, którzy mieli mieć do dyspozycji:

„Trzy sypialnie 1—2 osobowe, salon, pokój jadalny, hall i dyżurkę."

Opis techniczny do projektu wystroju wnętrza — przygotowany za ciężkie pieniądze przez łódzki „Art" — przewidywał luksusy, o jakich zwykłemu śmiertelnikowi się nie śniło.

Kęblińska afera zakończyła się fiaskiem.

Ukarano „winnych", puszczając w ruch personalną karuzelę, parę osób z WOSiR poszło na inne „odpowiedzialne stanowiska", a dla obiektu polecono znaleźć „innego użytkownika", który zrefundowałby poniesione — milionowe już wówczas — koszty.

— *Wie pan, czego wystraszył się wtedy Niewiadomski?* — pyta Tadeusz Kantyka, a ja przytakuję, gdyż doskonale pamiętam PAP-owską informację publikowaną w całej prasie na parę dni przed ujawnieniem przez „Odgłosy" całej sprawy. Przepisuję z pożółkłego wycinka:

„16 bm. (listopada 81 — przyp. J.I.) *zespół orzekający Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej w Toruniu wydalił z partii byłego wojewodę toruńskiego Jana Przytarskiego za doprowadzenie do sprzecznego z celami i zasadami socjalizmu dysponowania środkami społecznymi — poprzez zainicjowanie i polecenie budowy tzw. ośrodka rekreacyjno-wypoczynkowego nad Drwęcą w gminie Lubicz dla potrzeb recepcyjnych władz wojewódzkich."*

A więc — jakby powiedział prezes Cyganiak — *„taki sam hotelik-burdelik dla dygnitarstwa i innego kurestwa!"*

Jedziemy znów — po dziewięciu latach — do Kęblin. Pamięć jednak zawodzi. Szukamy zatem pomocy w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej, której prezes — nowy od trzech lat — Andrzej Bolanowski przydziela nam na przewodnika Jana Milczarka, pracującego w spółdzielni, a zamieszkującego — wraz z żoną Henryką i dwiema córeczkami — od pięciu lat willę Biedermannowej, ściślej — służbówkę, bo reszta domu do zamieszkania się już nie nadaje.

Budynek tak z zewnątrz, jak od wewnątrz w jeszcze gorszym stanie, niż przed laty. Nie tylko zdewastowany, lecz i rozszabrowany. Rok jeszcze czy dwa i pójdzie całkiem w ruinę. WOSiR oddał go na powrót gminie, która nie dość, że nie znalazła żadnego chętnego na willę, to na domiar nie zadbała wcale o zabezpieczenie jej przed dalszym zniszczeniem.

Próbowali ją podobno sprzedać panu Grabowskiemu z USA — jednemu z fundatorów Centrum Zdrowia Matki — lecz ten obejrzał obiekt i przestraszył się: dziś należałoby wpakować tu już chyba nie miliony, lecz ich setki. U schyłku 1989 roku miano wystawić willę na licytację, lecz panienka z Urzędu Gminy w Zgierzu, która ją przygotowywała, rozchorowała się nagle, a potem hiperinflacja całkiem pomieszała szyki.

Słowem, szczyty gospodarności przodującej gminy Zgierz! Pyrrusowe zwycięstwo radnego Tadeusza Kantyki.

I na tym można by sprawę Kęblin zamknąć, ale... Wartość willi zmalała ostatnio w dwójnasób, co widać gołym okiem. Trzyhektarowa do niedawna posiadłość, stanowiąca wspaniałą oprawę willi, okrojona została do płaszczystego spłachetka, resztę rozparcelowano na działki rekreacyjne. Bardzo niedawno, bo ledwie siatką pooddzielane, tu i ówdzie fundament czy pakamera, gdzie indziej materiały budowlane...

Działki w Kęblinach — sprawa również aferowa.

Pamiętam, jak Zdzisław Cyganiak zawiódł nas nad rzekę Moszczenicę, gdzie w krótkim czasie wyrosła ogromna kolonia domków letniskowych. Gorączkował się wówczas:

— *Tu poszedł pod siekierę las. Dwanaście hektarów. A gdzie indziej grunty orne. Piąta i szósta klasa, ale bywa i druga, i trzecia. Skandal!... Tu były pola uprawne. A przecież ci wszyscy ludzie mają gdzie mieszkać, bo to są ich drugie czy trzecie domy. Kto wie, może za miesiąc czy dwa błagać będą o kromkę chleba! A wiecie, że gmina Zgierz jest mistrzem gospodarności?*

Bardzo na temat — fragment ówczesnej rozmowy z cytowanym już W.Twardowskim z łódzkiego NIK:

— *„W gminie Zgierz utrzymuje się bardzo ciężka sytuacja mieszkaniowa. W związku więc z podziałem gruntów pod budownictwo jednorodzinne prawie 2000 osób złożyło podania na budowę domu, 1400 spośród nich załatwiono odmownie, podczas gdy działek było tyle, że starczyłoby dla wszystkich chętnych. Poprzydzielano je jednak ludziom z zewnątrz, którzy często nie mieli żadnych podstaw do ubiegania się o nie. Zwłaszcza w zestawieniu z tymi ludźmi, którzy chcieli sobie poprawić autentycznie złe warunki mieszkaniowe.*

— Spekulacja? Kumoterstwo? Łapownictwo?

— *W wielu przypadkach na pewno!"*

Jednoznaczne fakty, mocne stwierdzenia. Czy coś z nich wynikło? Czy coś się w gminie Zgierz zmieniło? Nie zmienił się na pewno... naczelnik gminy. Wciąż ten sam — od kilkunastu lat — Władysław Lutosławski.

Nie zastajemy go wprawdzie, gdy zajeżdżamy do zgierskiego urzędu, obejść się jednak możemy i bez niego, gdyż chcemy się tylko upewnić, że stan wojenny i tu przywrócił wraz z błogim spokojem stare, sprawdzone praktyki. Przynajmniej te — od działek.

Pomagają nam w upewnianiu się sekretarz Urzędu Gminy, Barbara Gorczyczewska i gminny geodeta, Czesław Kłos. Uzyskujemy dzięki nim potwierdzenie, że w grudniu 1987 roku rozparcelowano między kilkanaście osób otoczenie biedermannowskiej willi. Każda z tych osób weszła w posiadanie działki, uiściwszy około 6000 zł (słownie: sześć tysięcy), chociaż w tym samym czasie za podobne działki w sąsiedztwie miejscowy rolnik Gackowski uzyskiwał ponoć już milionowe kwoty.

Wśród obdarowanych przez Skarb Państwa — za pośrednictwem gminy Zgierz — znaleźli się:

— Włodzimierz Orczykowski — ówczesny prezydent Zgierza,

— Zofia Sidorowicz — inspektor z Wydziału Kadr i Szkolenia Urzędu Miasta Łodzi,

— Józef Dziemdziela — komendant rejonowy Straży Pożarnych w Zgierzu,

— Tadeusz Wasiak — dyrektor Rejonowej KTS w Zgierzu, szef Miejsko-Gminnego Komitetu ORMO,

— Henryk Zamojski — pracownik warszawskiego „Budimexu",

— Wiesława Furtak — kierowniczka apteki homeopatycznej w Łodzi;

— Henryk Kierszenkern — docent z Instytutu Techniki Cieplnej w Łodzi, który w podaniu o działkę — nb. skierowanym do wiceprezydenta Łodzi, Lecha Krowirandy — przedstawił się tak oto: *„Jestem kombatantem PRL"*;

— Dariusz Woszczalski — z łódzkiego ośrodka Telewizji Polskiej, który w podaniu napisał: *„Prośbę swą motywuję tym, że ze względu na stan zdrowia i ciężką pracę muszę przebywać na terenie wiejskim."*

Jak widać z powyższego wykazu, sami to zgierzanie, którzy — jak przed laty, jak od lat — *„chcieli sobie poprawić autentycznie złe warunki mieszkaniowe"*.

Wracam ze Zgierza, skąd też powinienem zdać relację byłemu radnemu Tadeuszowi Kantyce.

A on — kto wie — może głową pokiwa, uśmiechnie się z nawykowym zgorzknieniem i powie, że nawet najmniejsza rybka też się od łebka psuć zaczyna... W porę łebka nie ukręcisz, cała zaśmierdnie!

— *Panie Tadeuszu* — a pora już zamknąć ten reporterski tryptyk — *czy będzie pan kandydował w najbliższych wyborach do samorządu lokalnego?*

— *Mam to traktować jako propozycję* — uśmiecha się z ironią i dodaje po chwili zastanowienia: — *Nie, dość, starczy! Jestem chory, zmęczony, nie pociągnąłbym już. Zresztą, kto dziś chciałby takiego Kantykę do wyborów wystawić? Na co komu taki Kantyka? Schorowany, zgorzkniały, nieufny?*

— *Co chciałby pan zatem przekazać — jako swą naukę, swe memento — radnym nowej kadencji?*

— *Nic nadto, czego nauczyły mnie moje kadencje: każdej władzy, nawet najuczciwszej, najbardziej chcianej, pochodzącej z autentycznego wyboru, trzeba wciąż patrzeć na ręce, bo władza jak groźna choroba przeźreć potrafi najzdrowszy nawet organizm, a cóż dopiero mówić, gdy i samemu organizmowi wciąż daleko do zdrowia?*

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

„ZABAR"

Rys. Sławomir Łuczyński

„Odgłosy" proponują:

„RYKOSZET" — prod. USA, reż. **Gilbert Cates** — który dziś proponujemy rozpoczyna się jak tuzinkowy kryminał: Donny McAndrew, milioner i kombatant wojny wietnamskiej, mimo upływu czasu nie może poradzić sobie z wojenną przeszłością, powracającą co noc w koszmarnych snach. Jego piękna żona postanawia doprowadzić go do skrajnego obłędu, a następnie ubezwłasnowolnić i stać się w ten sposób właścicielką pokaźnego majątku. Jednak bieg wydarzeń odwraca się przeciw niej. Donny w porozumieniu z przypadkowo pojawiającym się w ich domu dawnym przyjacielem z wojny wietnamskiej, doprowadza do... Opowieść rozpoczyna się więc jak typowy kryminał, by w finale przekształcić się w wysmakowany thriller. Klasyczne atrybuty dreszczowca łączą się z duszną atmosferą osaczenia, która pochłania trójkę głównych bohaterów. Całość wzbogacona w elementy melodramatyczne i reminiscencje wietnamskie, tak modne we współczesnym kinie amerykańskim. W efekcie powstał perfekcyjnie zrealizowany thriller z zaskakującym zakończeniem i interesująco zbudowaną intrygą.

Reżyser filmu, nie znany polskim widzom zdobył doświadczenie i renomę jako wybitny reżyser telewizyjny (był laureatem m.in. nagrody „Emmy"). Cieszy się prestiżem w środowisku amerykańskich filmowców.

W filmie występują m.in. **Karen Allen, Keith Carradine, Jeff Fabey, Bernie Casey.**

TADEUSZ BOROWSKI: — Konsekwencją zdrowej rywalizacji jest nierówność.

Być profesjonalistą

— Rozmowa z **TADEUSZEM BOROWSKIM.**

— Czy zawód aktora dał panu szczęście?

— Nie zaliczam siebie do tych, którzy uważają, że źle wybrali zawód. Kiedy gram czuję się szczęśliwy. Nieszczęściem jest tylko świadomość grania złej roli, w złym przedstawieniu. Może to doprowadzić do stanu depresji. Ale zwykle takie spektakle szybko „schodzą" z afisza. Nie czuję się aktorem zawiedzionym. Jak mówi mój ukochany profesor Bardini najgorszym typem jest aktor przeczekany.

— To znaczy?

— Taki, który ciągle czeka na swoją rolę. Ma bardzo duże ambicje, ale powoli zaczyna być zgorzkniały. Zazdrości kolegom, że oni już grają a on nie. Wreszcie dostaje swoją szansę, i... Gdyby otrzymał te propozycję 10 lat wcześniej zagrałby bardzo dobrze. Teraz prezentuje tylko swoją zgorzkniałość. Aktor musi grać, bo jest do tego stworzony.

— Nie wolno odmawiać, kiedy ktoś zaproponuje rolę?

— Zwłaszcza w pierwszym okresie pracy, zaraz po szkole aktor powinien grać wszystko. Później, kiedy osiągnie jakąś pozycję można zacząć wybierać. Jest to duży luksus, ponieważ wiąże się to z zarobkami. Wielu ludzi uważa, że powinniśmy grać za darmo lub dopłacać do tego, że gramy, bo to przynosi nam zadowolenie i sławę.

— Przecież i tak nie od dziś wiadomo, że zarobki aktorów nie należą do najwyższych.

— No tak. Jeśli jeden z najwybitniejszych aktorów polskich Gustaw Holoubek przez tyle lat swej pracy dorobił się samochodu, mieszkania i 300 tys. pensji miesięcznie (styczeń 1990) to jest to wręcz żałośnie śmieszne.

— Czy to, że jest pan aktorem zobowiązuje pana do określonego zachowania?

— Gdybym chciał zachowywać się tak, jak by tego chcieli widzowie, to musiałbym być kameleonem. Kameleon postawiony na kocu w kratkę dostaje szału, więc nie dałbym rady. Trzeba pozostać sobą.

— Mówi się, że aktorstwo to rodzaj schizofrenii.

— To nie schizofrenia, a jedynie możliwość bycia kim innym. Dzięki temu przedłużamy swe dziecinne marzenia.

— Aktor ma w sobie coś z dziecka?

— Tak jak każdy. No, może, więcej niż przeciętny człowiek. Mamy bowiem większą możliwość rozwijania swej wyobraźni i wrażliwości.

— Czy często w tym zawodzie zaciera się różnica między fikcją a życiem?

— Słyszałem o przypadku węgierskiego aktora, który występował w „Pamiętniku Wariata". Spektakl trwał ponad dwie godziny i aktor ten tak identyfikował się z odtwarzaną przez siebie postacią, że musiał poddać się badaniom lekarskim. Lekarze orzekli, że przedstawienie należy skrócić do godziny i jeśli po tym czasie aktor będzie wiedział jak się nazywa, to może grać dalej.

— Co jest dla pana największe w aktorstwie?

— Być profesjonalistą. Jest to taki zawód, w którym trzeba cały czas pracować nad sobą i podnosić swoje umiejętności. Wtedy jest się żywym i nie odcina się kuponów od tego co się dawniej robiło. Niestety coraz częściej spotykam aktorów, którzy kiedyś byli „żywymi" a dziś są „martwymi". Nie rozwijają się.

— Dlaczego?

— Sprzyjała temu ogólna sytuacja. Przez wiele lat obowiązywała „urawniłowka". A konsekwencją zdrowej rywalizacji jest nierówność. Już Fryderyk Wielki mówił, że równość jest między tymi co grają, między żywymi musi być nierówność. Aktor, który skończył dopiero szkołę dostaje gażę w wysokości 210 tys. (styczeń 1990), ja po 25 latach pracy otrzymuję 250 tys. (styczeń 1990). Czy ten chłopak ma motywacje by pracować i chcieć być tak dobrym jak jego starszy kolega? A czy doświadczony aktor chce aż tak bardzo „odskoczyć" od tego młodego?

— Czy w Warszawie dokonano także podziału teatrów biorąc pod uwagę wielkość przyznawanych dotacji?

— Była taka próba, ale nie powiodła się. Do tej „I kategorii" miały zaliczać się teatry: Studio, Polski, Ateneum, Współczesny i Powszechny. A więc rzeczywiście najlepsze warszawskie teatry. Niestety w organizacjach społecznych i środowiskowych działają przede wszystkim ludzie, którzy nie za daleko zaszli w zawodzie. Może w ten sposób rekompensują sobie ten niedostatek lub bronią straconych pozycji? Oni stanowią większość w środowiskowym parlamencie i znowu zwyciężyła „urawniłowka". Ale mam nadzieję, że życie i wolny rynek szybko to zmienią.

— Obecnie często wspomina się rok 1932 i słynny aktorski bojkot. Jak pan to dziś ocenia?

— Był to indywidualny wybór każdego z nas. Wydaje mi się, że nie należy tak bardzo pyszyć z tego powodu że się nie grało, jak i rzucać kamieniami w tych, którzy wtedy grali. Podam może przykład mojej koleżanki, która wystąpiła w tym czasie w radiu. Nikt nie zadał sobie trudu, by sprawdzić w jakiej sytuacji ekonomicznej się wtedy znajdowała. Rodzice o bardzo niskich emeryturach. Mąż też aktor (dziś już nieżyjący), pobity przez SB, ze złamaną nogą i zapaleniem płuc przez rok nie pracował. Ale okrzyknięto ją kolaborantką i musiała zmienić teatr. Uważam to za nienormalne. Ci, którzy wtedy nie grali chodzą i mówią, że należą im się ordery.

— A pan wtedy grał?

— Nie ale nie wystawiam piersi po odznaczenia.

— Czy to postawa polityczna?

— Proszę pani od polityki to ja mam premiera Mazowieckiego. On się świetnie na tym zna. Ja się trochę znam na aktorstwie.

— Na koniec pomówmy o czymś przyjemniejszym niż polityka. Słyszałem, że jest pan najlepszym tenisistą wśród aktorów...

— Proszę o to zapytać Daniela Olbrychskiego, który wręczył mi dwa tenisowe „oskary" i jak sam powiedział to COŚ znaczy. A on na sporcie się zna.

— Czy przyjąłby pan wyzwanie kolegów ze środowiska, aby udowodnić tę opinię?

— Z przyjemnością.

Rozmawiała:
ANNA GRONCZEWSKA

Zmarł Maciej Łukowski

Wiadomość o Jego śmierci była prawdziwym zaskoczeniem. Niedawno otrzymaliśmy **„Dziennik filmowy Macieja Łukowskiego (Filmoteka Ziemi Obiecanej)"**, którego fragmenty zamierzaliśmy drukować. Pod datą 21 marca 1989 r. tak pisał: „Muzeum Historii Miasta, pałac Poznańskiego; w sali balowej odbyła się premiera **„Tryptyku z Ziemi Obiecanej"**, czyli trzech pierwszych filmów o historii Łodzi fabrykanckiej. Oprawa wspaniała, choć projekcja pod psem. Ale chyba coś się zaczęło. Zebrany materiał pozwala na myślenie o następnych filmach...". Z zapisu z kwietnia 1989 r. dowiadujemy się o złożeniu w TV dwóch pierwszych — z czterech planowanych — odcinków nowego cyklu: **„Filmoteka Ziemi Obiecanej" — „Piotrkowska — ulica najważniejsza"** oraz **„Cmentarz żydowski w Łodzi — największy cmentarz żydowski w Europie"**. W miesiąc później są już dwa następne scenariusze — **„Cmentarz fabrykancki"** i **„Zieleń Ziemi Obiecanej"**. W niedzielę 24 września 1989 r. Maciej Łukowski rozpoczyna zdjęcia do „Zieleni Ziemi Obiecanej". „Ulicy Piotrkowskiej" „Łączymy te dwie realizacje ze względów finansowych — pisze w „Dzienniku". — Tempo planujemy zawrotne...". I oto pół roku później w pełni sił twórczych dopadła Go śmierć...

Dr Maciej Łukowski, docent w PWSFTViT, zmarł w wieku 43 lat. Zmarł wybitny twórca filmowy, popularyzator (autor popularnych programów telewizyjnych m. in. o **„Tajemniczym świecie przyrody"**, prezentujących twórców — **„Przed i po debiucie"**, czy też w **„Kręgu kultur i obyczajów"** działacz — twórca Towarzystwa Kultury Filmowej. Zmarł człowiek wielkiej wiedzy i kultury. Jego śmierć to wielka strata!

M. Z.

Od wielu już lat Łódzka Akademia Muzyczna organizuje w swej siedzibie poniedziałkowe koncerty kameralne. Są to imprezy o charakterze popularnym, adresowane do wszystkich zainteresowanych. Ba! Dobra muzyka w wykonaniu studentów i pedagogów uczelni właściwie „rozdawana jest" tu bezpłatnie, bowiem o jakichkolwiek biletach nie ma, oczywiście, mowy.

Programy bywają ciekawe. Zdarza się, że obejmują m. in. jakiś słabiej znany, ale ze wszech miar godny uwagi utwór, albo też mniej w naszej tradycji eksponowany instrument czy skład wykonawczy.

2 kwietnia „Poniedziałek muzyczny" wypełniło swym występem Polskie Duo Skrzypcowe. Był to jubileuszowy koncert z okazji 10-lecia działalności tego miniaturowego ansamblu, notabene jedynego tego typu obecnie, stałego zespołu w kraju. Polskie Duo Skrzypcowe

Skrzypce... razy dwa

to zresztą ansambl rodzinny (czyżby w tym kryła się jakaś tajemnica trwałości tej muzycznej inicjatywy w mieście nie mającym, jak dotąd, wielkiego szczęścia do funkcjonujących dłużej składów kameralnych?). Tworzy go małżeństwo — Jolanta i Ryszard Osmolińscy. Ponieważ na naszych łamach ukazała się nie tak dawno wywiad z Jolantą Siry-Osmolińską (nr 46/89), w którym ta związana jako pedagog z Akademią Muzyczną wiolinistka mówiła dość dużo o artystycznej drodze debiutującego podczas pobytu we Włoszech duo, ograniczam się jedynie do przypomnienia, że jest ono laureatem dwóch konkursów międzynarodowych. W 1981 r. zdobyło mianowicie pierwszą nagrodę w Stresie oraz trzecią w Trapani.

Na jubileuszowy wieczór złożyły się trzy kompozycje, reprezentujące różne okresy i ośrodki narodowe: Sonata F-dur RV 68 A. Vivaldiego, Duet koncertowy D-dur op. 67 L. Spohra oraz Sonata na 2 skrzypiec H. M. Góreckiego. Utwory te wykonane zostały przez artystów z ogromną muzykalnością i wrażliwością na niuanse stylu. Wysokiej próby okazały się takie komponenty warsztatu, jak intonacja, barwa, artykulacja, biegłość techniczna. Wielce zaciekawić mogła np. interpretacja Sonaty Góreckiego — pochodzącej wprawdzie z 1957 roku, lecz zawierającej już interesujące efekty sonorystyczne. Gdybym miał sformułować jakąś uwagą krytyczną dotyczącą występu — choć może jubileusz nie jest po temu momentem najwłaściwszym — to zwróciłbym uwagę na kilka sekwencji, w których można było jeszcze silniej zróżnicować dynamicznie plany dźwiękowe (tzn., mówiąc w uproszczeniu, melodię główną i towarzyszącą, kontrapunktującą), tak, by uzyskać większą wyrazistość i klarowność narracji.

Ogólnie — koncert mógł dostarczyć słuchaczom wiele satysfakcji. Niewykluczone zaś, że dla tych, co lubią skrzypce, duo to wręcz... podwójna przyjemność?

JANUSZ JANYST

O berlińskim murze i Teatrze Ósmego Dnia

— ROZMOWA Z LECHEM RACZAKIEM, LEADEREM TEATRU ÓSMEGO DNIA, W CZASIE I SPOTKAŃ WARSZTATOWYCH MIĘDZYNARODOWEGO PROJEKTU TEATRALNEGO „DROGA DO DELF".

Teatr Osmego Dnia powstał w 1964 r. w Poznaniu. Od 1968 r. kierownictwo grupy objął Lech Raczak. W 1979 r., wraz z innymi wybitnymi teatrami studenckimi, m.in. Teatrem 77, Kalamburem, Akademią Ruchu — poznaniacy uzyskali status profesjonalny. Nie bez wpływu na ten fakt pozostawały takie spektakle, jak np.: „Jednym tchem", „Przecena dla wszystkich", „Ach, jakże zgodnie żyliśmy", „Więcej niż jedno życie". Po stanie wojennym teatr wyjechał z Polski, kontynuując międzynarodowe sukcesy. Od 1988 r. osiedlił się w Ferrarze we Włoszech, gdzie współpracował ze słynnym Teatro Nucleo. W ub. r. wraz z tym teatrem polska grupa wzięła udział w artystycznej wędrówce przez całą Europę pod nazwą „Mir Caravane". Jednym z przystanków tej niezwykłej podróży była Warszawa, gdzie poznaniacy zaprezentowali m.in. „Raport z oblężonego miasta" wg. Z. Herberta. Od kilku miesięcy przebywają w Polsce.

— Na początek pytanie o cel waszego przyjazdu do Łodzi?

— Chcieliśmy znów spotkać starych znajomych a przy okazji porozmawiać o „Projekcie «Droga do Delf»" i naszym cząstkowym udziale w tym przedsięwzięciu. Nasza rola sprowadza się do pośredniczenia między łódzkimi i duńskimi organizatorami a Włochami. Wprawdzie niczego konkretnego nie przygotowujemy w Italii, ale dzięki naszym kontaktom próbujemy znaleźć na tamtym gruncie ośrodki zainteresowane uczestnictwem w delfickim projekcie.

— Dla wielu ludzi tradycja Teatru Ósmego Dnia jest wciąż jeszcze bardzo żywa. Skądinąd wiadomo, że nadal jesteście aktywni i twórczy. Niestety polska publiczność, nie wspominając o łódzkiej, nie ma okazji, by to zweryfikować.

— Jesteśmy w trakcie powstawania, organizowania sobie miejsca w Polsce. Trwają właśnie w tej sprawie pertraktacje z władzami miejskimi Poznania. Chodzi głównie o przyznanie nam stałej siedziby. W Ministerstwie Kultury odbywają się także rozmowy na temat naszej formuły organizacyjnej. Nie ma w tej chwili powodów, byśmy zagrali, zanim nasze sprawy nie ustabilizują się. Jak dotąd nie obywa się bez przeszkód. Poza tym nie chcemy zaczynać od przypominania starych rzeczy. Pracujemy nad nowym spektaklem, a na pewno nie ukończymy go w ciągu najbliższych tygodni.

— Czy możesz uchylić rąbka tajemnicy?

— Będzie to rzecz, zamykająca nasze dośwadczenia z ostatnich lat. Myślę naturalnie o przeżyciach zarówno prywatnych jak i zespołowych jako grupy. Słowem wszystko to, co stało się naszym udziałem: powroty, wyjazdy z Polski, życie w świecie, którego trzeba się nauczyć, którego nie w pełni się rozumie i który musi się także nauczyć nas. Będzie też o powrotach do miejsc, które zostawiliśmy, a które się zmieniły. Ma to być także spektakl o trudności bycia tam, na Zachodzie dla nas Polaków i trudności zrozumienia i przyjęcia ludzi ze Wschodu. Bo to jest tak, że kiedy się bywało w Berlinie np., to uderzał w oczy sławny mur. Ale w momencie wyjrzenia zza niego okazywało się, że właściwie, nie on jest przeszkodą. Między murem a drucianą siatką po drugiej stronie jest przecież szeroki pas zaoranego pola, takiej ziemi niczyjej. Teraz ten mur się burzy i choć buduje się na tym fakcie nowe nadzieje czy programy, ciągle obecny pozostaje pas ziemi niczyjej i to nie tylko w sensie fizycznym. On istnieje w nas, w ludziach. Nasz spektakl miałby właśnie rozgrywać się w takiej przestrzeni, która jest między Wschodem a tym murem.

— Nie podzielasz więc w pełni optymizmu tchnącego z symbolicznego faktu zniszczenia muru?

— To, że tak się stało, że otwierają się granice to jeszcze nie powód do euforii. 40 lat duchowej izolacji nie może przecież rozwiązać takich problemów, jak zaszłości w kulturze, w sposobie myślenia, reagowania. To łatwiej rozwiązać na płaszczyźnie politycznej czy nawet ekonomicznej.

— A jednak sytuacja zmieniła się, przynajmniej na tyle, by raz jeszcze, używając metafory „muru" przytoczyć Kantora, który niedawno w TV ubolewał nad brakiem punktu odbicia i postulował znalezienie swojego, nowego muru. Czy zatem dla teatru programowo dotąd opozycyjnego nie będzie trudniej odnaleźć się w obecnych realiach?

— Nie! ja myślę, że sytuacja jest taka, iż choć nasi więzienni przyjaciele zasiadają teraz w Sejmie to nie zmieni to w diametralny sposób naszej sytuacji w sensie materialnym.

— Nie zaprzeczysz jednak, że to, co się wydarzyło nie wpłynęło na decyzję waszego powrotu?

— Z pewnością. Tylko że nasz problem polega na tym, że musimy znaleźć swój kształt organizacyjny. Tymczasem w nowej sytuacji najlepiej się mają instytucje stare, bo nowe władze nadal dbają o to, co zostało, a co z punktu widzenia kultury jest nawet korzystne. My musimy zaś sobie szukać miejsca, które nie było dotąd przestrzenią kultury a więc wyrzucić to, co obumarłe. Władze kulturalne wciąż chronią sklerotyczne instytucje, domy kultury czy teatry. Tymczasem sytuacja jest taka, że mówi się, że tu nie ma rewolucji jest tylko ewolucja i w efekcie sklerotyk dostaje serię rzekomo odmładzających zastrzyków i będzie funkcjonował co najmniej jeszcze parę lat. Dla nas pozostaje undergraund.

— Więc w czym upatrujesz przyczyn całego zła?

— Nieszczęście polega na tym, że dla wielu ludzi komunizm wciąż trwa, bo to i mentalność i przywiązanie do tego, co się miało i lęk przed radykalniejszymi rozwiązaniami...

Rozmawiała:
MARIOLA WIKTOR

PESTKI DYNI

„Pewien malarz miał śliczną żonę, był bardzo zazdrosny, ona musiała tego dnia wyjść zobaczyć się z matką. Malarz powiedział żonie, że jej namaluje na łonie wściekłego lwa, którego miała przyprowadzić nietkniętego do domu. Żona kochała innego malarza, który też kochał ją do szaleństwa. Poszła do niego i całe popołudnie spędziła na pieszczotach i kochaniu się i wizerunek lwa znikł i wtedy malarz — kochanek tej ślicznej żony namalował innego lwa kreską tak czystą i barwami tak żywymi, że nadawałby się do Luwru. Gdy żona wróciła do domu mąż-malarz chciał ją skontrolować i zobaczył rysunek, który uważał za swój. Wyglądał tak pięknie i tak prawdziwie, że dumny malarz stał się nieznośny dla swych przyjaciół. Od tej pory uważał się bowiem za największego malarza swoich czasów". To mikroopowiadanko wyszło spod pióra **Pabla Picassa.**

Francuski malarz **J.A.D. Ingres**, jeden z czołowych przedstawicieli neoklasycyzmu, miał skrzypce. Nie wiemy, czy na nich grał i czy grał dobrze... Wiadomo tylko, że był niezwykle wrażliwy na punkcie swych talentów muzycznych. Ten fakt znalazł odbicie we francuskim języku potocznym. Mówi się o violon d'Ingres, mając na myśli czyjeś hobby, działalność amatorską, drugoplanową...

Autor krwawych powieści kryminalnych **Cornad Woorllich** (1903—1968), pisał z upodobaniem ckliwe romansidła. Ten kontynuator nauk **Dashiella Hammetta** i **Raymonda Chandlera** miał swoje ukryte hobby: właśnie ociekające łzami romanse; zabawne, że był do nich bardzo przywiązany...

Są pisarze, którzy przez całe życie piszą jedną książkę. Zarzucano to kiedyś **Albertowi Moravii**, który miał odpowiedzieć żartem: „Pisarz niczym ptak, śpiewa wciąż tę samą melodię". Identyczny zarzut stawiano **Felliniemu**, a on rzekł krótko: „Barolo — to zawsze barolo" (barolo — oznacza czerwone, piemonckie wino).

Picasso po raz pierwszy chwycił za pióro mając 54 lata. Przechodził wtedy — jak powie później — najgorszy okres w swym życiu. „Jego małżeństwo z **Olgą Koklową** przeżywa kryzys, młodziutka **Marie-Therese Walter** ma właśnie urodzić jego dziecko, co Picasso musi trzymać w tajemnicy. Do komplikacji osobistych dochodzi jeszcze wyschnięcie źródła natchnienia: przez pół roku Picasso nie dotknie pędzla...". W okresie duchowej pustki artysta znajduje oparcie w poezji...

W przedmowie do pism zebranych Picassa **M. Leiris** porównuje pisarską twórczość artysty do **Joyce'a.** „Żaden inny pisarz nie objawił takiej zdolności przeobrażenia języka w „rzecz realną", którą spożywa się lub pije; żaden nie potrafił posługiwać się nim z tak „oszołamiającą swobodą"... Opinia ta wydaje się być nieco przesadzona...

Trafniejsze jest chyba ostrzeżenie **Marie-Laure Bernedac**, która pisze, że poezja Picassa, będącą swoistą mieszaniną dźwięków, barw i aromatów, przypomina raczej śpiew, taniec niż literaturę. „Powiedziałabym, że poezja Picassa jest niczym strumień lawy lub rwąca rzeka unosząca z sobą wszystko, co napotka po drodze, perły i śmieci (...)".

Malarz stwarzał pozory, że nie traktuje swych poezji zbyt serio. „Nie wyobrażaj sobie, że uważam się za pisarza, to tylko zabawa" — powiedział kiedyś do któregoś ze swoich przyjaciół. Ale innym razem przyznał, że chciałby widzieć wydane je drukiem, przy zachowaniu „spontanicznego bezładu" rękopisu... Wydawnictwo Gallimarda właśnie spełniło, pod koniec zeszłego roku, marzenia Picassa. Ukazały się jego pisma zebrane razem z reprodukcjami kart manuskryptów.

Na podstawie **Eleny Guicciardi** i **Uderico Munzi.**

ANDRZEJ GRUN

„Inny" Mrożek

JERZY KWIECIŃSKI

Francuskie przysłowie podkreśla znaczenie „tonu, który czyni melodię", znamy też sentencję Czechowa o strzelbie wiszącej w pierwszym akcie, która w ostatnim powinna wystrzelić. Oba te przytoczenia, którymi się posłużyłem zawierają pewną wspólną prawdę, że w utworze literackim, teatralnym ważna jest zarówno spójność, jak i konsekwencja, niepożądane natomiast wrażenie przypadkowości.

I chyba też trudno o zastosowanie tych wskazań czy to w realizacji, czy w odbiorze sztuki, która zaskakuje swoją odrębnością w stosunku do stylistyki lub raczej poetyki znanych dotychczas dzieł scenicznych Mrożka. Myślę, że ci właśnie, co najgruntowniej przyswoili sobie artystyczny „język" tego autora, jego swoisty rodzaj humoru (a może mniej jego system ocen), w każdym następnym tekście oczekują potwierdzenia swoich o autorze wyobrażeń i trafności klasyfikacji.

Toteż kiedy w **„Portrecie"** padają pierwsze kwestie dialogu, dotyczące obsesyjnego zamiaru **Bartodzieja** hodowania królików, rozlegnie się na widowni szmer zadowolenia i oczekiwania na dalsze Mrożkowe paradoksy, zwłaszcza iż gra aktorów nie nasuwa przypuszczeń, że mogłaby zabrzmieć tonacja tragiczna.

Zresztą pojawienie się **Anatola**, który okaże się upostaciowieniem wyrzutu sumienia, doznawanego przez Bartodzieja (jego donos wtrącił przyjaciela do więzienia), nie tłumaczy się scenicznie przekonująco z powodu interpretacyjnego niezdecydowania.

Akt drugi przebiega już najzupełniej realistycznie, choć psychologiczny rozwój sytuacji może się wydać nieżyciowo uwzniośiony. Anatol bowiem, gdy Bartłomiej przyzna mu się do popełnionego czynu, broni się przed przyjęciem tego do wiadomości, gdyż cierpienie uwolniło go od myślenia kategoriami odwetu, nauczyło go patrzeć na cudze postępki z dystansem filozoficzno-moralnym: chce on się spokojnie „nażyć", nieskłonny jest jedynie ułatwić Bartłomiejowi uzyskanie luksusu taniej ekspiacji.

Ten więc moralitet najistotniejszy sens budowania przyszłości upatruje w pojednaniu przez wzniesienie się w sferę ogólnoludzkich wartości, ponad mizerię niskich postępków. Przedstawienie pozwala ten sens raczej odczuć niż go przekazuje, a to, jak sądzę, z braku koncepcji gry aktorskiej, utrafienia w ton właściwej konwencji. Chyba tylko **Anatol ZBIGNIEWA SZCZĄPIŃSKIEGO** i **Anabella JULITTY SĘKIEWICZ** zachowują wewnętrzną tożsamość postaci w ciągu całego przedstawienia, w mniejszym stopniu **MIECZYSŁAW ANTONI GAJDA** i **BARBARA SZCZEŚNIAK**, a już zupełnie „sztuczna" była rola Psychiatry.

Niewiele miała do powiedzenia scenografia, za to zwracała uwagę ciekawa brzmieniowo, niepokojąca muzyka.

Czyżby nie o wszystkim dało się mówić z komediowym dystansem? Nic nie ujmując wadze problematyki moralnej utworu i wnikliwości psychologicznej introspekcji wolę jednak Mrożka, który w sposób niepowtarzalny, pozornie niefrasobliwy igra ze stereotypowymi wyobrażeniami.

Sławomir Mrożek: „Portret". Reżyseria — **Andrzej Maria Marczewski**, scenografia — **Dorota Banasik**, muzyka — **Bogdan Pawłowski.** Premiera w Teatrze Powszechnym, 27 marca 90 r.

Na zdjęciu: Zbigniew Szczapiński i Mieczysław Antoni Gajda. Foto: Jerzy Neugebauer

Dziecięca Terpsychora

Wydaje się oczywiste, na czym polega istota sztuki dla dzieci i młodzieży, gdy mamy do czynienia z treściami poznawczymi i moralnymi na miarę potrzeb rozwojowych danego wieku. Trudniej z tym w ocenie baletów, które przecież mimo dziecięco-baśniowych treści dorośli oglądają nieraz z najwyższą satysfakcją, gdy znów dzieci często doskonale odbierają całkiem „dorosłe" widowiska baletowe. Przykładami można by sypać do woli!

Trochę nam ten problem rozjaśniły występy gościnne **Polskiego Teatru Tańca — Baletu Poznańskiego** (nazywanego dawniej potocznie **Baletem Drzewieckiego**), którego dyrekcję sprawuje znana łodzianom z tanecznych i reżyserskich kreacji **Ewa Wycichowska.** Goście, zasileni przez grupę uczniów poznańskiej szkoły baletowej, przygotowaną przez kierownika artystycznego szkoły **Lilianę Kowalską** (również nam znaną z długoletniej i owocnej działalności artystycznej w łódzkim Teatrze Wielkim) pokazywali przez kilka dni, przy wypełnionej sali, **„Dziadka do orzechów" Piotra Czajkowskiego.**

Godzi się przypomnieć, iż kompozytor przygotowywał dzieło w najściślejszej współpracy ze słynnym **Mariuszem Petipą**, który z dokładnością do taktu oznaczał długość tanecznych scen, ale potem zluzował go **Lew Iwanow.** Oglądane przez nas widowisko przygotowała choreograficznie Liliana Kowalska, modyfikując dość znacznie libretto **E.T.A. Hoffmanna**, zrezygnowała przy tym z kilku baśniowych postaci, pozostawiając jednak głównych uczestników akcji — radcę Drosselmeyera, małą Klarę i jej dorosłe wcielenie oraz Księcia, bez którego nie byłoby ważnych scen tanecznych.

Przedstawienie ma zwartą i żywą akcję, nie pozbawioną momentów lirycznych. Wybijają się wykonania **Marioli Lebidy — Klara, Krzysztofa Brodka — Książę, Drosselmeyera — Władysław Janicki.** Z duetów drugiego aktu wymieniłbym **Adriannę Cygankiewicz** i **Mirosława Ogórka** w tańcu chińskim. Małą Klarę — z najlepszymi zadatkami na przyszłość, tańczyła (w przedstawieniu sobotnim) **Paulina Wieczorek.** Doskonale wypadły też jej koleżanki, a może jeszcze bardziej — co rzadkie — koledzy, ze znakomicie, jak widać, prowadzonej poznańskiej szkoły. Byliśmy świadkami zupełnie owacyjnej reakcji małej widowni.

Podobać się mogły dekoracje i kostiumy, gorzej było z fatalnie brzmiącym — z winy techniki — nagraniem orkiestrowym. Zgłosiłbym też zastrzeżenia do zbyt mało wirowego walca, zwłaszcza do tak płynnej i śpiewnej muzyki drugiego tematu „Walca kwiatów". Zresztą kolejność tańców w II akcie wydrukowana została w programie niewłaściwie, a to duża dezorientacja dla małej widowni.

Cieszyć się należy, że sprawy baletu są w Poznaniu w dobrych rękach, bo i w operze, jak wiemy, również.

J. K.

Kronika

Od 2 do 8 kwietnia br. odbywał się w Łodzi VIII Ogólnopolski Przegląd Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych. Zainaugurowany został 2 bm. przedstawieniem „Tanga" Sławomira Mrożka — w wykonaniu absolwentów PWST w Krakowie. Z dużym zainteresowaniem widzów spotkał się też, zaprezentowany przez dyplomantów teatralnej krakowskiej uczelni, spektakl „Króla Ubu" Alfreda Jarry'ego. Bardzo ciepło przyjęta została również pokazana na zakończenie przeglądu sztuka Sławomira Mrożka „Pieszo" — przygotowana przez studentów ostatniego roku PWSFTviT w Łodzi. ■ Dla uczczenia przypadającego w tym roku 70-lecia urodzin wybitnego łódzkiego poety, prozaika i tłumacza Tadeusza Chróścielewskiego, Stowarzyszenie Miłośników Tradycji Mazurka Dąbrowskiego wraz ze Stowarzyszeniem „Wisła — Odra" zorganizowały spotkanie z tym poczytnym pisarzem. Miłym akcentem w trakcie tego spotkania, obfitującego we wzruszające momenty było wręczenie Tadeuszowi Chróścielewskiemu medali: im „Wincentego Pola" (nadanego mu przez prezydenta m. Gdańska) i „Mazurka Dąbrowskiego" (przyznanego przez to stowarzyszenie). W drugiej części spotkania, zasłużony dla propagowania patriotycznych tradycji naszego narodu pisarz, podzielił się wspomnieniami ze swego bogatego życia. ■ W Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi odbyła się 7 bm. IV Giełda Wydawnictw Niezależnych. ■ Rozstrzygnięty został Turniej Jednego Wiersza o laur Czerwonego Tulipana, zorganizowany w ramach wiosny poetyckiej przez DDK Łódź-Górna, pod patronatem grupy poetyckiej „Centauro". Dwie I nagrody przypadły Elżbiecie Tomczak oraz Andrzejowi Arczewskiemu. II — otrzymała Jolanta Sowińska, III — Piotr Białkowski. Wyróżniono Dorotę Sobierajską oraz Michała Wardęszkiewicza. Ufundowaną nagrodę prywatną (bezimienną) otrzymała Jolanta Sowińska (uhonorowana przez jury II nagroda). ■ Z dwoma koncertami — na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi — wystąpił 7 i 8 bm. zespół wokalno-taneczny z Tel-Awiwu „Zabar". W jego wykonaniu publiczność łódzka obejrzała fragmenty najciekawszych folklorystycznych pieśni i tańców izraelskich. ■ Nakładem i drukiem łódzkiej „Oficyny Bibliofilów", założonej przez Marka Szukalaka — znanego i cenionego w naszym mieście miłośnika pięknej książki — ukazała się pierwsza bibliofilska pozycja jego autorstwa, z zainaugurowanego, interesującego cyklu pn. „Herbarz Łodzi przemysłowej", „Miasto Lodzermenschów" (nakład 100 egz. numerowanych). W przygotowaniu znajdują się dwa dalsze zeszyty: pierwszy poświęcony jednemu z pionierów przemysłu łódzkiego — Ludwikowi Geyerowi i jego rodzinie, drugi natomiast: wybitnym postaciom w dziejach łódzkiego dziennikarstwa. Poszczególne zeszyty „Herbarza..." będą bogato ilustrowane. ■ Pod patronatem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w dniach od 3 do 7 kwietnia br. odbył się w Lublinie Tydzień Kultury Ukraińskiej. Oprócz ciekawych prelekcji, dodatkową atrakcją były wystawy sztuki ukraińskiej (współczesnej i tradycyjnej). ■ Znane paryskie wydawnictwo „Editions" (Spotkania) otwiera filię w Warszawie. Mieścić się ona będzie przy ul. Piwnej 44 ■ Szlagierem wydawniczym jest opublikowana przez drugoobiegową Niezależną Oficynę Wydawniczą wspomnieniowa książka Jacka Kuronia „Wiara i wina. Do i od komunizmu". Kilkanaście egzemplarzy tego hitu dotarło w minionym tygodniu do Łodzi i zostało w okamgnieniu sprzedane. ■ Na 8-dniowym tournée przebywał w Leningradzie dziecięcy Zespół Estradowy „Sezamki" z Domu Kultury „Uniontex". Pokazał on na Wszechzwiązkowym Festiwalu Dziecięcych Zespołów Estradowych musical Józefa Gałeckiego i Piotra Łosowskiego „Rewia na chodzie" w reżyserii i opracowaniu muzycznym Józefa Gałeckiego. ■ Doroczną nagrodę im. Andrzeja Munka, przyznawaną przez PWSFTviT w Łodzi, otrzymał za wyróżniający się debiut w dziedzinie reżyserii Mariusz Treliński. Przypadła mu ona za film pt. „Pożegnanie jesieni" — zrealizowany w Studiu im. Karola Irzykowskiego. W kategorii zdjęć filmowych jury nagrodziło Jarosława Żamojdę, za zdjęcia do tego filmu. Gratulujemy! ■ Znany aktor Juliusz Lubicz-Lisowski, obchodzi w tym roku 90-lecie urodzin oraz 65-lecie pracy artystycznej. Zagrał w 400 sztukach teatralnych oraz 216 filmach. ■ W Związku Radzieckim, w obwodzie iwanofrankowskim, powstało Towarzystwo „Huculszczyzna". Zajmie się ono ratowaniem ginącej kultury huculskiej. ■ Po raz 62 wręczone zostały Oskary. Aż 4 uzyskał film Bruce Berensforda „Wożąc panią Daisy". Jessica Tandy, grająca w tym filmie tytułowa bohaterkę otrzymała Oskara za najlepszą rolę kobiecą.

Opracował: JAK

Teatr i polityka

Rozmowa z ANDRZEJEM M. MARCZEWSKIM.

— Od lat tkwi pan jakby w zakletym kręgu — uparcie penetruje pan relacje między losem jednostki a zbiorowością. Pański bohater — raz będzie się nazywał Jan Piszczyk, innym razem Bronisław Pekosiewicz, albo też będzie nosił dziwny pseudonim „Alfa" — jest uwikłany bez reszty w politykę, ona determinuje jego działania, często też jest przyczyną jego klęski...

— Nie wiem czy w Polsce artysta może uciec od polityki, teraz szczególnie. Ona nas wciągnęła w swoje tryby, zawładnęła nawet nami. Jesteśmy świadkami niezwykłych zupełnie przemian w życiu publicznym. Wymagają one pewnego komentarza artystycznego, pewnej syntezy, aby ująć w jakiś porządek to, co się dzieje. Teatr powinien objaśniać świat, odkrywać zawiłości ludzkiej egzystencji. Nie jest to abstrakcja — przecież mówimy o **konkretnym** świecie i **konkretnym** człowieku: o istocie żyjącej u schyłku XX wieku, która próbuje zrozumieć swój rodowód i uzasadnić sens swojego istnienia na tej ziemi. Teraz wreszcie możemy mówić pełnym głosem o dramatycznym losie Polaków na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat. Odkłamujemy własną historię i dzieje się to również w działaniach ludzi teatru. Chodzi jedynie o to, aby poszczególne przedstawienia nie były inspirowane modą czy też wynikały z doraźnych tendencji, ale żeby prace reżyserów zmierzały do syntezy i były ujęciami szerszymi tego, co działo się w naszym kraju w ostatnich latach.

— W Teatrze Polskim w Bydgoszczy, który pan prowadzi od półtora roku, wystawia pan własną adaptację „Zezowatego szczęścia" Jerzego Stefana Stawińskiego. Jest to jakby mała historia Polski od lat trzydziestych aż do roku 1980, w spektaklu znajdzie się także trzecia część powieści Stawińskiego, która jeszcze nie była publikowana.

— W roku 1985 zrealizowałem w teatrze koszalińskim spektakl „Zezowate szczęście 2" i teraz pokażemy w Bydgoszczy cały tryptyk o smutnych i pouczających przygodach Jana Piszczyka. Być może to przedstawienie skłoni widzów do refleksji nad „losami Polaków" na przestrzeni pięćdziesięciu lat, ukazując cały dramatyzm sytuacji, kiedy to człowiek był traktowany jak kółko jakiejś groźnej machiny, nie zaś jako podmiot dziejów. Z drugiej zaś strony, ciągle trzeba pamiętać o różnych uwarunkowaniach politycznych i ekonomicznych, które sprawiały, że byliśmy wiele razy bezbronni. W owym teatrze wielkiej polityki, nie mieliśmy nic do gadania i chodziło jedynie o to żeby przetrwać jako naród i zachować własną kulturę. Straty były ogromne, lecz zasadniczy cel został osiągnięty. A wcale nie było to takie pewne...

— W ramach Dyskusyjnego Klubu Teatralnego wystawił pan w Bydgoszczy prapremierę „Obywatela Pekosiewicza" Tadeusza Słobodzianka. Był to pierwszy na naszej scenie głos o marcu 1968 roku...

— Wydarzenia marcowe właściwie zaczęły proces budzenia się polskiego społeczeństwa i w nich należy dopatrywać źródeł tego, co działo się w roku 1970 na Wybrzeżu. Powstanie „Solidarności" również ma swoje korzenie w buncie studentów roku 1968. „Obywatel Pekosiewicz" ukazuje złowrogość tej całej hecy antysemickiej, która została wtedy wywołana przez ludzi, którzy walczyli o władzę. Przyniosła ona wielkie straty dla Polski, odczuwalne do dzisiaj. Nie wiem, czy kiedykolwiek ludzie, którzy wywołali wydarzenia marcowe zostaną ukarani, niemniej historia już wydała na nich wyrok.

— Od pewnego czasu wykazuje pan duże zainteresowanie dramaturgią Sławomira Mrożka — w Bydgoszczy wystawiał pan „Alfę" — była to prapremiera polska tego utworu, teraz sięgnął pan po „Portret". W obu tych dramatach mamy do czynienia ze zjawiskiem „homo politicus"...

— Bydgoska „Alfa" była jakby nieoficjalną prapremierą — w ramach dyskusyjnego Klubu Teatralnego odbyło się szereg zamkniętych pokazów tego dramatu — to dla ścisłości. „Alfa" to utwór niejednoznaczny i bardzo niepokojący w swoim planie myślowym. Mówi o internowanym przywódcy związkowym, którego władze usiłują skłonić do współpracy. Akcja sztuki rozgrywa się w bliżej nie określonym kraju, jednak sytuacja i realia nasuwają polskiemu odbiorcy nieodparte skojarzenia... Mrożek jednakże nie jest publicystą i w jego dramatach w istocie dominuje refleksja historiozoficzna. Tak samo dzieje się zresztą w „Portrecie". Jest to opowieść o „zniewolonym umyśle", używając słów **Czesława Miłosza**, nie tylko zaś swoista rozprawa ze stalinizmem. Totalitaryzm może mieć różne twarze... Sądzę, że te sceniczne opowieści o Bronku Pekosiewiczu, Piszczyku, Alfie czy Bartodzieju, w istocie są rodzajem przestrogi przed demonami umysłu ludzkiego, przed różnymi Inżynierami Dusz, którzy budując nowy świat, niby lepszy i bardziej szczęśliwy, właściwie niszczą człowieka.

— Sztuka w Polsce pełni szczególną rolę — niekiedy musi zastępować podręczniki historii. Nadzwyczaj rzadkie u nas są tzw. czyste działania artystyczne, wolne od realiów politycznych, od całego dramatyzmu dziejów...

— Sam nie wiem, czy całkowite odejście od tych spraw jest u nas możliwe. Teraz przynajmniej jest to bardzo trudne. Oczywiście, byłoby lepiej, gdybyśmy mogli skupić się na całym zespole zagadnień dotyczących etyki współczesnego człowieka. Być może w tym kierunku, wyznaczonym przez Krzysztofa Kieślowskiego w jego „Dekalogu", pójdzie rozwój sztuki, także teatru. Jednak proszę pamiętać, że nasza scena od czasów Wojciecha Bogusławskiego była przesiąknięta żywiołem polityki. Artyści wcale do niej nie tęsknili, to ona wciągała ich w swoją orbitę. Upolitycznienie teatru szczególnie wyraziste jest w dziejach sceny łódzkiej — od przedwojennych realizacji Leona Schillera po dokonania Kazimierza Dejmka w Teatrze Nowym. Tam w końcu lat pięćdziesiątych zostały sformułowane diagnozy dotyczące naszego życia społecznego, które miały znaczenie nie tylko dla teatru. Chciałbym, aby „Portret" w Teatrze Powszechnym jakoś nawiązywał do tego Dejmkowskiego nurtu...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
WIESŁAW NOWICKI

Galeria pisarzy

JAN BĄBIŃSKI

Rys. Sławomir Arabski

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LONDYN — stolica Wielkiej Brytanii, do niedawna największa miejska aglomeracja świata, centrum handlowo-finansowe byłego Imperium Brytyjskiego, siedziba królów, angielskiej arystokracji krwi i pieniądza, skarbiec światowych bogactw kultury i sztuki, kolebka współczesnej cywilizacji technicznej, wylęgarnia wielkich myślicieli, żeglarzy-odkrywców, awanturników, piratów, miejsce narodzin Wielkiej Karty Praw Człowieka, demokracji parlamentarnej, związków zawodowych, feminizmu, prawie wszystkich dyscyplin sportu, maszyny parowej i kolei żelaznej, penicyliny, radaru, spódniczki mini. Nie gdzie indziej jak tu, w dziesiątym wieku, piękna Lady Godiva, żona hrabiego Mercji, uwolniła mieszkańców Coventry od daniny, przejeżdżając na żądanie męża nago przez miasto; to tu król Henryk VIII Tudor posyłał pod katowski topór swoje kolejne żony i każdego z dworzan, kto odważył się wystąpić o łaskę darowania nieszczęsnym głowy; także tu, w gnieździe drapieżnych wyzyskiwaczy Karol Marks napisał i opublikował utopijne dzieło swego życia „Kapitał", dzieło — zawrót głowy dla zbawicieli ludzkości, którego jezuicka, naukowo wydumana interpretacja przez Lenina, wprowadzona w życie przez Stalina w zbrodniczej postaci socjalizmu koszarowego naraziła narody poddane jego władzy i władzy jego naśladowców na niewysłowione cierpienia. Jednym słowem nic w świecie, co znaczące o jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości bez Londynu, nic w Londynie bez świata. Rzym ze swoimi zabytkami i historią to Rzym, Paryż to Paryż, Wiedeń to Wiedeń, kto jednak nie był w Londynie, nie poznał jego potęgi i całkowitej odmienności od stolic innych wielkich państw, ten nie zasługuje na miano człowieka światłego.

Francuzi od czasu spalenia na stosie Joanny d'Arc do objęcia tronu Tudorów przez króla Edwarda VII na dźwięk nazwy tej metropolii spluwali z pogardą narodu wiecznie przez Anglików postponowanego.

Niemcy z wojennego pokolenia nazywają Londyn Jednym Miastem za Dużo na Kursie Luftwaffe do Hitlerowskiego Zapanowania nad Światem.

Um-Dum-Bum Obote, Ugandyjczyk, stary szaman z plemienia Wasuahili, spytany, z czym kojarzy sobie słowo Londyn, odpowiedział, że z białym panem z pejczem w ręku.

Dla Polaków z komunistycznej Polski Londyn to po prostu Wielki Świat. To wyspa nigdy nieosiągalnych w kraju dobrobytu i szczęśliwości.

Ja, Adam, uwielbiam Londyn!

Nieznośny upał. Trzeci tydzień pod rząd. Z każdym dniem kanikuły ludzie stają się bardziej nerwowi. Atmosfera naładowana jest wyczuwalnym napięciem, jak przed burzą. Udziela się ono także przybywającym tutaj pasażerom linii lotniczych.

Przyleciał!

To on! — mówią za jego plecami czołobitnie w ministerialnych gabinetach Warszawy. Różnie o nim mówią te płaskie, tchórzliwe gady, lecz nic na głos. Ani w stolicy, ani na przejściach granicznych, które przekracza nietykalny dla nikogo. A very important personality!

Dostrzegam go. O pół głowy wystaje z wieńca pasażerów oblegających konwejor bagażowy. Jeszcze pusty, ale za sekundy wysypią się walizy i torby; odprawa imigracyjna i dostawa bagażu z samolotu do hallu odbywa się tu błyskawicznie.

Nie życzył sobie na lotnisku nikogo poza mną. Samochód miałem tak zaparkować, abyśmy bez zwłoki wydostali się na trasę. Być może nie chciał nadziać się na kogoś znajomego albo, co też możliwe, wszystkiego już się domyślił i chce być ze mną sam na sam.

Być może też....

Między nim a mną wszystko jest na „być może".

Tylko z neseserem i niewielką torbą podróżną barierę celną przekroczył zielonym — nothing to declare — przejściem. Prezencję ma taką, że gdyby się pomylił i wszedł w czerwone, skrupulatni celnicy angielscy przepuściliby go bez kontroli.

— Cześć, Adam!

Jesteśmy jednakowo rośli, a przy nim czuję się karłem. Nie znoszę jego bliskości.

— Czołem, ojcze!

Nawet nie wiem, czy podaliśmy sobie ręce na powitanie.

Lawenda! Zdenerwowanie objawia się u niego potami, zalewanymi flakonami lawendy. Przepadam za zapachem tego kwiatu, ale nie zmieszanym z wonią potu; opuściłem boczną szybę po mojej stronie, włączyłem bieg.

Rozumiemy się bez słów. Nie udaliśmy się do biurowca. Nie zboczyliśmy do leżącego po drodze hotelu, gdzie ma zwykle zarezerwowany apartament (za granicą zatrzymuje się zawsze w wielopokojowych apartamentach najlepszych hoteli, cena się nie liczy). Z lotniska pojechaliśmy wprost do mego służbowego mieszkania w północno-zachodniej części miasta.

Twarz miał spiętą.

Donos był anonimowy. Wysłany z Londynu. Pisany czcionkami angielskimi i jasne, że nie na maszynie biura — mówił zanim dojechaliśmy pod mój dom. Uwagę swoją skupił na Franciszku Janiaku.

Franciszek Janiak. Kierownik działu eksportu samochodów. Jedyny bezpartyjny w obsadzie filii. Jedyny fachowiec z prawdziwego zdarzenia w zagranicznym handlu przemysłu motoryzacyjnego przysłany tutaj chyba na dorobienie się przed emeryturą własnego diesla albo dla zamknięcia mu tym gęby. Przed laty przypisywano mu autorstwo anonimowego ataku na poprzedniego dyrektora Centrali, obecnie konsula PRL na Jamajce. Wielce zasłużona dla partii postać ów dyrektor, kawaler najwyższych odznaczeń państwowych, sam premier rekomendował go służbie dyplomatycznej.

Co o tym Franciszku Janiaku myślę?

Badania daktyloskopijne żadnych odcisków palców nie wykryły. Robota fachowca. Na anonimie na dawnego dyrektora też nie wykryto odcisków palców. Zbieżność faktów przypadkowa czy błąd taktyczny sprawcy?

Tym razem to jednak sprawa poważniejsza niż demaskowanie prywaty na gruncie przedsiębiorstwa państwowego.

Przez nie domknięte drzwi do łazienki przyglądałem się z fotela ablucjom ojca. Przytył przez ten rok, stracił dawną tężyznę, wyraźnie sflaczał. Sto kilogramów żywej wagi, utrzymywane w kondycji przez zmieniane co parę miesięcy „osobiste" sekretarki, kiedyś chłop na schwał. Czas dobrał się i do niego. Towarzysz Generalny Dyrektor Centrali Handlu Zagranicznego Polcar. Szycha. Zdaniem rodziny jesteśmy podobni do siebie niczym dwie krople wody; w opinii rozwiedzionej z nim matki nie różnimy się także charakterami: Niewesoła perspektywa przede mną.

Już w restauracji, przed podniesieniem kęsa z ćwierćkilogramowego befsztyka duszonego przed smażeniem w portugalskim winie, wtrącił uwagę o naszych teoretykach ekonomii politycznej. Pomylili się w ocenie kapitalizmu czy socjalizmu? Nigdy sobie tym głowy nie zaprzątałem. Na obu uczelniach, z których — mimo jego chodów — żadnej nie ukończyłem, przedmiot ten zaliczano studentom na słowo honoru, wszystko, co mi zostało, to mętlik w głowie po wykładach z socjalistycznego systemu gospodarowania. Wydumane to, nie na mój rozum. Ale to on podjął temat. Ruchawka sprzed dziesięciu lat, jak pamiętam, też uruchomiła w nim myślenie.

Podczas operowania łuchwami dochodził zwykle do odkrywczych wniosków.

To o typie maszyny do pisania i o Janiaku

(1)

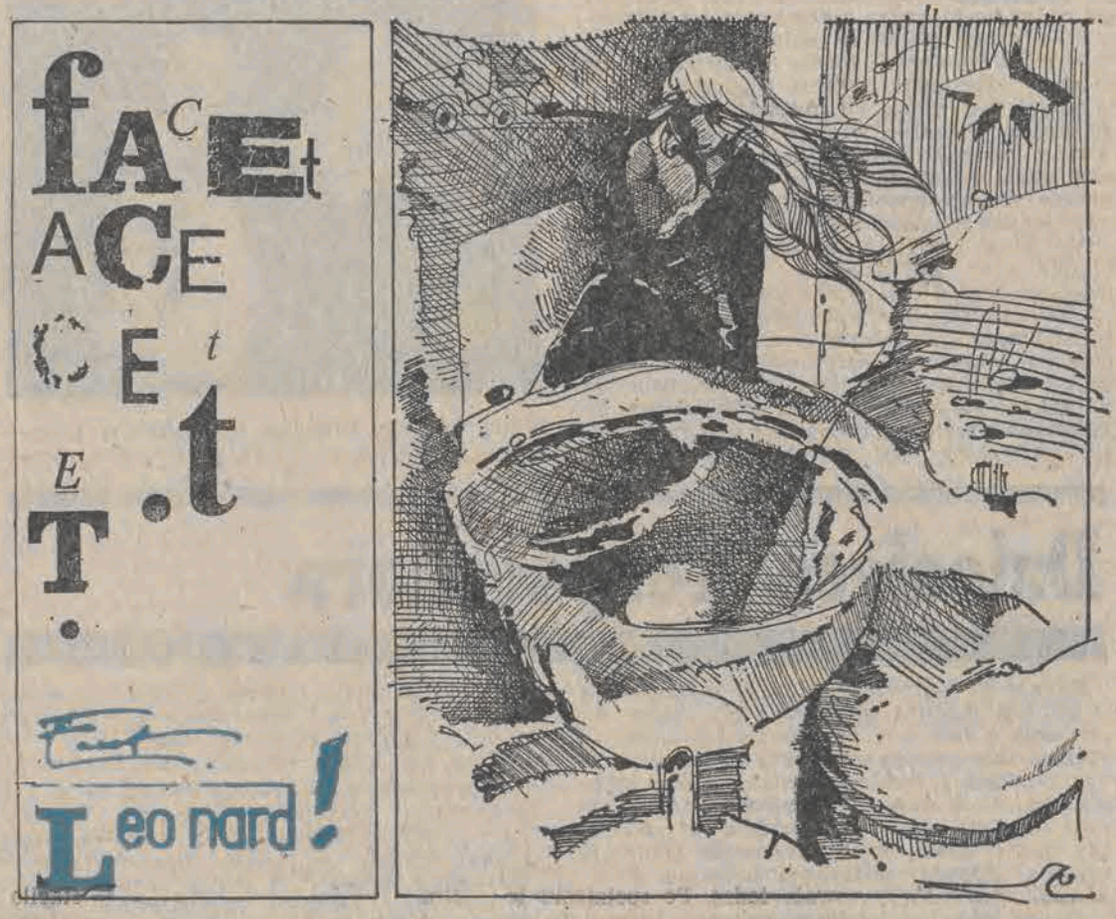

już wiedziałem. Mam o tym człowieku swoje zdanie. Roboty w biurze nie mam żadnej, podlegam bezpośrednio dyrektorowi filii Michałowi Zającowi, czyli praktycznie nikomu. Nie ja jedyny dekoruję sobą puste biurko w naszych handlowych i dyplomatycznych agendach za granicą. Swoboda ta, w połączeniu z nazwiskiem, otwiera mi dostęp do serca każdego zatrudnionego. Plewy. Tam, gdzie o desygnacji na intratne stanowisko za granicą decyduje nomenklatura, czyli święta partyjna inkwizycja, a probierzem kwalifikacji zawodowych jest kręgosłup ideologiczny, wyścig ten wygrywają typy, jeżeli akurat nie skompromitowane, to mało przydatne, które na jakiś czas muszą zniknąć ludziom z oczu. Ciekawych niuansów tej polityki kadrowej odsyłam do panów Zająca i jego zastępcy, Rafała Brody, spalonych na licznych stanowiskach kierowniczych. A że ktoś z kwalifikacjami i znajomością języków musi być pod ręką, wynajduje się takich Janiaków. Mrówek żyjących tylko głupią robotą.

Na autora donosu podchodzi ojcu najbardziej Janiak. Wysłanego tym razem nie tylko do wicepremiera branżowego — nauczka nie poszła w las! — tolerancyjnego dla ludzkich słabości, lecz do trzech instancji politycznych i rządowych jednocześnie.

Działanie z premedytacją. Nakierowane na zniszczenie nie tylko dyrektora generalnego Polcaru.

— Tylko skąd — głowił się ojciec — te udokumentowane detale o pochodzeniu kasy i tajnych wypłatach? Znanych przecież wyłącznie tobie, Adam.

Powiedzieć mu wszystko teraz i mieć wszystko z głowy, czy poczekać na pytanie?

Głos miałem spokojny.

— Uważasz, że byłbym do tego zdolny?

W jego oczach, zatopionych w nowo napełnionej koniakiem lampce, błysnęło rozpaczliwe niezdecydowanie. — Nie pleć głupstw, nie pora na to. Sytuacja w kraju jest taka, że wystarczy iskierka. — Sięgnął po papierosa. Palił straszliwie, palce miał od nikotyny aż złote. Podnosząca zapalniczkę ręka drżała. Jemu drżała ręka! — Musisz mi pomóc, Adam.

— Chyba nie mówisz poważnie. W czym?

— Nie wypaplałeś się przed kimś?

— Czyżbyś fatygował się tu dla poużywania sobie na mnie? Jestem twoim synem...

Westchnął.

— Właśnie.I A ta twoja Cheryl, czy jak jej tam. Nie ma ona przypadkiem powiązań z kimś z naszych?

— Zostaw ją w spokoju. To klasa dziewczyna. Z pogranicza wyższych sfer, jeśli ci to co mówi.

Zaśmiał się szyderczo.

— Brzmi to jak wyznanie. — Zaciągnął się głęboko papierosem. — A wiesz, co ci powiem? Z wszystkich filmów, które kończą się happy endem dla zakochanych, czyli ślubem, wychodzę zapłakany. Weź sobie to do serca.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio wymieniliśmy ze sobą tyle słów na tematy osobiste.

— Tym masz z kobietami swoje doświadczenie, ja swoje. Nie kocham jej, ale nie powiem, czy przy odpowiedniej konstelacji gwiazd... Jej stary jest wysokim urzędnikiem Imigration Office. Gdybym zechciał, obywatelstwo brytyjskie miałbym w zasięgu ręki. — Klepnąłem go w ramię. — Nie martw się, nie strzelę ci takiego psikusa. Polska to ostatni kraj dla młodego faceta z aspiracjami. Ale na razie nie zakładam zmiany powozu.

— Na razie... Czyli jak długo jedziesz tym powozem, i to pierwszą klasą. Darmo. Jakie to typowe dla was! — Zdusił papierosa. — Twoja łajdacka szczerość może przyprawić o zawrót głowy!

Nie zasługiwał na puszczenie mu tego płazem.

— Jeśli łajdacka — odpaliłem — to chyba wiesz po kim...

Myśmy nigdy nie umieli rozmawiać ze sobą i sztuki tej już się nie nauczymy.

O matce i Renacie nie wspomniał. Pierwsza jest dla niego pomyłką życiową, którą by łatwo wymazał z pamięci, gdyby nie mieszkająca z nią Renata. Wysoka, szczuplutka, typ modelki do prezentowania kreacji dla nastolatek, z diablo zadziornym, jak na swoją posturę, sercem, od petaka poczynająca sobie z nim jak z równym. Widocznie z drapieżnikami tak trzeba. Dzisiaj toczyły go ważniejsze sprawy.

Czekałem, aż dokończy kawę, którą żłopał litrami. Kawa z koniakiem. Z braku koniaku mogła być z rumem, z czystą wódką, byle nie sama. Serce musi mieć wciąż mocne.

Rachunek uiściłem biurową kartą kredytową, mogliśmy ruszać. Do mego mieszkania miałem dwa kroki, do jego hotelu na Warwick Square — pół godziny jazdy. Zbliżała się szósta. Cheryl pracę kończy o piątej, jakieś drobne zakupy po drodze, bo sklepy zamykają o piątej trzydzieści, i do domu. Byliśmy umówieni warunkowo na siódmą. Jeżeli nie będę musiał wieczoru spędzić w towarzystwie ojca. Gorąco mi to zalecała.

Najczęściej z redakcji przyjeżdża bezpośrednio do mnie. Dwa razy w tygodniu spotykamy się w lokalu i po kolacji udajemy się do dyskobudy na potańcówkę. Lubię pokrążyć z nią na parkiecie. Cheryl działa drażniąco na męskie otoczenie. Takie kobiety zwykle szybko mnie nudzą. Gdybym od razu nie zauważył jej klasy, znajomość nasza skończyłaby się na pierwszej nocy.

Nie wiedziałem, jak mu to wytłumaczyć.

Angielki są po prostu inne. Dopóki się tego nie zrozumie, łatwo się pomylić. A on doświadczenia z nimi, poza płatnymi przygodami na Soho, nie ma.

Z tymi z lepszych domów trzeba koniecznie władać angielskim. Obcy dla nich to wciąż obcy, czyli połowa swego.

Zabawny ten jego szowinizm rodzimego chowu. Dlaczego zaraz rasizm? Gdyby u nas było tylu kolorowych co tutaj, wojowalibyśmy z nimi jak dawniej z Żydami. To my jesteśmy rasistami!

Polityka mnie nudzi. Polska. Polska, można zdechnąć. Mówię o Angielkach. Że są po prostu inne. Że uwielbiają skróty. Going short. I'd — zamiast długiego: I would. Not wasting time. Do perfekcji opanowały sztukę skrótów. Polki nigdy się tego nie nauczą.

— Mówię ci, ona jest bombowa. W każdym razie dla mnie. Ale zbierajmy się już. Jest szósta trzydzieści!

Ten Zając!

— Jak mogłeś, Adam, nie przywieźć ojca do nas. Zjechaliśmy za wami połowę Londynu!

Krystyna czeka na miłego gościa. Wszystko, z ulubionymi przez ojca kołdunami w barszczu, przygotowane, gdy ja tymczasem raczę go niestrawnymi angielskimi befsztykami. Jabłoński nie mógł się nachwalić. Doskonałość. Jurek — pochwalił się bruderszaftem z ministrem — zażyczył sobie, aby następnym razem też kołduny. Może obyć się, bez drugiego dania, wystarczą one. Więc proszę. I mowy nie ma, aby beze mnie. Gosia zerwała się specjalnie z wieczorowych wykładów angielskiego. Jedziesz z nami, Adam!

Słynna polska gościnność. Już wczoraj Zając odwiedził znajomego kapitana statku oceanicznego, idącego via Londyn do Japonii. Dyrektor filii Polcaru lubi być au courant w sprawach kraju, kapitanowie są ciekawi Anglii. Po wymianie interesujących przyjaciół wiadomości wróciliśmy do samochodu wypełnionego w międzyczasie przez ochmistrza statku kartonami z żywnością. Spiżarnia pani Krystyny Zając zaopatrywana jest przez renomowanych państwowych dostawców.

Straciłem humor na dobre.

Pani Krystyna musiała kończyć wydział kucharski: co danie, to delicja, mimo obiadu zjedzonego w restauracji można by się zażreć u niej na śmierć. Smakołykami zapełniającymi stół i jej głupotą. — Siedzisz taka milcząca Małgosiu, pan Adam gotów jeszcze pomyśleć, że się na niego gniewasz. A przecież lubisz pana Adama, prawda?

Spojrzałem na nią nie wiadomo czemu speszony.

—Ależ proszę pani!

— Już ja was, młodych, znam. To politykowanie tutaj nie na wasze uszy. Idźcie do twego pokoju, córuś, i porozmawiajcie sobie. Ach, kiedy ja miałam twoje lata...

W każdym wieku widziałem ją w M-3 przy garach, w kuchennym fartuchu zarzuconym na kusą halkę, z wylewającymi się z biustonosza piersiami. Wstrętna rajfurzyca. Na szczęście jej latorośl wzięła z niej tylko kolor włosów i rzesy. Obie mają rzesy jak sztuczne.

Wychyliłem solo stojącą przede mną, pogardzaną dotychczas pięćdziesiątkę czystej. Abstynencja — to według matki moja jedyna zaleta. Ojca i Zająca aż zatkało. — Proszę, proszę. Zawsze mówiłem, że z pana Adama będą ludzie.

Kretyn!

Napełniłem kielich i bez stukania się, czego nie znoszę, jednym chaustem wychyliłem. Nie jestem dzieckiem!.

Cheryl nie ma w domu, nie ma w redakcji. Pozwoliłem sobie na nakręcenie numeru jej rodziców. Mój pierwszy telefon do nich. Ze zdenerwowania spociłem się.

Dzwoniłem podczas sprawozdania z debaty w Izbie Gmin. Na tapecie długo oczekiwane starcie nowej pani premier z potężnymi związkami zawodowymi, musiałem oderwać pana Hopkinsa od telewizora.

— Osterwa speaking. I am very sorry — przeprosiłem za zakłócenie wieczoru.

— Who?

Ten lód w ich gębie!

— Adam Osterwa, przyjaciel pańskiej córki Cheryl. Czy byłby pan łaskaw....

Premier Thatcher rządzi krótko, ale swymi arbitralnymi decyzjami zdążyła swoich rodaków podzielić na dwa przeciwstawne obozy. Z babami zawsze tak, dać im tylko władzę. Pora wieczornego dziennika telewizyjnego, na pierwszym planie zainteresowania takiego pana Hopkinsa sprawy kraju, a ja wyrywam go do telefonu. — Dziękuję. I jeszcze raz przepraszam.

Cholerna Thatcher!

— Musi pan koniecznie makowca. Zrobiłam z migdałami, z rodzynkami, dodałam fig i skórki pomarańczowej — palce lizać. Choćby pół porcyjki, panie Adamie. Proszę nie odmawiać.

— Dziękuję, nie!

Nie ma Cheryl w domu, nie ma w redakcji, nie ma u rodziców. Jestem wściekły.

Ona też chadza na skróty. Mówi: I'll; I'd; panie nazywa Ad (jak skrót od advertisement — ogłoszenie), siebie Peggy. Tak przywykła do tego, że kiedy słyszy w domu Gosia, to jakby nie do niej.

Więc Ad and Peggy, cywilizujemy się.

Gdy ja wydzwaniałem do Cheryl, Peggy wraz z mamusią zajęły się przygotowaniem pokoju. Małomówna w salonie tutaj ożywiła się.

Ma szare z odcieniem fiołka oczy, przeraźliwie długie rzęsy, na swoje osiemnaście lat jest kobieco w pełni ukształtowana i — moja rezerwa do niej rezerwą — może się podobać. Jest na wskroś nowoczesna. Nienawidzi kuchni, robótek na drutach, szkoły, pracy, liczenia się z pieniędzmi rodziców, dyscypliny, przepada za to za rockiem, heavy metalem, Rolling Stonesami, awangardowymi przebojami Beatlesów, szybkimi samochodami, dyskobudą, kinem, teatrem. „Hamlet". Ale grany przez Anglików. Spektakl ogląda tysiąc razy, także wystawiany na otwartym powietrzu w Szekspira rodzinnym Stratfordzie. Niezatarte wrażenie. Rolę króla Danii, Klaudiusza, grał sir Laurence Olivier, Gertrudy — wspaniała Glenda Jackson, Hamleta... zapomniała. Ze swoimi bujnymi piersiami, które jak bym nie usiadł bodły mnie w oczy, byłaby niezła jako Ofelia. Widziałem ją w tiulowej bieli, bosą, z wiankiem chabrów na rozpuszczonych włosach rzucającą się w nurt rzeki. W ferworze opowiadania oparła się ręką o moje udo. Nie trwało długo jak bez żadnej mej prowokacji z mojej strony poczułem ją w strefie, skąd wszystkie drogi w takiej sytuacji prowadzą do jednego tylko wyjścia.

Dobrze jej tak — Cheryl! Wczoraj ukazał się jej pierwszy samodzielny reportażyk. Dla uczczenia sukcesu, co naturalne wypuściła się z kolegami z redakcji na drinka, a nie chcąc mnie urazić, namawiała na towarzyszenie ojcu. Że też o tym nie pomyślałem.

W łazience przylegającej do pokoju szybko doprowadziłem się do porządku. Niepotrzebny pośpiech: Peggy nie obawiała się wejścia matki, gdy wróciłem zastałem ją jeszcze z nie podczesanymi włosami, bujającą w obłokach. Nigdy nie zrozumiem psychiki kobiet. Miłość. To ich sakramentalne: „co ja teraz poczne bez ciebie?". Nie byłem pierwszy w jej życiu, dlaczego miałbym być ostatnim? Mógłbym, głupią, posłać do wszystkich diabłów.

Cheryl jest na pewno już u siebie.

— Kocham cię, Ad. Naprawdę. Jutro zamiast na wykłady przyjdę do ciebie. Chcesz, żebym przyszła, prawda?

Starego odwiozę do hotelu — mowy nie ma, aby w pijanym widzie gniótł się ze mną. W tym stanie jest okropnie marudny i sentymentalny. Młodość władzy ludowej mu się wtedy przypomina. Jak brał za mordę i... Męskie czasy, nie to, co teraz.

Więc do hotelu go i potem do niej.

Jak ona — mowa o Peggy — skąpo się na ten bądź co bądź oficjalny wieczór ubrała!

— Znowu pragniesz mnie, Ad. Czuję to. Boże, jaki jesteś duży...

Strasznie wścibskie paluszki. Nie chciałem powtórki. Za skarby świata nie chciałem, ale moja obrona, przy jej upartym dążeniu do celu nie zdała się na wiele. Rozbestwiona jest ta mała. Ledwie wróciłem z łazienki na fotel, już miałem ją znowu na kolanach. — Siądź na swoim miejscu — próbowałem oderwać ją od siebie. — I na miłość boską zostaw moje spodnie w spokoju. Jeszcze kto wejdzie.

CDN.

Starogermański Dekameron.

Zemsta oszukanej białogłowy

Człek sprawiedliwy zawsze może być pewien opieki Wszechmocnego. Poratuje go zawsze w nieszczęściu i ciężkim strapieniu. Jeśli tylko ktoś pokłada silną ufność w Bogu, ucieka się do niego w cierpieniu, ten nigdy go nie opuści i za każdym razem udzieli swojej pomocy. Pozwólcie jednak, że wam opowiem o pewnej dziewicy, która wycierpiała w swym życiu wiele zgryzot i nieszczęść, musiała dźwigać wielką mękę serca bez swej winy, aż Bóg, dla niej łaskawy, ocalił ją od wszelkich strapień. Była ona nieskalana, bogobojna, piękna, miła i wytwornego rodu. Jako hrabina wraz ze swym bratem — dumnym, szlachetnym, bohaterskim rycerzem — władała wielkim hrabstwem. W niezbyt dalekim sąsiedztwie panował szlachetny, młody i potężny król, który prócz młodej hrabiny nie znał ani jednej szlachetnie urodzonej niewiasty na tyle wysokiego pochodzenia, aby można było zabiegać o jej względy. Postanowił zatem starać, się o jej rękę, zaś młody hrabia przystał na małżeństwo siostry z królem. Wkrótce władca pokochał narzeczoną jak własne życie, a gdy ich związek stał się jawny, sławiono cnotliwość, bogactwo, równość rodów i dostojeństwo obojga.

Na służbie u króla był podstępny i przebiegły rycerz, a rycerz ten z kolei miał łotra giermka. Stwierdził on całkiem gołosłownie wobec swego pana:

— *Wysłuchajcie mnie, wasza miłość! To, co wam teraz rzeknę, jest czystą prawdą. Król, nasz pan, popełnił straszliwy błąd przez swój związek z hrabiną. Ta mniemana dziewica oddawała się już wcześniej bardzo wielu mężczyznom. Jest bardziej sprośna niż cztery kurwy razem wzięte. Jeśli nie wierzycie, sprawię bez trudu, że będzie na wasze chęci. Sami się wtedy przekonacie jaka jest przebiegła. Gdy przystaniecie na mą propozycję, będziecie mogli zrobić doskonały żart.*

Usłyszawszy to rycerz poczuł przypływ wielkiej krzepy i owładnięty występną chucią zgodził się na tak podłe przedsięwzięcie. Wyszczerzył zęby do swego pachołka i powiedział:

— *Drogi przyjacielu, pomóż mi i poradź, co mam zrobić, aby zaspokoić swoją żądzę. król zamierza już jutrzejszej nocy wprowadzić młodą narzeczoną do łożnicy i zawrzeć związek małżeński. Byłby to wyborny żart, jeśli spotka mnie szczęście i prześpię się z nią wcześniej".*

Giermek zaśmiał się:

— *Zatem zważcie dobrze, wasza miłość. Poradzę wam jak jeszcze dzisiejszej nocy możecie obcować z młodą hrabiną, ile tylko zechcecie. Brat jej, młody hrabia, jeszcze dziś wyjeżdża ze wszystkimi swoimi ludźmi do szwagra, potężnego króla i będzie u niego nocował. Mają zamiar poczynić wspólnie wszelkie przygotowania do wspaniałej uczty weselnej. Przeto hrabina zostanie w zamku bez mała sama. Krom odźwiernego i jednego strażnika nie ma w odwodzie prawie nikogo, kto by ją bronił. Pojedźmy społem ku zamkowi: ukryję się do rana w przyległym lesie. Zostawicie przy mnie swego rumaka i pieszo udacie się do warowni. Zawołacie łaskawie do strażnika* — „Strażniku, Bóg ci to wynagrodzi, ale uwiadom swą szlachetną panią, że król prosi o wpuszczenie. Potrzebuję jej rady i pomocy w sprawie ważnej dla nich obojga. „*Tamta z całą pewnością nie waży się was odprawić. A kiedy zacznie świtać wrócicie tu, gdzieście mnie zostawili.*

Rycerz był całkiem zachwycony tym haniebnym pomysłem. Po krótkich przygotowaniach pojechali obaj przez wrzosowisko ku zamkowi hrabiny. Ledwie przybyli do leżącego blisko twierdzy gęstego lasu, ujrzeli posuwający się w przeciwnym kierunku wielki orszak konny. Jeźdźcy byli we wspaniałych zbrojach, mieli lance i tarcze. To ciągnął król ze swym szwagrem, szlachetnym hrabią. Opuścili właśnie z orszakiem, złożonym z rycerzy i giermków, zamek młodej hrabiny i jechali na nocleg do rezydencji królewskiej. Rycerz i jego pachołek zeskoczyli z koni kryjąc się, póki poczet nie przejechał. Później pozbierali się bez zwłoki i pojechali dalej do zamku. Pan był dobrej myśli, miał przecież pewność, że w warowni nie pozostał nikt, kogo musiałby się obawiać. W międzyczasie zaszło słońce, zapadła nocna ciemność, która łacno skrywa zły, niesprawiedliwy postępek. Kto jak złodziej zamyśla podłe rzeczy, kocha nocne ciemności i nienawidzi światła dnia. Podczas gdy pachołek z dwoma końmi cicho i bezgłośnie ukrył się w lesie, jego pan kroczył ostrożnie ku zamkowej fosie. Na górze zawołał półgłosem:

— *Hej, strażniku, dzielny junaku. Powiedz no swej szlachetnej pani, aby kazała mnie wpuścić. Jestem królem i sam jeden czekam tu za murem. Muszę widzieć się z dziewicą, aby z nią omówić sprawy wielkiej wagi. Jeśli się nie zgodzi, to na pewno oboje popadniemy w kłopoty i strapienia.*

Strażnik natychmiast przekazał szlachetnej dziewicy posłanie od mniemanego króla. Gdy je usłyszała, przestraszona zaczęła rozważać: jeśli tutaj wpuszczę szlachetnego pana, to jeszcze gotowam się nie obronić, o ile przedsięweźmie coś takiego, co wystawi na niebezpieczeństwo mój honor. Będę musiała więc czynić, czego ode mnie zażąda, zdając się w całej swej dumie na los. Zresztą jestem z nim niemal zaślubiona. Gdybym go nie wpuściła, a rzeczywiście znalazła się w tarapatach, nigdy mi tego nie zapomni. Targały nią więc sprzeczne myśli o dziewiczej czci i późniejszych małżeńskich zmartwieniach. Wreszcie postanowiła, że go wpuści bez względu na przykrości, jakie mogły wyniknąć. Kazała odźwiernemu, by dał jej klucz i prosiła go o dotrzymywanie towarzystwa. Miał opuścić zwodzony most i w błędnym przekonaniu, że to przybył szlachetny król, umożliwić rycerzowi wejście do środka. Dziewica zaprowadziła go niezwłocznie do swojej komnaty i spytała:

— *Kochany panie, co wam dolega? Dlaczego przybywacie do mnie zupełnie sami? Bardzoście mnie przestraszyli.*

Tędy rzekł:

— *Szlachetna dziewico, możecie mi wierzyć, ba, klnę się, że to czysta prawda: odkąd zostaliście ze mną zaręczeni, płonę, wściekam się, szaleję z żądzy do waszej miłości. Jeśli nie będę mógł, pani, jeszcze dzisiejszej nocy posiąść waszego wspaniałego ciała, padnę trupem. Jeśli jednak bez sprzeciwu będziecie mi powolni, to przyrzekam wam, pani, nigdy tego nie będziecie żałować".*

— *Szlachetny panie, nie pojmuję waszej niecierpliwości* — zauważyła zdziwiona dziewica. — *Zostało przecie ułożone, że jutro już będziemy dla siebie mieli całą noc, podczas której, po zawarciu związku małżeńskiego, możemy zażywać szczęścia miłości. Wszak to nastąpi za parę jeno godzin. Przekonana jestem, że poczekacie na tę chwilę zamiast zadawać gwałt memu sumieniu. Przy tym w każdym razie dalece mniej zważacie na mą cześć, skoro ode mnie wymagacie, abym teraz z miejsca zagłuszyła waszą żądzę.*

Po cóż wiele niepotrzebnych słów? Błagał dziewicę tak gorąco i żarliwie, że wreszcie była mu powolna. A kiedy, tracąc wianek, stała się niewiastą, uważała — całkiem bezpodstawnie — że trzyma w ramionach swego przyszłego, kochanego małżonka, szlachetnego i potężnego króla. Oszust pieścił jej piękne, rozkwitłe ciało i pełen rozkoszy zażywał radości kochania. Młoda niewiasta także odczuwała przyjemność i nie chowała niczego przed rycerzem jak przystoi młodej żonie, igrającej radośnie w łożnicy z ukochanym mężczyzną. Pełna miłości i niewinna, mocno go do siebie tuliła, objąwszy białymi ramionami. Jednak rycerza naszły wszystkie złe, szpetne myśli i w swej głupocie zdradził się szyderczą uwagą:

— *Mój giermek ma rację! Król upodobał sobie pospolite ścierwo!*

Szlachetna pani wyrwała się i wykrzyknęła:

— *Coście tam przed chwilą powiedzieli?*

Przestraszony, próbował ją udobruchać:

— *Kochana, słodka żonko! Nie gniewaj się, jeśli odurzony snem paplałem głupstwo! Sam nie wiem, com wymamrotał przed chwilą.*

Chociaż jednak cofnąłby chętnie swoje zbyteczne słowa, one już przecież padły i jest całkiem oczywiste, że podła zniewaga głęboko zraniła młodą, szlachetną niewiastę. W międzyczasie, umęczony trudami dnia, rycerz zapadł w głęboki sen. Co teraz zrobiła niewiasta? Cichcem wymknęła się powracając z zapaloną świecą. Gdy w jej blasku ujrzała jego oblicze, od razu poznała, że to wcale nie jest król. Wtedy zdjęła ją potworna zgroza: ten łajdak w tak haniebny sposób pozbawił ją czci. Pełna rozpaczy, odrazy i gniewu przeszukała sąsiedni pokój, póki nie znalazła świetnego, krótkiego miecza, ostrego jak brzytwa. Zabrała go do komnaty i gniewnym cięciem odjęła rycerzowi głowę od tułowia, tak otrzymał zasłużoną zapłatę. W ciężkim strapieniu pośpieszyła szlachetna pani do odźwiernego, który wpuszczał rycerza i poprosiła:

— *Drogi przyjacielu, wybaw mnie z wielkiego nieszczęścia. Przyrzekam ci w nagrodę tyle czerwonego złota, ile zapragniesz. Będziesz mógł do końca życia stać się majętnym człowiekiem. Pomyśl tylko, straszliwie mnie oszukano. Szlachcic ów, przybyły tu nocą, którego wpuściliśmy, wcale nie był królem. Chciał zdradziecko wyłudzić ma miłość, za co musiał zapłacić życiem. Odrąbałam mu głowę. Zaklinam cię teraz, abyś mi pomógł wrzucić trupa do studni. Dla mnie jest zbyt ciężki. Będę ci towarzyszyć i poniosę głowę. Wszakże nikomu ani słowa! W podzięce za to wynagrodzę cię tak szczodrze, że do końca życia będziesz opływał w złocie i bogactwie.*

Wtenczas odźwierny lubieżnie cmoknął i rzekł:

— *Poznaję po was, że szlachcic już was zranił w wiadome miejsce i przespał się z wami zgodnie z wszystkimi zasadami sztuki. Żądam jako nagrody, abyście, pani, mnie także byli powolni. Skoro to uczynicie, pomogę wam, jeśli wszakże, pani, nie pozwolicie mi się pokochać, możecie długo prosić.*

— *Co ty opowiadasz!* — zawołała z rozpaczą szlachetna pani. — *Tylko pomyśl, chcę ci ofiarować bogatą nagrodę. Do końca swych dni będziesz mógł żyć jak pan!*

Mimo próśb i błagań, sługa zgodził się pomóc, o ile pozwoli mu się pokochać. Była bezradna i zrozpaczona. Po cóż wiele niepotrzebnych słów. Nie znajdując wyjścia musiała wreszcie wydać swoje wspaniałe ciało na zachciankę odźwiernego, który do woli zaspokoił swoją żądzę. Po spełnieniu tego haniebnego czynu udał się ze szlachetną panią do komnaty i zarzucił sobie na ramię ciało martwego rycerza, podczas gdy ona niosła odrąbaną głowę. Gdy doszli do studni, zawołała do odźwiernego:

— *Nachyl się nad krawędzią, aby ciało możliwie cicho zsunęło się do wody, bo inaczej strażnika zaniepokoi przypadkowy plusk.*

Posłuchał jej i nachylił się głęboko nad brzegiem studni, aby niemal bezgłośnie spuścić trupa w dół. W tej samej chwili szlachetna pani chwyciła go nagle za nogi i poderwała je do góry, toteż zdradziecki odźwierny przekoziołkował w głębinę jednocześnie z trupem. Tym sposobem on także otrzymał zasłużoną nagrodę miłosną, utopiwszy się marnie w cysternie napełnionej wodą. Szlachetna pani wrzuciła tam zaraz także głowę trupa i znów pośpieszyła do swojej komnaty. Ponieważ prześcieradła były czerwone od krwi, pełna lęku poczęła dumać, jak ją wybawić, aby nikt nie nabrał podejrzeń. Prała i prała w pocie czoła całą noc, nie pozwalając sobie na wytchnienie, póki się nie sprawiła usuwając bez śladu wszystkie plamy.

Gdy nadszedł świt, giermek rycerza, który leżał w lesie niedaleko zamku, począł pilnie wyglądać pana, spodziewając się, jak to było ułożone, że opuści zamek i przyjdzie do niego. Z coraz większą troską wyczekiwał aż do południa. Akurat przeciągał przez las młody hrabia w pełnej zbroi ze swoim orszakiem.

Spieszno mu było do domu, po siostrę. Gdy poczet podszedł bliżej, zauważono giermka, który prowadził za cugle dwa rumaki. Rzucono się na niego, wypytując, co ma tu do roboty. Okazał się strapiony i niepewny, nie miał bowiem żadnego dobrego wyjaśnienia dla swej obecności, a nie chciał oczywiście wyjawić swej zdrady. Uznano go za podłego łajdaka i jawnie oskarżono o kradzież obu koni. Następnie, po oćwiczeniu, powieszono go — dla przykładu — na gałęzi drzewa i w męczarniach znalazł straszliwy koniec. Ta śmierć była rzeczywiście zasłużona, bo przecież giermek dał zbrodniczą radę: rycerza i odźwiernego kosztowała ona życie, a na młodą hrabinę sprowadziła okropne nieszczęście. W końcu postradała najwięcej, bo daną jej od Boga cześć. Wszystkie te łotrowskie knowania przywiodły giermka do upadku. Pozwólmy mu więc spokojnie wisieć na gałęzi.

Wielce zadowolony z szybkiego wyroku, młody hrabia pojechał teraz do swego dumnego zamku i opowiedział siostrze, co się stało. W mig pojęła wzajemne powiązanie rzeczy, jednako nie zdradziła się ani słowem o całej sprawie. Jej hrabiowski brat powiedział:

— *Uwiń się, kochana siostro! Musimy natychmiast wyjechać, bowiem król czeka, aby wreszcie jako żonę wprowadzić cię do swego domu. Jeszcze dziś za niego wyjdziesz. Spraw się zatem, jako należy, kochana siostro.*

Młoda hrabina przestraszyła się, bo przecież zdradziecko pozbawiono ją dziewiczego wianka. Posępna, przytłoczona ciężkimi dumami, szykowała się ze swą pokojówką, a hrabia baczył w tym czasie na przygotowania rycerskiego orszaku. Następnie we wspaniałym pochodzie, ze wszystkimi honorami, zawiedziono młodą hrabinę przed całkiem upojonego szczęściem, szlachetnego króla, który serdecznie ją powitał. Rozpoczęła się świąteczna wrzawa, tylko narzeczona była głęboko zasmucona i rozpaczliwie bezradna. Jednakoż, chociaż miała serce nieutulone z żalu i nieszczęśliwe, nie dała tego po sobie zauważyć. Nie wiedząc, co ma zrobić, skarżyła się wszechmocnemu Bogu na swe kłopoty i wszystki ból. Gdy zakończono przygotowania do uczty weselnej, król, piękna narzeczona, jej hrabiowski brat oraz wiele pięknych dam udali się do stołu. Podano dziczyznę, ryby i obfitości wszystkie smakowite potrawy, toteż każdy znalazł coś dla siebie i zadowoleni byli nawet najwięksi smakosze.

Kiedy wszyscy się zasycili, uprzątnięto stoły i teraz przyszła kolej na puzonistów i flecistów. Wielka ilość muzykantów grała wesołe melodie. Wreszcie nadeszła pora, kiedy król miał pójść do łóżka ze swoją młodą żoną. Młody hrabia powiódł siostrę do komnaty nowożeńców. Znalazłszy się tam, zatrzymała tylko zaufaną pokojówkę, prosząc:

— *Odeślij wszystkich innych ludzi!*

A gdy to nastąpiło, w komnacie została tylko młoda żona, jej piękna pokojówka i radośnie oczekujący król. Podczas gdy władca kładł się do łoża, pokojówka znalazła zajęcie przy świecznikach. Wtedy pani odwiodła ją na stronę i powiedziała:

— *Wyjdź ze mną! Przygotujemy dla ciebie posłanie, a potem znów wrócimy.*

Kiedy obie z zapalonymi świecami opuściły komnatę nowożeńców, królowa cicho szepnęła do swej zaufanej:

— *Uważaj, mam do ciebie wielką prośbę! Wiesz, że cię zawsze uważam za najbliższą powiernicę. Teraz ci dowiodę mego przywiązania. Kiedy społem wrócimy do mego królewskiego małżonka, zgaś natychmiast w pokoju wszystkie świece. I wtedy, przez wzgląd na łaskę, którą ci wciąż okazywałam, proszę abyś legła przy moim kochanym mężu i pozostała przy nim, aż zaspokoi swoją żądzę. W nagrodę obsypię cię bogactwem! Przysięgam, że po dziurki w nosie wypłacę ci twą wierność złotem i srebrem. I przyrzeknij mi, że potem natychmiast zwolnisz dla mnie miejsce przy boku mego męża!*

Dziewica, uroczyście i święcie, przysięgała uczynić wszystko, o co prosiła jej pani. Kiedy weszły do komnaty, zgaszono wszystkie świece. Bez dłuższych ceregieli dziewica zwinnie wśliznęła się do łoża króla, jak gdyby była królową. A jej pani cicho przycupnęła w kącie. Zważcie więc, co nastąpiło dalej: król zamknął dziewicę w ramionach i pełen zachwytu, robił z nią to, co mu podpowiadało namiętne pragnienie. Śmiało przycisnął ją do siebie i dziewica przemieniła się w niewiastę. Królowa była świadkiem tego, lecz siedziała cicho jak mysz pod miotłą. Gdy tylko władca zaspokoił z dziewicą swą żądzę, sekundy zdały się królowej godzinami. Czekała niecierpliwie, aż król wreszcie zaśnie i zacznie chrapać. Stało się to niezadługo. Wtedy przyszła do łóżka prosząc pokojówkę, aby jak to obiecała, ustąpiła jej miejsca. Zasię tamta nawet nie chciała o tym słyszeć i odmówiła szlachetnej królowej wyzywającymi słowy. Biedaczka bardzo się przestraszyła i błagała dziewkę, aby nie była dla niej zła i dotrzymała swego przyrzeczenia. Jednakoż wszelkie prośby i błagania okazały się daremne. Pokojówka nie chciała ustąpić, najchętniej sama zostałaby królową. Młodą władczynię spotkał więc straszliwy cios, teraźniejsze niebezpieczeństwo okazało się najpotworniejsze ze wszystkiego, co dotąd przeszła. Jak szalona krążyła po omacku w komnacie, w końcu jednak, opanowawszy się, raz jeszcze próbowała szczęścia. Podkradła się do łóżka prosząc pokojówkę płaczliwym głosem, aby jej nie gubiła. Zasię tamta zaczęła wściekle krzyczeć, napełniając wnętrze hałasem i butnie zelżyła swą panią. Czy władca się przebudził? Na szczęście nie! Spał tak mocno i głęboko, że nie doszło go ani jedno słowo kłócących się niewiast. Królowa z chęcią ległaby przy szlachetnym królu, nic jednak nie mogła poradzić i nie odważyła się już także więcej dochodzić swych praw. Smutna i zrozpaczona, kiedy właściwie straciła nadzieję, spostrzegła, że pokojówka też mocno zasnęła. Wtedy postanowiła, że straszliwie odpłaci dziewce jej zdradę. Wysunęła się cicho do kuchni, zapaliła tam świecę i nią podłożyła ogień we wszystkich czterech rogach komnaty. Kiedy strzeliły jaskrawo płomienie, zrywając z ciała suknie, aż się całkiem obnażyła, popędziła ku łóżku, na którym spał król, objęła go, potrząsnęła nim i pośpiesznie szepnęła:

— Szybko, kochany mężu, czym prędzej musimy uciekać z domu, byśmy nie zginęli w tym straszliwym ogniu!

Wielce wystraszony król wyskoczył z łóżka, podziękował swej żonie za ratunek w nieszczęściu i wraz z nią wypadł z komnaty. Lecz pani, zanim pospieszyła za królem, zamknęła drzwi alkowy na rygiel, toteż pokojówka spłonęła w niej na popiół. Przepłaciła więc życiem swą niewierność, otrzymując za nią sprawiedliwą zapłatę. Tym sposobem król i piękna hrabina połączyli się i żyli ze sobą szczęśliwie. Święcie dotrzymywała wiary szlachetnemu królowi, a ze swej strony on zachowywał się tak samo wobec swej szlachetnej, godnej miłości żony.

Minęło trzydzieści dwa lata. Pewnego dnia król zapadł w drzemkę na łonie swej małżonki. Pełna skruchy pomyślała wtedy o przeszłości: jak zginęli rycerz, odźwierny i pokojówka i jak niewierny giermek zapłacił życiem za zdradę. Wspomnienie tego tak wyraźnie stanęło jej przed oczami, że boleśnie poruszona zaczęła płakać, a jej łzy ściekały na oblicze króla. Obudził się i zdumiony spytał:

— *Kochana żono, co się stało? Zaprawdę, nigdy cię jeszcze nie oglądałem w tak smutnym nastroju. Niech się dowiem, żono, kto ci sprawił jaką przykrość. Możesz być pewna, że pożegna się z życiem.*

Przytłoczona mrocznymi wspomnieniami, królowa z trudem odzyskiwała spokój ducha, a mąż tym bardziej pragnął poznać powód jej zgryzoty. Zanim mu się do wszystkiego przyznała, musiał przysiąc, że nie zapała nienawiścią ani gniewem. Skoro to przyrzekł, uświadomiła go jak podając się za króla przybył do niej szykowny rycerz, jak z nią cieleśnie obcował i zdradził się jedną nieostrożną uwagą, toteż za karę odcięła mu głowę. Opowiedziała dalej o odźwiernym, który wyzyskał jej nieszczęsne położenie i tym samym przydał jej nowego cierpienia, więc mszcząc się, wtrąciła go do głębokiej studni. Dowiedział się także małżonek jak został powieszony giermek, czekający pod zamkiem na swego pana. Otrzymał słuszną zapłatę za swą zbrodniczą radę, bowiem od niej zaczęło się całe łotrostwo, wymierzone w jej honor. Wreszcie opowiedziała władcy o kłótni z pokojówką, która pierwszej nocy zajęła miejsce przy jego boku, o tym jak daremnie błagała dziewkę, aby już opuściła łoże i jak piękna ladacznica musiała zapłacić za to śmiercią w płomieniach, które pani własnoręcznie rozniecila. Kiedy wszystko wyznała małżonkowi, król zamknął swoją kochaną żonę w ramionach, serdecznie do siebie przytulił i rzekł:

— *Pragnę ci wiernie służyć całe życie, gdyż zniosłaś za mnie wiele cierpień. Za to, co uczyniłaś, nie pociągnę cię do odpowiedzialności, ani otwarcie, ani potajemnie. Nie powinnaś także w najmniejszym stopniu obciążać się, czy to na honorze, czy myślą czy uczuciem.*

Obiecał jej to szlachetny władca i uważam, że postąpił słusznie. W końcu szlachetna pani nigdy nie uczyniła nic złego i całkiem niezasłużenie wpadła w wielkie tarapaty.

Tak kończy się historia, którą opisał Kaufringer.

Przełożył:
KONRAD
FREJDLICH

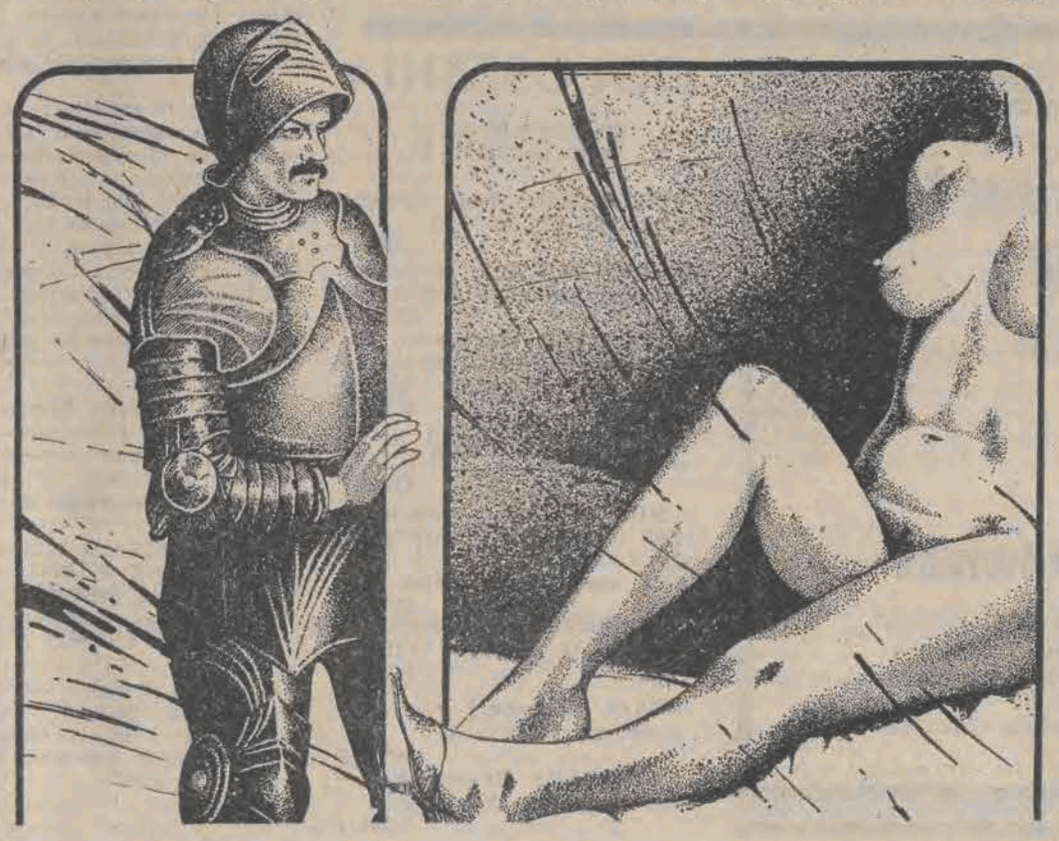

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

12 kwietnia — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

19 kwietnia — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 5.IV.1990 R.

Zbliżają się święta wielkanocne i być może z tego powodu ludzie więcej uwagi zwracają na sprawy związane z czystością, a może w ogóle brudu już mamy tyle, że zaczynamy się przeciw temu buntować. Nie wszyscy jednak. Dozorczyni z jednego z domów w śródmieściu Łodzi — prosiła, aby nie podawać adresu i nazwiska, bo boi się stracić pracę — w którym mieszkają lekarze, pracownicy wyższych uczelni, adwokaci, pożaliła się na ich zachowanie. Na przykład w domu tym okna łazienek wychodzą na świetlik, więc wyrzuca się przez te okna różne rzeczy. Brudno jest na klatkach schodowych. Wszelkie zwracanie uwagi na niestosowność takiego postępowania, jak i prośby o zachowanie czystości nie dają rezultatów. Pani ta przypomniała też, że znacznie podrożały wszelkie środki czystości, nie ma ich w administracji, sama też nie jest w stanie ich kupować. Coraz trudniej dbać o czystość, a ludzie stali się niestety większymi brudasami.

Pani **Małgorzata Kamińska** uważa, że ludzie dzielą się na zwolenników i przeciwników psów. Przeciwnicy mają psom za złe, że te robią kupki, szczekają, a niekiedy gryzą. Pani Małgorzata Kamińska miała psy, ma i będzie mieć, ale jak psa wyprowadza, to... po nim sprząta. Taki zwyczaj panuje w wielu cywilizowanych krajach świata. U nas nie. Zdaniem mojej rozmówczyni winę za to ponoszą ludzie, którzy nie potrafią tak ułożyć psa, aby nie gryzł i nie szczekał bez potrzeby. Złe cechy psa zależą niestety od „złego ułożenia pana", a całą winę zwala się na biednego psa.

Zdaniem pani Małgorzaty Kamińskiej opłaty z targowiska przy ul. Zjazdowej na Widzewie nie powinny iść na utrzymanie RTS Widzew. Miasto ma wiele innych potrzeb. Jest to pogląd dyskusyjny, gdyż do tych wielu potrzebujących pomocy należy również sport. Przy obecnej sytuacji finansowej miasta zawsze powstanie problem: komu zabrać, aby komu innemu móc dać?

Pan **Dariusz Surowiec** z Pabianic opowiedział o urokach posiadania małego fiata przystosowanego do ruchu lewostronnego. Kupił takiego fiata, bo nie było innych w 1986 roku. Teraz zepsuł mu się układ kierowniczy. Potrzebna część pasuje z „bisa", ale nigdzie nie można jej dostać, a w Bielsku Białej i w Tychach poradzono mu, aby kupił taką część we Włoszech. Jest to rada z cyklu dobrych, które są nie do zrealizowania. Pan Dariusz Surowiec z Pabianic pyta, co ma robić? Może ktoś z Czytelników „Odgłosów" ma taką część na zbyciu i byłby w stanie pomóc panu Dariuszowi S., prosimy zadzwonić do redakcji. Adres pana Dariusza S. w moim posiadaniu.

Życzę wszystkim Czytelnikom spokojnych świąt bez przedświątecznych i wszelkich innych kłopotów!

BOGDA MADEJ

DRUGA JAPONIA?

Po upadku cesarskiej armii wielu żołnierzy japońskich całymi latami ukrywało się w dżunglach na wybrzeżu Pacyfiku nie przyjmując do wiadomości, że II wojna światowa już się skończyła. Zagraniczna prasa pełna była później sensacyjnych doniesień o takich „samurajach", którzy postanowili wrócić do cywilizacji.

Kornel Morawiecki, przywódca „Solidarności Walczącej", ścigany listami gończymi za działalność opozycyjną jeszcze na krótko przed obradami „Okrągłego stołu", do dziś pozostaje w podziemiu. Dziennikarka „Tygodnika Gdańskiego", która postanowiła zrobić z nim wywiad, miała okazję przeżyć ostatnio kolejną konspiracyjną przygodę — była tam i potajemna wiadomość z instrukcją, gdzie się udać, musiała podać hasło, potem pojawiła się łączniczka zabierając wysłanniczkę „TG" w inny punkt Wrocławia, gdzie musiała czekać w „ukryciu" jeszcze dwa dni. Dopiero wtedy Kornel Morawiecki znalazł czas na wywiad zapowiadając, że „jeśli nie zdarzy się nic nagłego, nie będzie masowych protestów, zamierzam wyjść na wolne wybory".

Proponujemy, aby już dzisiaj, nie czekając na tę chwilę, przyznać p. Morawieckiemu zaszczytny tytuł „samuraja roku 1990" połączony ewentualnie z dwutygodniowymi wczasami w jakimś luksusowym kurorcie Japonii.

J. D.

TOWARZYSZE WIEDZĄ LEPIEJ

Sowiecka prasa „pieriestrojkowa" miała od początku trudną drogę na polski rynek. Ktoś w centrali RSW zadbał, aby do kiosków w Warszawie czy Łodzi trafiła załgana „Prawda", czytelnik daremnie jednak poszukiwał demaskatorskich „Argumentów i Faktów", „Ogonioka" czy „Moskowskich Newosti" zasłużonych w ujawnianiu zbrodni katyńskiej. W 1990 r. „Prawda" stała się niedostępna, w dalszym jednak ciągu niedostępna jest prasa „pieriestrojkowa". Anonimowy towarzysz z „centrali" tłumaczył niedawno w jakimś wywiadzie, że zmalało zainteresowanie rosyjskimi czasopismami, dlatego ich nie zamówiono. Towarzysze znowu wiedzą lepiej od nas, czego potrzebujemy.

KOF.

A TERAZ BY SIĘ PRZYDAŁO

W 1989 roku „Westa" zaproponowała ubezpieczenia... na wypadek likwidacji przedsiębiorstwa. Dyrektorzy bronili się przed ogłoszeniem takiej ewentualności tylko w formie propozycji ubezpieczenia. Takie ubezpieczenie dawało zwolnionym możliwość otrzymywania przez 18 miesięcy 100 procent pensji. Dziś by się wielu zwolnionym przydało.

Ale swoją drogą dobrze stało się, że ubezpieczenia te nie przyjęły się, bo jak tak dalej pójdzie, to „Westa" mogłaby... zbankrutować utrzymując bezrobotnych.

D.D.

MĘŻCZYŹNI DO LIGI

Mają swoją ligę kobiety, dlaczego nie mogliby mieć mężczyźni? Tak sobie pomyślał mgr inż. Adam Wierzejewskich i założył w Katowicach LIGĘ MĘŻCZYZN — Stowarzyszenie Społeczne. Zostało ono zarejestrowane 11 sierpnia 1989 roku przez Sąd Wojewódzki w Katowicach. Ma już swój zarząd główny i prezesa. Prezesem jest oczywiście założyciel tego stowarzyszenia — mgr inż. Adam Wierzejewski.

Gdyby ktoś chciał nawiązać kontakt z Ligą Mężczyzn, podajemy jej adres: **Liga Mężczyzn, Zarząd Główny, 40-001 Katowice — 1, skrytka pocztowa 1228.**

WITOLD B.

Agencja usługowo-produkcyjna

„TOMI"

zaprasza do nowo otwartego warsztatu mechaniki pojazdowej w Łodzi, ul. Nowotki 351

Wysoka jakość usług
Konkurencyjne ceny
Krótkie terminy

POLECAMY RÓWNIEŻ

– reklamę foniczną i wizualną w SDH „Central"
– montaż anten satelitarnych wszystkich typów
– zajęcia taneczno-muzyczne dla dzieci w wieku 6—10 lat

Informacje: „Tomi" Łódź ul. Wspólna 6. Tel. 34-38-03

OGŁOSZENIA DROBNE

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ 32-59-65. 13431-g

ZABEZPIECZENIE mieszkań, sklepów kratami, 32-28-46. 23141-g

KRZYSZTOF Wasilewski, Rodzeństwa Fibaków 1 zgubił legitymację studencką, indeks UŁ. 22764-g

ADAM Broncel zgubił legitymację studencką 16673/L AM. 23146-g

UNIEWAŻNIAM pieczątkę: PSS „Społem" O/Widzew, Łódź, A. Czerwonej 54, sklep 2030, ajent Paweł Płatek 23417-g

JĘDRZEJEWSKA Joanna — legitymacja studencka 17152/L AM. 14764-g

BEATA Noremberg — legit. studencką 17249/L AM. 14615-g

KATARZYNA Ratuszniak — leg. studencka 5975/F AM. 14154-g

DZIECI TO WIDZĄ INACZEJ!

Czteroletnia Asia mówi rano do mamy:

— Przyjdź do mnie, bo mam do omówienia ważne sprawy.
— Słucham — mówi mama.
— Z czego zrobione jest słońce?
— To jest rozpalona planeta — wyjaśnia mama.
— Aha — mówi Asia. — A z czego zrobiona jest ziemia?
— To jest taki minerał tylko drobno pokruszony.
— To niemożliwe, skąd by go tyle wzięli. A teraz ty mnie pytaj.
— Z czego jest zrobiona Asia? — pyta mama.
— No, jak to z czego? Z ciebie. Przecież mnie urodziłaś.
— A z czego jest zrobiony tata? (Tu potrzebne jest małe wyjaśnienie: tata jest potężnej budowy, jego mama jest małą, zasuszoną staruszką).

Asia się głęboko zamyśliła.

— Z Babci Ireny. Ale ja sobie tego w żaden sposób nie mogę wyobrazić.

ZENEK P.

RELACJE — REWELACJE

Ceny krajowych biletów PKP (pośp. — 2 kl. — bez miejscówek):

Łódź — Warszawa — 5.910 zł
Łódź — Kraków — 11.570 zł
Łódź — Gdańsk — 13.820 zł
Łódź — Katowice — 9.110 zł
Łódź — Rzeszów — 16.070 zł
Łódź — Poznań — 9.840 zł
Łódź — Wrocław — 9.840 zł
Łódź — Szczecin — 16.070 zł

Ceny biletów PKS (pośp.)

Łódź — Płock — 5.200 zł
Łódź — Zakopane — 17.200 zł
Łódź — Włocławek — 5.100 zł
Łódź — Bydgoszcz — 10.000 zł

Ceny orientacyjne biletów międzynarodowych PKP (bez miejsc rezerwowanych) z Warszawy:

Berlin — 28 tys. zł
Budapeszt — 41 tys. zł
Frankfurt n. M. — 500 tys. zł
Hoek van Holland — 820 tys. zł
Kijów — 36 tys. zł
Praga — 36 tys. zł
Warna — 79 tys. zł
Wiedeń — 270 tys. zł

Ceny biletów PLL LOT (w złotówkach):

Budapeszt — 278 500
Chicago — 8 415 300
Londyn — 2 936 100
Mediolan — 2 867 600
Moskwa — 391 400
Paryż — 2 972 600

KASIA P.

FAKTY

Z wnioskiem o przyznanie budynku po Komitecie Dzielnicowym PZPR na Bałutach służbie zdrowia wystąpili bałuccy radni. Budynek, w którym niedawno jeszcze był klub prowadzony przez zakład gospodarczy tegoż komitetu, o „wdzięcznej" nazwie „Koba" — jeden z pseudonimów Józefa Wissarionowicza Stalina, pomieściłby przychodnię kardiologiczną i dermatologiczną.

Przeciwko deprecjacji Towarzystwa Powściągliwość i Praca, jaka rzekomo miała miejsce na łamach „Dziennika Łódzkiego" w tekście prezentującym Polską Partię Zielonych zaprotestował Bogusław Porwisiak — lider PiP. Owa próba deprecjacji, ma wyrażać się nieuwzględnieniem literek PiP przy wzmiance o procesach przeciwko trucicielom i dewastatorom przyrody. Ma to być — zdaniem Bogusława Porwisiaka — wynikiem niechęci jaką żywi sekretarz Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego, Elżbietą Hibner do pana Porwisiaka. Na to odpowiedziała Elżbieta Hibner: — Awersja, jaką rzekomo darzę pana osobę i o czym to ma wiedzieć całe miasto jest wyrazem niepohamowanego braku skromności. Deklaruję publicznie, że awersji do pana nie czułam, a tym bardziej nie głosiłam.

Komitet Obywatelski na Bałutach podjął uchwałę o natychmiastowym usunięciu pomnika Juliana Marchlewskiego ze Starego Rynku. Dyskutowano o tym podczas obrad DRN Łódź-Bałuty. Byli tam mówcy, którzy faceta z wyciągniętą ręką porównali do Chrystusa. Póki co Julek stoi i pewnie będzie stał do czasu, kiedy naukowcy z Uniwersytetu Łódzkiego swoją opinią, o którą poprosili członkowie Komitetu Obywatelskiego, oświecą radnych o roli jaką podczas wojny polsko-radzieckiej odegrał Julek M.

Łódzkie Zakłady Farmaceutyczne „POLFA" nie będą już truły powietrza toulenem, bowiem zaprzestano używania tego trującego związku w procesie technologicznym — tak przynajmniej zapewnia dyrekcja.

Do unieważnienia przyznania krzyża Virtuti Militari Leonidowi Breżniewowi został zobowiązany przez delegatów I Ogólnopolskiego Walnego Zjazdu Żołnierzy Armii Krajowej zarząd Związku Żołnierzy AK.

Milicjanci z Bałut poprosili Komitet Obywatelski „Solidarność" — też z Bałut, o pomoc przy kontrolowaniu legalności źródła sprzedawanych towarów na rynkach, targowiskach i placach.

JDT

Rozmyślania pani woźnej.

Cmy

1.

Pod koniec 1989 roku, w grudniu, PAP doniosła wszem i wobec, że książę Stanisław Lubomirski odzyskał decyzją naczelnika Gminy własność rodu, pałac w Kruszynie, i że w pałacu zamierza (książę, rzecz jasna) urządzić luksusowy hotel.

Owo niebywałe wydarzenie odbiło się echem w wielkim świecie, i w tym naszym, polsko-swojskim, i tamtym, do którego tak bardzo tęsknimy: sam „Paris Match" poświęcił aż całą kolumnę na omówienie cudu spod Częstochowy, dodając komentarz, iż książę bynajmniej nie czuje się odzyskiem usatysfakcjonowany, oczekuje bowiem od władz zwrotu swojej kolekcji cennych siedemnasto- i osiemnastowiecznych obrazów.

2.

Pod koniec 1989 roku PAP nie ogłosił wszem i wobec, że zasoby ludności tego kraju zmierzającego milowymi krokami (w cenach, podatkach, oprocentowaniach kredytów, pożyczek itd.) do błogosławionego kapitalizmu zmalały w ciągu jednego roku aż trzykrotnie, i jeśli w styczniu 1989 roku ludność dysponowała jeszcze sześcioma bilionami złotych oszczędności, to w grudniu zaledwie niespełna dwoma; zaś staruszce, którą spotykałam u pobliskiego mi „rzeźnika", a która oferowała do sprzedaży owinięte w białą serwetkę szydełkową trzy lekko zaśniedziałe, chyba platerowe łyżeczki oraz dwa takież same widelczyki, „Paris Match" nie poświęcił ani jednej linijki tekstu, bo i komu? Staruszka z pewnością nie wywodzi się z rodu Lubomirskich, nie posiada do odzyskania pałacu, ani tym bardziej nie wnosi roszczeń do rządu o cenną kolekcję, nawet nie wnosi roszczeń o wysokość swojej emerytury, wypracowanej w ciągu czterdziestu lat pracy przy krosnach.

— *Pani, nie płacz się no tu ze swoimi srybrami, idź na zupkę do Kuronia!* — rozsierdził się zażywny obywatel, robiący za jednym zamachem wielkie zakupy: dwa kg. szynki, dwa kg baleronu, trzy kg schabu.

— *Nie jestem żebraczką* — odezwała się cicho staruszka, postała, postała, popatrzyła po watłej kolejce i dodała jakby ni w pięć ni w dziewięć: — *byłam przadką.* Po czym zawinęła swoje rodowe dobra w szydełkową serwetkę, wyszła.

3.

W miesiąc później nasze obywatelskie kieszenie opróżniały się z dnia na dzień w tempie, przypominającym wyścig formuły jeden, a zarobki w podobnym tempie malały: w styczniu 1990 roku o 40 proc. Staruszki od stycznia już nie spotkałam u rzeźnika, może szczęśliwie umarła (Dla siebie szczęśliwie, nie dla rodziny: śmierć dzisiaj jest też luksusem, trumna kosztuje ponad milion). W środku roku szkolnego rodzice zabierają dzieci z internatów, nie stać ich na opłacenie „łóżka" ani wyżywienia. W mojej szkole drastycznie zmalała ilość wydawanych obiadów, z tych powodów co wyżej. A w tegorocznym budżecie naszego państwa przeznacza się humanitarnie na ochronę zdrowia aż sześćdziesiąt dolców na łeb!, trzy razy mniej niż w najbiedniejszych krajach Europy Zachodniej, Grecji i Turcji (tamże po 180 dolców „tylko"). Po kraju krąży widmo nie komunizmu, lecz bezrobocia, zwolnień grupowych, zbiorowych czy jak im tam, tysiące ludzi wędruje na przymusowe urlopy, bo zakłady pracy nie mają dla nich pracy: ale co tam!

— *Ensamble jak z feerii, z bajki; ach, ta chata rozśpiewana, jakby w niej słowiki dźwięczą, i te stroje ukąpane tęczą* — powiedziała po raz pierwszy dziwięćdziesiąt lat temu Rachel do Pana Młodego, w „Weselu". Na pierwszym zjeździe polskiego odrodzonego ziemiaństwa, jaki odbył się w warszawskim Domu Literatury, według relacji Anny Matałowskiej *„stroje"* może i nie były *„ukąpane tęczą"*, na sali *„dwa kapelusze, w szatni jedno futro — sztuczne"*, ale czy stroje są ważne? Ważny nastrój nadziei na odzysk, na rewindykacje, i ten nastrój ważny, atmosfera, i to poczucie narodowego znaczenia, bo jaka by ta nasza chata była bez swoich korzeni, bez rodów, bez mirt i tytułów? Więc tak, proszę szanownego państwa, data to historyczna, luty Anno Domini 1990!, powstało, odrodziło się Towarzystwo Ziemiaństwa; chociaż taki np. sam ordynat Zamoyski (nie mylić z Michorowskim!) Zjazdu nie zaszczycił. Za to najmłodszy Lubomirski, Herakliusz, rocznik 1973 bulwersujący co poniektóre księżne swoim niedbałym strojem (włosy w warkoczyk, za luźny sweter, tramki), przedstawił alternatywę w stosunku do planu Leszka Balcerowicza koncepcje: — *Rola ziemiaństwa jest uzdrowienie gospodarki polskiej* — powiedział, przemawiając.

4.

Ród Lubomirskich to wielki ród. Niżej marszałków koronnych w zasadzie nie schodził. W „Potopie" też pojawia się hetman polski koronny, marszałek Lubomirski. To o nim Sienkiewicz mówi ustami Zagłoby następującą kwestię: *„Pokaż, któremu koronę i róg aronostajowego płaszcza, to możesz go pod włos głaskać jak charcie szczenie, jeszcze ci się ugnie i sam krzyża nastawi. Żaden kot nie będzie tak się oblizywał, choćbyś mu prospectus z samych sperek pokazał"* No i w niewiele lat potem, Jan Sebastian Lubomirski wywołał słynny rokosz 1665, pobił Jana Kazimierza pod Metwami i Częstochową, udaremnił reformę państwa.

5.

Jak donosi prasa, w Białymstoku powstał już pierwszy w kraju terenowy Oddział Związku Ziemiaństwa. Odbył się oczywiście Zjazd Inauguracyjny *„Ach ta chata rozśpiewana"* — powiedziała Rachel w pierwszym akcie „Wesela". A Pan Młody odpowiedział jej tak: *„Ma pani słuszność, ćmu brzęczą najwięcej wokoło świec; gdzie błyska, muszą się zbiec".*

EWA OSTROWSKA

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

SMUTNY LOS KOMBATANTA

Jako chłopiec uczęszczałem do Szkoły Powszechnej przy Gimnazjum im. ks. Ignacego Skorupki przy ul Żeromskiego nr 10 w Łodzi Tam też byłem członkiem drużyny harcerzy. Pewnego dnia (a było to przed obchodami 75 rocznicy powstania 1863 r.) jedna z nauczycielek Stanisława Wojtczak (zmarła na początku lat osiemdziesiątych) zwróciła się do harcerzy, aby poszukali ludzi biorących udział w powstaniu.

Wódz gromady (drużynowy) zuchowej Zygmunt Schöbel (syn fabrykanta) przy pomocy podległych mu chłopców zaczął szukać odpowiedniej osoby. I znalazł ją. W tym czasie żyło jeszcze stu paru uczestników powstania styczniowego. Po odzyskaniu niepodległości państwo w miarę swych możliwości obdarzało ich odpowiednią opieką, nadało im stopnie oficerskie, ordery i specjalnie odróżniające się krojem i kolorem mundury. Otrzymali także rentę oficerską, na tyle wysoką, że nie trzeba było zakładać dla tych staruszków specjalnych domów opieki.

Zygmunt Schöbel, zwany przez przyjaciół „Zygmą", postarał się o przywiezienie pozyskanego człowieka na szkolne spotkanie. Człowiek ten mając niespełna siedemnaście lat był członkiem „partii" (oddziału powstańczego) doktora Dworczaka i brał udział w bitwie z Moskalami pod Dobrą k. Łodzi.

Zaproszony powstaniec ze wzruszeniem opowiadał o różnych (nawet drobnych) łazach toczącej się wówczas bitwy. Mówił w jaki sposób został ranny i wzięty do niewoli, a po wyleczeniu skazany na ciężkie roboty w kopalniach Sybiru. Owo spotkanie młodzieży z powstańcem 1863 r. utkwiło mi szczególnie w pamięci.

Po wojnie 1939—1945 grono kombatantów wiedząc, że nastąpi nieunikniona starość, wystąpiło z propozycją budowy „domu kombatanta" gdzie spędziliby ostatnie lata swojego życia. Takich domów udało się zbudować kilkanaście. Niestety, wkrótce „przewodnia siła narodu" położyła rękę na owym słusznym w założeniu celu, uznając w nim doskonałą okazję do wykorzystania tych obiektów jako pretekstu do „ulgowego" lokowania swoich starych rodziców w „bezpiecznym miejscu" i za społeczne pieniądze.

Na jednym z zebrań ZBoWiD dowiedziałem się, że wybudowany ze składek kombatanckich dom „spokojnej starości" jest w 60 proc. „okupowany" przez ludzi, którzy z ruchem „Polski Walczącej" nie mieli nic wspólnego. Większość z nich nie legitymowała się własnym udziałem w walce z okupantem, lecz funkcjami we władzach partyjnych i administracyjnych swoich dzieci i wnuków. W tych warunkach często zdarzało się, że sterany życiem i powojennymi „przygodami" oficer Armii Krajowej musiał dzielić pokój z wojennym kombatantem, porzuconym przez własne dzieci.

Przeszedłszy przed kilku laty na emeryturę zainteresowałem się losami harcerzy — kombatantów, kombatantów — nauczycieli itp. Analizując ich historie doszedłem do niezbyt miłych refleksji które niestety miały usprawiedliwienie w postępujących po sobie zrywach niepodległościowych. Tak więc działalność powstańców 1863 r. przyćmiona została epopeją legionową, a ta z kolei „zdyskwalifikowana" działalnością kombatancką żołnierzy II wojny światowej. Niedługo zaś prawa kombatanckie będą mogli otrzymać ci, którzy walczyli (wprawdzie bez broni) w latach 1945—1989 o wolną, niepodległą i suwerenną Polskę. Pozostaje pytanie: — Czy pozostałym przy życiu żołnierzom „Polski Walczącej" przypadnie tylko oglądanie się na „bieda-zupki" Jacka Kuronia?

MIECZYSŁAW KOZAK

QUO VADIS LIDERZY UPR?

Motto:

„Człowiek, który może dochodzić swych praw
na drodze głosowania,
rzadko odwołuje się do muszkietu".

James Fenimore Cooper

Dygresja 1.

Właściwie wystarczyłoby kilka słów tego motta za wszystkie argumenty przeciw opcji na rzecz odebrania prawa wyborczego kobietom. Trzeba jednak dużej wyobraźni, aby położyć pod nie całą nieprzebraną treść, która się w nim kryje. Obawiam się, czy niektórzy liderzy Unii Polityki Realnej doszedłszy do władzy i zabrawszy kobietom prawo wyborcze (kwestia tylko które, bo jedni chcą zabrać czynne, drudzy obierne, autentyczne!) — zdają sobie sprawę, że będą mieli gorszą rebelię na karku niż Anglicy mieli swego czasu ze strony sufrażystek. Oczywiście nie licząc groźby wykluczenia, ze strony międzynarodowej społeczności za złamanie Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka. Oprzyjmy się więc na razie na cytacie z artykułu p. Konrada Frejdlicha („Niższość kobiet", Odgłosy 10/90):

„Antyfeminizm, podobnie jak antysemityzm, jest filozofią i postawą życiową nieudaczników obawiających się rywalizacji, której nie są zdolni sprostać. Najlepiej więc postawić zapory i bariery posyłając kobiety do kuchni i alkowy, a jeszcze bezpieczniej odebrać im prawa polityczne".

Jest oczywiste, że takie postawy nie mają nic wspólnego z liberalizmem i jeżeli ich reprezentanci mienią się liberałami to fałszują naturalną treść tego słowa, podobnie jak partie marksistowskie fałszowały pojęcie „demokracji". Fałszowanie pojęć i podszywanie się pod cudze treści zawsze się kończy źle.

Dygresja 2.

Czym jest liberalizm sensu stricto i kim jest liberał? Oczywiście, można odpowiedzieć na to pytanie tylko hasłowo, w sposób lakoniczny, gdyż jest to temat co najmniej na wielostronicowy artykuł. Ludwig von Mises w książce o liberalizmie pisze:

„Historycznie, liberalizm był pierwszym politycznie ruchem, którego celem było ułatwienie zdobycia pomyślności wszystkim, nie tylko specjalnym grupom Liberalizm różni się od socjalizmu, który głosi podobnie, że stara się o dobro wszystkich — nie celem do którego dąży, ale środkami — którymi wybiera dla osiągnięcia tego celu".

F. A. von Hayek, który pracami swymi nadawał ogromny dynamizm doktrynie liberalnej, podbudował ją bardzo mocno faktami naukowymi (głównie z dziedziny etologii i antropologii kultury) i stworzył bardzo płodną i spójną naukę opartą o ewolucjonizm krytyczny. Główne środki liberalizmu Hayek przedstawia w postaci trójwartości: prawo, wolność, własność. Dowiódł przy tym, że niektóre środki socjalistów (np. kolektywizm) są z natury rzeczy iluzoryczne. Nie wdając się w dyskusję takich środków (wartości) jak własność prywatna czy prawo, zatrzymam się na pojęciu wolności. Wolność indywidualna (osobista) jest niezbędna do kreowania aktywności ludzkiej (np. wolnego rynku). Wolności polityczne są niezbędne do obrony i utrzymania wolności indywidualnej. Wartości te są komplementarne i nierozdzielne. Zniszczenie jednej powoduje utratę (prędzej lub później) wartości drugiej. Rzecz w tym, że każdy mądry tyran będzie się starał ograniczyć wolność polityczną grup słabszych, a potem silniejszych.

Charakterystyczne, że jedynym dotąd systemem pozwalającym zrealizować cele liberalizmu i zastosować jego środki jest demokracja. To właśnie tyrani występowali przeciw demokracji (faszyzm, hitleryzm, stalinizm) natomiast socjaliści posługiwali się i posługują systemem demokracji dla realizowania swoich mitów i iluzji. Marksiści przyznają się już do błędu, co nie jest żadną hańbą ani ujmą. Errare humanum est. Hańbą zaś jest tkwić krnąbrnie w błędzie. Prawda jest gorzka, ale socjaliści mogą jeszcze zawrócić z drogi do niewolnictwa i to zdaje się czynią (PPS). Tyrani nie zawrócą nigdy, bo oni nienawidzą wolnego człowieka. I tu pytanie, czy i kogo nienawidzą antysemici i antyfeminiści? Pytanie oczywiście retoryczne, bo na takie pytania odpowiedź daje dopiero historia.

W świetle powyższego liberałem jest ten, kto uważa, że światem (społeczeństwem) rządzą prawa, nad którymi nie panujemy i że wolność indywidualna i polityczna są wartościami naczelnymi w hierarchii wartości wolnego człowieka. Warto zwrócić uwagę na to, że wcale liberałem nie jest ktoś, kto widzi w człowieku tylko homo economicus, dla którego wolności polityczne nie są potrzebne. Wiele czasu potrzeba, aby zbić niebezpieczne teorie wygłaszane przez pseudoliberałów, gdy de gustibus non disputantum. Ktoś lubi czarne, ktoś lubi białe. Ktoś wybiera jako punkt wyjścia lub widzenia tzw. błąd nauki (konstruktywizm lub racjonalizm naiwny). Ktoś inny paradygmat hayekowskiego ewolucjonizmu krytycznego. Mówimy wtedy różnymi językami i o różnych rzeczach. Inna sprawą jest, gdy ktoś atakuje i chce pozbawić jednostkę podstawowej wolności politycznej — prawa wyborczego.

Ad rem.

Nie wiem, czy pan Edward Kutela, prezes Tymczasowego Oddziału UPR Ziemi Łódzkiej jest wdzięczny panu Konradowi Frejdlichowi („Niższość kobiet", Odgłosy nr 10/90) za wykład z dziejów ruchu emancypacyjnego kobiet, lecz niżej podpisany jest mu bardzo wdzięczny. Pan Konrad Frejdlich swoim artykułem dodał mi sił i sprawił, że przestałem się czuć osamotniony w walce z pseudoliberalnymi wynaturzeniami w partii mieniącej się liberalną.

Wstąpiłem do UPR gdyż liczyłem, że wejdę w środowisko liberalne, o czym świadczył jej program. Podkreślam, w programie nie było najmniejszej wzmianki o próbie odebrania kobietom prawa wyborczego. Pod tym więc względem, punkt widzenia programu i punkt widzenia UPR w wersji pana prezesa Janusza Korwina-Mikke (Odgłosy nr 12, „Wyższość kobiet") są rozbieżne. To jest rozbieżność bardzo poważna! Rozpatrywać ją zacząłem w moim artykule „Ludzie i kaprale", publikacja którego mam nadzieję nastąpi.

Nie wiem, kto w UPR jest liberałem, ale wiem za to, kto na nazwę liberała nie zasługuje. Np. taka drobna rzecz a wstyd! W swoim artykule („Wyższość kobiet") p. JKM pisze o zażartej bojowniczce o prawa kobiet do czynnego głosowania. Pomijając nonszalancki styl zdumiewa mnie, że takie istnieją. Chyba w wyobraźni p. JKM. Po prostu nie ma ich, bo nie potrzeba. Ale będą na pewno, gdy p. JKM dojdzie do władzy. Chodzi więc o polemikę z pewną panią. Zgoda. Spytał: *„czy popiera demokrację. Popierała... czy jeśli zrobię(!) referendum wśród kobiet — i większość wypowie się za tym, by kobiety nie miały prawa głosu w wyborach — to podporządkuje się ona tej decyzji. Odpowiedź była stanowcza — „NIE"! No — i macie!".* Co proszę? Mamy? Ależ oczywiście! Mamy kompromitację prezesa UPR! Ta nonszalancko traktowana Pani (pokłon jej) wykazała znajomość Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka ratyfikowanych przez PRL (w szczególności art. 5, art. 25 i inne MPROiP). W świetle tych paktów (a wiemy ze pakty międzynarodowe mają rangę nadrzędną) przedmiotowa polityka JKM jest bezprawna i żadne referendum w tej sprawie, nie ma mocy prawnej. JKM przeprowadzi referendum. Pani pójdzie głosować, i JKM pod rygorem odpowiedzialności karnej nie ma prawa jej powstrzymać. To właśnie jest demokracja i liberalizm.

Przeholowaliśmy nieco! Unii to na pewno nie wyjdzie na dobre. Liberałowie należą do bardzo pokojowych ludzi świata, wszyscy niemal jego „zbawcy", od faszystów po stalinistów nienawidzili i tępili liberałów. Dlaczego? Za co? Bo liberałowie bronili najbardziej nieustępliwie praw do obrony, czyli praw wyborczych. Czy może być liberałem ktoś, kto chce takie prawo zabrać? I komu, na litość Boga, szkodzi, że pani XYZ pójdzie lub nie pójdzie, o ile nie będzie chciała, głosować? Jakim ludziom to szkodzi, że skorzysta ze swego rodzaju tarczy obronnej przed ewentualną agresją tyrana na los jej i los jej dzieci? Skorzysta z formy opcji dobrowolnej za człowiekiem, który, według jej uznania, jest najlepszym wyrazicielem ustroju, który, w jej mniemaniu, zapewni największe szczęście jej dzieciom. Biologicznie wziąwszy kobieta jest o wiele bardziej odpowiedzialna za swoje dzieci niż mężczyzna. To dlatego przecież, w imię pokoju dzieci i najbliższych pozwala sobą pomiatać. Aż żałość bierze, że takie trywialności trzeba tłumaczyć pewnym osobom z UPR.

Do dyspozycji literatów i humanistów „Odgłosów" były działacz w obronie praw robotników, dziś w obronie praw kobiet.

TADEUSZ NIEPOKOJCZYCKI

P.S. Votum separatum.

Niżej podpisany przystąpił do Unii Polityki Realnej oddział łódzki w celu reprezentowania tzw. rozwiązania liberalnego (którego ideowym twórcą jest F. A. von Hayek) jako programu alternatywnego wobec socjalizmu, ogólnych tendencji etatystycznych i państwa opiekuńczego, zagrożeń totalitarnych lewicowych i prawicowych oraz panujących współcześnie modeli społeczno-politycznych na błędzie kartezjańskiego konstruktywizmu.

P. Edward Kutela prezes zarządu łódzkiego UPR, w artykule pt. „Nowi Stańczycy" przedstawił określony pogląd dotyczący roli kobiety i prawa wyborczego kobiet, z którym się nie zgadzam. Wobec tego, że wypowiedź tego rodzaju ma charakter programowy, a wstępując do UPR podpisałem się pod programem, w którym na powyższy temat nie było nawet wzmianki, zgłaszam votum separatum. Przeznaczanie „a priori" określonej roli dla kobiety w społeczeństwie i próby ograniczenia wolności politycznej tej warstwie społecznej są zaprzeczeniem kategorycznej afirmacji wolności, która tkwi u podstaw neoliberalizmu Hayekowskiego — pomijając, że realizacja takiego programu nie mieści się w sferze realiów wolnego świata.

TADEUSZ NIEPOKOJCZYCKI

„PUKANIE W STOLIK"

Konrad Frejdlich opublikował był w 13 numerze „Odgłosów" sprawozdanie ze zjazdu Związku Literatów Polskich, w którym m.in. cytuje fragment „znamiennego dokumentu" Sygnatariusze tegoż, schizmatycy w łonie ZLP (w tym i Konrad Frejdlich, chyba się nie mylę?) piszą: *„Potępiamy również odrażające manipulowanie faktami i informacjami, a szczególnie ich przeinaczanie i zatajanie".* A czymże jest Frejdlichowe sprawozdanie? Jaki rysuje obraz zwłaszcza Czytelnikowi, który nie orientuje się w sporach między ZLP i SPP (ZLEPEM i ZSYPEM — takimi nazwami literaci się nawzajem obdarzają), ani w ostrych kontrowersjach wewnątrz Związku Literatów Polskich?

Konrad Frejdlich manipuluje informacjami: ze sprawozdania ma wynikać, że ZLP to *„grupka prominentnych przedstawicieli życia literackiego"*; że prezesem ZLP Wojciecha Żukrowskiego w marcu 1989 roku uczynił Mieczysław Rakowski, że Lichniak ma na imię Jerzy; że pod deklaracją „Związku Zawodowego Literatów" (powoływał ją w kuluarach zjazdu Roman Śliwonik) *„rosła liczba podpisów"* itd. itd.

Fakty przecież są inne. ZLP liczy ponad ośmiuset członków (w tym ponad stu kandydatów). Na zjeździe w roku 1989 W. Żukrowski, spośród kilkudziesięciu kandydatów do Zarządu Głównego, otrzymał największą liczbę głosów (ponad sto, czyli więcej niż dwie trzecie). Pod deklaracją założycielską Romana Śliwonika podpisało się niespełna 20 osób, co sam widziałem (w zjeździe ZLP wzięło udział ponad stu delegatów). Lichniak ma na imię Zygmunt. A nowym prezesem ZLP został nie Roman Śliwonik, co tekst Konrada Frejdlicha może sugerować, ale Piotr Kuncewicz (tej informacji w sprawozdaniu Czytelnik nie znajdzie!) itd. itd.

Nie będę już wspominał o innych przeinaczeniach, ani o emocjach w tekście Konrada Frejdlicha wyrażanych w rozmaitych cudzysłowach (*„odrodzony ZLP"*), przydatkach i stylistycznych wywijasach (*„Neo-ZLP"*, *„zasłużeni weterani"*, *„bezbolesna manipulacja"*, *„przepoczwarzanie się III Zjazdu w Zjazd XXIV"* itp.). Każdy ma prawo do własnych interpretacji i może widzieć to, co koniecznie chciał zobaczyć.

Nie napisałbym tego wszystkiego (nie lubię się pieniaczyć i demonstrować!) gdyby Konrad Frejdlich w swoim tekście poinformował Czytelników, że jest wciąż członkiem ZLP; że zapisywał się doń tuż po jego ponownym powołaniu (czy na apel *„nie-selekcjonowanych przez partię członków-założycieli"*?); że był delegatem na III Zjazd i klaskał, gdy przemianowywano go na Zjazd XXIV (jako delegat na ów zjazd siedziałem na obradach naprzeciwko Konrada Frejdlicha); że na tym zjeździe nad podziw aktywnie pracował w Komisji opracowującej nowy statut; że był czołowym graczem przedwyborczych układów (wybierano wtedy Zarząd z Wojciechem Żukrowskim na czele); że jest wciąż wiceprezesem Oddziału Łódzkiego ZLP, że również był delegatem na zjazd, o którym pisze; że kandydował do Zarządu Głównego i nie został wybrany (podobnie jak i Jerzy Jesionowski — jak „życzliwie" o nim donosi w sprawozdaniu prosze przeczytać) ponieważ spośród wszystkich kandydatów otrzymał najmniejszą liczbę głosów (mniej niż Jerzy Jesionowski). Gdybym był złośliwy mógłbym zapytać: Rakowski przeszkodził?

Gdyby to wszystko Konrad Frejdlich napisał uznałbym jego samooczyszczające się zabiegi za wiarygodne. A tak co? Konrad — pożal się Boże — Wallenrod?

GRZEGORZ GAZDA
(członek ZLP)

ZLP reaktywowano we wrześniu 1983 r. Wstąpiłem doń 2 lata później 1.X.1985 r., z nadzieją, że godne swej nazwy, stanie się organizacja wszystkich pisarzy. To nie nastąpiło m.in. dzięki działaniom niektórych weteranów, którzy i tym razem uniemożliwili jej rzeczywistą odnowę.

KONRAD FREJDLICH

KTO PUSZCZA IDEOLOGICZNY SMRODEK?

Red. **Edward Marciniak** poczuł się bardzo dotknięty moim artykułem „Telewizja szuka nowych twarzy" i w liście do „Odgłosów" przypisuje mi jakieś niecne intencje w charakteryzowaniu jego zasług podczas stanu wojennego. Tymczasem p. E. Marciniaka wymieniłem marginalnie przypominając, że z dużą częstotliwością pokazywał się w okienku telewizyjnym. Taka to praca, nie mam mu tego za złe, niepotrzebnie więc chwali się, że zawsze był bezpartyjny.

W odróżnieniu od p. Edwarda Marciniaka byłem członkiem PZPR. Przed stanem wojennym oddałem czerwoną legitymację. Może dlatego już 14.XII.1981 r. pozbawiono mnie pracy w „Odgłosach", do których mogłem wrócić dopiero 1.XII.1989 r.

Okazuje się, że p. E. Marciniak uważa się dziś za ofiarę, było mu i jest ciężko. Mnie także, choć inaczej. O red. E. Marciniaku chodzą słuchy, że osobiście wykreślił z programu nazwisko popularnej spikerki „Wiadomości" **Barbary Chrzczonowicz**, kiedy ta tragicznie zginęła. Ponieważ w stanie wojennym zrezygnowała z pracy w TV niemile się kojarzyła partyjnym dysponentom bezpartyjnego red Edwarda Marciniaka. Nie wierzę, aby red E. Marciniak posunął się do takich działań. Mimo to będę sobie poczytywał za zaszczyt, kiedy nasze dziennikarskie krzywdy, a także imiona i nazwiska będą umieszczane na osobnych listach.

KONRAD FREJDLICH

NIE TEN ROK

W moich wspomnieniach „Najpierw była syberyjska katorga" znalazł się przykry błąd. Urodziłem się nie w 1922 roku, jak to wydrukowano, ale w 1918, natomiast w 1922 roku urodził się mój brat Jerzy. Sprostowanie tego błędu jest dla mnie o tyle istotne, że podważa wiarygodność moich wspomnień. Gdybym urodził się w 1922 roku, nie mógłbym ukończył przed wojną szkoły leśnej, a pod okupacją sowiecką w 1939 i 1940 roku być leśniczym i nadleśniczym.

JAN KSIĘŻNIAK

DOKTOR S. CIMPULUNGU NIE BYŁ AGENTEM

Z tekstu mego artykułu „Jak marszałek Edward Rydz-Śmigły uciekał z Rumunii" wynika, że dr S. z Cimpulungu, który pomagał w organizowaniu ucieczki, był agentem rumuńskiej tajnej policji. Nie jest to zgodne z prawdą. Dr S. korzystał z pomocy znajomego, który okazał się być agentem rumuńskiej policji. **Fałszywy wniosek wynikający z tekstu powstał na skutek dokonanego w redakcji skrótu.**

TADEUSZ DUBICKI

SPOŁECZNA RADA PRZY ARESZCIE ŚLEDCZYM

26 marca 1990 roku prezes Sądu Wojewódzkiego pan Grzegorz Szkudlarek na podstawie § 5 Zarządzenia nr 43/81 ministra sprawiedliwości z 7.XI.1981 r w sprawie szczegółowych zasad organizacji i działalności społecznych rad penitencjarnych powołał **SPOŁECZNĄ RADĘ PENITENCJARNĄ przy Areszcie Śledczym w Łodzi.**

W skład Rady wchodzi 12 osób — lekarze, pedagodzy, prawnicy. Przewodniczącym został redaktor **EDWARD BRYL**, pierwszym zastępcą doc. dr hab. **JÓZEF KOCUR** — psychiatra, zastępcami: **MARTA BLIMEL** — prawnik, **ANDRZEJ GOŁAB** — pedagog.

KIEDY PRZYJMUJE POSEŁ?

W Zarządzie Wojewódzkim PSL-Odrodzenie w Łodzi, **ul. Więckowskiego 13,** funkcjonuje Biuro Poselskie posła **Bogdana Łukasiewicza.**

Poseł Bogdan Łukasiewicz przyjmuje w każdy pierwszy wtorek miesiąca w godzinach 10—13. Pełna informacja i przyjmowanie zgłoszeń zainteresowanych pod numerami telefonów: **32-07-06, 36-00-34.**

Poseł Bogdan Łukasiewicz przyjmuje również w tym samym dniu w **Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Widzew w godzinach 14—16.**

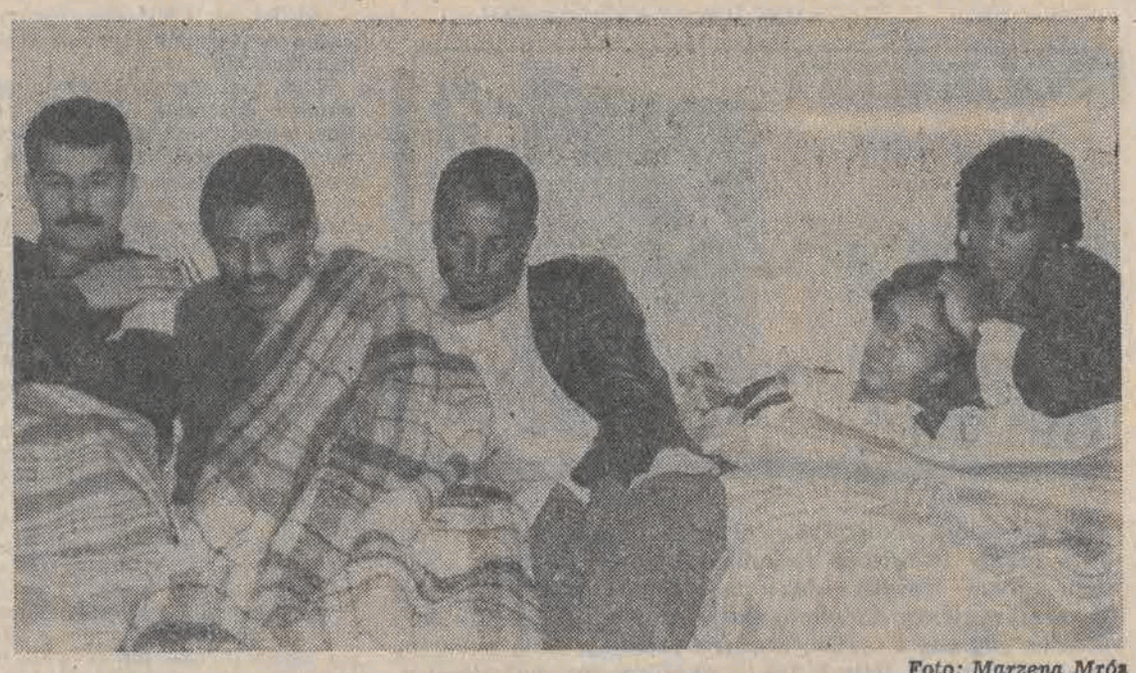

Foto: Marzena Mróz

ŚWINOUJŚCIE: — Nad morzem spacerują ciemnoskórzy cudzoziemcy i smętnie oglądają horyzont, za którym leży wymarzona Szwecja.

Nie dokończona wyprawa za morze

MARZENA MRÓZ

W Świnoujściu pojawili się w pierwszych dniach marca. Mieszkańcy miasta przyzwyczajeni do wizyt zagranicznych turystów nie przypuszczali, że będzie to prawdziwa inwazja. Z każdym bowiem dniem przybywa egzotycznych gości — uchodźców z Libanu, Palestyny, Iraku, Iranu, Erytrei, Syrii, Afganistanu. Są też Turcy i Marokańczycy. Polskę traktują jako kraj tranzytowy. Chcą jechać dalej — najchętniej promami do Szwecji. Problem w tym, że znani dotąd ze swego liberalizmu w stosowaniu przepisów imigracyjnych — nie chcą ich przyjąć.

W dwóch Domach Wypoczynkowych: „Grodek" i „Dolna Odra" w Świnoujściu mieszka około 450 uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki. Warunki życia — jak sami przyznają — mają tu bardzo dobre. W 2—3-osobowych, przytulnych pokojach znaleźli schronienie i choć na krótko — pozór poczucia bezpieczeństwa. Są to przede wszystkim młodzi ludzie w wieku 18—30 lat, kobiety z małymi dziećmi, wielodzietne rodziny.

W jaki sposób znaleźli się w Polsce?

Trafiają tu różnymi drogami, część z nich przyjechała autokarami z NRD, większość przyleciała ze swych krajów samolotami PLL „Lot". Na Wybrzeżu głośno się mówi, że dużą część winy za zaistniałą sytuację ponosi biuro turystyczne „Air-Tours" działające przy „Lot", specjalizujące się w organizowaniu wycieczek turystycznych do Polski, min. na spektakle do Teatru Wielkiego.

Na Bliskim Wschodzie i w Afryce ponoć nietrudno o polską wizę.

— *To jedyny kraj — i na szczęście położony tak blisko Szwecji, do którego można u nas otrzymać bezpłatną wizę. I to bez problemu* — twierdzą uchodźcy z Etiopii.

Ale czy tak jest rzeczywiście?

Istnieje również inna wersja. Według niej wyjazdy emigracyjne do Szwecji, tranzytem przez Polskę, opanował międzynarodowy gang. Czarnorynkowa cena polskiej wizy trzyma się ponoć jak dotąd bardzo mocno. Jej wartość wzrosła w ostatnim czasie do 1000 dolarów. MSZ zostało oficjalnie poinformowane, że kilku pracowników polskich placówek dyplomatycznych na Bliskim Wschodzie wystawiało nielegalnie wizy wjazdowe do naszego kraju — za wysokie łapówki oczywiście.

Dlaczego do Szwecji?

Simon A.A.W. dobrze mówi po polsku. Urodził się w Libanie, studiował radiologię w słoweńskiej części Jugosławii. Słoweński i polski są na szczęście tak do siebie podobne... Po ukończeniu studiów wyjechał do Egiptu, tam chciał podjąć pracę, jest przecież wykształcony. Niestety, nie otrzymał zgody na stały pobyt w Kairze, a jedynie 5-dniową wizę. Cóż miał robić? Do Libanu wrócić nie może i nie chce, tam nie ma spokoju, ciągle wojna. Usłyszał, że Szwedzi bez problemu przyjmują wykwalifikowanych uchodźców. Udało mu się w Ambasadzie Polskiej w Kairze uzyskać wizę — ponoć bezpłatną i... po prostu przyleciał do Warszawy. Nie, szwedzkiej wizy oczywiście nie ma. Sądził, że będzie mógł ją kupić w Polsce. I dużo się nie pomylił, bo już kilkakrotnie oferowano mu tu w Świnoujściu ten wymarzony glejt. Tyle, że fałszywy...

Dirar Masri z Libanu: — „*Czy to źle, że chcemy żyć w spokoju, w wolnym, demokratycznym państwie? W mojej ojczyźnie od 1975 roku trwa wojna. Czy możesz to sobie wyobrazić? Nie, sądzę, że w Polsce większość z nas nie chciałaby pozostać. Dlaczego? Myślę, że macie przed sobą jeszcze wiele problemów do przezwyciężenia. Tu nie wyczuwa się jeszcze stabilizacji. Poza tym wasz kraj nie jest bezpieczny, sąsiadujecie przecież z Niemcami..*

Ali — Palestyńczyk. Doskonale zna język niemiecki, pięć lat studiował medycynę w NRD. Po ukończeniu studiów przykładnie wrócił do domu. Przez rok był lekarzem w palestyńskim obozie SCHATILA.

— *Nie mogłem tego znieść* — mówi. — *Po bajecznej wolności, spokoju jaki widziałem w NRD — życie w obozie zdawało się być piekłem. Udało mi się przedostać do Libii, ale tam również bardzo ciężko się żyje. Pracowałem pół roku — pewnego dnia za całe moje oszczędności kupiłem bilet lotniczy do Polski. Do Świnoujścia przyjechałem 10 marca. Ciągle mam jeszcze nadzieję, że uda mi się wyjechać do Szwecji. Jestem tu sam. Moja 12-osobowa rodzina mieszka w Libanie. Tęsknię, ale nie wrócę do nich. Chodź wiem, że czekają tam na mnie.*

Rakija Ajup Hammad z Palestyny przyjechała do Świnoujścia z mężem, siostrą i małym synkiem Hammadem Mohamedem.

— Jesteśmy zaskoczeni, że Szwedzi nie chcą nas przyjąć. Słyszeliśmy, że to taki gościnny, bogaty kraj.

Przerażająco czarny Uru z Somalii był kapitanem w armii somalijskiej. Jak twierdzi, zna wiele tajemnic wojskowych. Nie bardzo chce opowiadać o sobie, ale w końcu przekonuje się do tego stopnia, że konspiracyjnym szeptem wyjawia szczegóły afery — zakupu radzieckich samolotów bojowych MIG. Jak widać nie jest zbyt twardy. Miał do wyboru: albo zginąć w Somalii, albo wyjechać. Cudem udało mu się przedostać do Polski. Najbardziej chciałby do liberalnej, wolnej Szwecji, ale przyznaje, że właściwie każdy kraj jest dla niego dobry — byle nie Somalia.

Świnoujście

Prezydent Świnoujścia Elżbieta Piela-Mielczarek stanęła przed nie lada problemem. Kilka decyzji już podjęła. To ona zadecydowała o ulokowaniu uchodźców w dwóch domach wczasowych. Na początku rozrzuceni byli po całym niemal mieście. Ich główne locum stanowił hotel „Albatros" oraz kwatery prywatne. Lecz gdy skończyły się „zielone" skończyła się również dobra wola kierownictwa hotelu i właścicieli kwater. Teraz są już wszyscy razem.

— *Pierwsza grupa 96 osób zamieszkała u nas 22 marca* — mówi kierownik ośrodka „Dolna Odra" Zbigniew Lewandowski. — *Dziś jest ich 245, w tym 88 dzieci. To, że mieszkają w naszym DW jest decyzją pani prezydent. W związku z tym — kosztami jakie w tej chwili ponoszę obciążam Urząd Miejski w Świnoujściu. Właśnie przedstawiłem rozliczenie za pierwsze 5 dni ich pobytu tutaj i mam nadzieję, że wkrótce otrzymam pieniądze.*

Cały zatem ciężar utrzymania egzotycznych gości spada na barki miasta.

— *Całodzienne utrzymanie uchodźców kosztuje 15 mln z miejskiego budżetu* — żali się pani prezydent. Może Warszawa pomoże...

W ostatnich dniach marca Urząd Miasta w Świnoujściu pikietowany był przez 30 uchodźców. Na transparentach hasła: „*Dziękujemy Polsce za pomoc*", „*Chcę do Szwecji*", „*ONZ — niech pomoże*". To pokojowe przecież hasła, pani prezydent widzi je z okien swojego gabinetu, rozumie i nie zwraca się z prośbą o pomoc milicji.

Różnie myślą o egzotycznych przybyszach mieszkańcy niewielkiego, nadmorskiego miasta. Wiadomo — jedni dobrze, drudzy źle. Ci, którzy rozmawiali z nimi, poznali ich — są zdecydowanie po ich stronie. Zastępca kierownika DW „Grodek" jest jedną z licznych życzliwych im osób. — *W „Grodku" zameldowanych jest 159 osób — w tym 15 dzieci od 3 miesięcy do 15 lat. Są naprawdę bardzo spokojni i pogodni. Sami sprzątają sobie pokoje. Pokojówki dosłownie nie mają co robić. Od poniedziałku uruchamiamy dla nich kuchnię w naszym ośrodku. Do tej pory musieli chodzić na posiłki do pobliskiego DW „Dolna Odra". Cóż więcej możemy dla nich zrobić? Zorganizowaliśmy zbiórkę zabawek i ciepłych ubranek dla dzieci. Te czarne biedactwa przyjechały tu z Afryki często w jednej koszulce... Kto opłaca ich pobyt tutaj? W tej chwili finansuje to przedsiębiorstwo, do którego należy ten ośrodek — Kombinat Budownictwa Ogólnego nr 1 w Szczecinie, ale miasto musi im przecież te pieniądze oddać.*

Na dziedzińcu ośrodka krzątają się kilku wyraźnie poruszonych Libijczyków i Somalijczyków. Po chwili biegną do recepcji.

— *Trzeba wezwać lekarza* — tłumaczą kierowniczce — *zemdlała kobieta.*

— *Pogotowie wzywamy średnio kilkanaście razy na dobę* — informuje pani Danuta. — *To jest właściwie jedyny problem jaki tu z nimi mamy. Około 10 osób przebywa w szpitalu — począwszy od małego dziecka, które rozbiło sobie głowę, skończywszy na młodej Libance, która cztery dni temu urodziła syna.*

27 marca 1990 roku, we wtorek 43 ciemnoskórych przybyszy (w tym 2 kobiety) podjęło głodówkę.

Okupują salę katechetyczną w kościele pod wezwaniem Chrystusa Króla. Po wizycie przedstawicieli Czerwonego Krzyża strajk głodowy przerwało 28 osób. Pozostałych 15 trwa w swoim postanowieniu. Salka jest duża, mroczna. Większą jej część zajmują porozkładane materace ułane kocami. 14 osób leży bez ruchu prawie, obok nich stoją butelki wypełnione wodą mineralną i termosy z gorzką herbatą. Tylko to mogą przyjmować. Najgorzej czują się dwie obecne tam kobiety. Jedna z głodujących osób jest już w szpitalu.

Czego się domagają? Każdy może przeczytać wymalowane w językach: polskim, angielskim i arabskim postulaty:

1. Spotkać się z MCK.
2. Nie deportować do kraju.
3. Zamieszkać w demokratycznym kraju w spokoju.

— *Poprzez tę akcję chcemy się zjednoczyć z polskim rządem* — tłumaczy mi jeden z głodujących. — *Wiemy, że nasza sytuacja, nasz pobyt tu jest dla was dużym problemem. A to nie może być sprawa wyłącznie polska, decyzje nas dotyczące powinny być podjęte na forum międzynarodowym. Nie walczymy o prawa dla nas tu tylko zgromadzonych. Chcemy utorować drogę wszystkim tym, którzy będą prześladowani w przyszłości.*

Ta czternastka okupująca salę katechetyczną to desperaci. Tak o nich mówią ich pozostali towarzysze. A oni sami — że ich sytuacja jest najcięższa, najtrudniejsza.

Mohamed Joussef Zaher z Libanu opowiadając mi historię swojego życia popiera ją dowodami, jakimi bez wątpienia są oficjalne dokumenty w arabsko-angielskiej wersji. Pokazuje zaświadczenie, które potwierdza, że jego 2-piętrowy dom o powierzchni 200 m kwadratowych został w 1985 r. zburzony. Jest nawet jego wycena — wart był 2 mln funtów libańskich. — *Bez domu można żyć* — stwierdza pokazując mi następnie nakaz opuszczenia Libanu bez prawa powrotu.

Ahmad Mohamed Abdelmoneim Yassin był dwukrotnie aresztowany przez Izrael defence forces. Pokazuje Kartę MCK, w którym zarejestrowany jest pod numerem 290904. To dzięki interwencji tej organizacji dwukrotnie (w 1983 i 1984 roku) udało mu się wydostać z niewoli. Pokazuje mi swoje ręce — zniekształcone w nienaturalny sposób. Tłumaczy, że był torturowany — jego dłonie nie mają paznokci.

14 ciemnoskórych desperatów reaguje na wizytę reportera bardzo spontanicznie. Wszyscy, choć bardzo już słabi, chcą opowiedzieć o sobie. Mieszkańcy Świnoujścia dzielnie im pomagają. To oni przynoszą napoje, a nawet jedzenie mając nadzieję, że uda im się nakłonić głodujących do przerwania akcji. Prawie cały dzień towarzyszy im mały, ośmioletni polski chłopiec. I choć żaden z demonstrantów nie zna języka polskiego, to widać, że dziecko nawiązało z nimi doskonały kontakt. Jak mi się przyznali — bardzo się cieszą, że ich mały przyjaciel jest ciągle z nimi. Dodaje im to otuchy.

Częstym gościem w mrocznej sali jest również ksiądz proboszcz.

— *Tak, oddałem do ich dyspozycji salę katechetyczną. Nie mogłem patrzeć jak głodują w kościele. Wczoraj zwrócili się z oficjalną prośbą o pomoc do papieża.* Najbardziej uskarżają się, że nie docierają do nich tutaj żadne wieści. Nie znają przecież języka polskiego. Nie wiedzą, co z nimi będzie. Z ulgą przyjmują informację, że 1.04. przybędą do Świnoujścia przedstawiciele grupy roboczej MCK. To właśnie ich wnioski będą stanowiły podstawę do rozmów z przedstawicielami MCK i wysokiego komisarza ONZ do spraw uchodźców, którzy oczekiwani są w Polsce 08.04.1990.

Ystad

Szwedzkie władze imigracyjne obiecują odsyłać do Polski wszystkich ciemnoskórych uchodźców przybywających promami ze Świnoujścia bez ważnych wiz. W ciągu ostatnich tygodni do portu w Ystad dotarło około 1000 osób z krajów Trzeciego Świata. Prawie wszystkie dokumenty jakimi się legitymowali były nieważne. Posiadały mianowicie jedną zasadniczą w tej sytuacji skazę — fałszywą wizę szwedzką. Ostatnio można ją bez problemu nabyć w Świnoujściu, choć cena znacznie spadła z 2000 dolarów do ... 50. Policja w Ystad oskarża polską służbę graniczną o interesowne przyjmowanie uciekinierów na prom mimo ewidentnie sfałszowanych dokumentów. Podobnie mówią o tym sami uchodźcy. Najpierw należy nabyć bilet na statek po cenie 3-krotnie wyższej niż oficjalna, następnie polskie służby graniczne przymykają oczy na fałszywą wizę. Cały dramat rozgrywa się dopiero w Ystad, kiedy Szwedzi nie bacząc na obietnice dane przez Polaków — nie przyjmują na swe terytorium żadnego ciemnoskórego przybysza z niewyraźnym stemplem w paszporcie.

Warszawa

30 marca 1990 r. M. Niezabitowska poinformowała, iż rząd polski przeznaczył 10 mld zł na pomoc dla uchodźców. Kilkudziesięcioosobowe grupy deportowanych ze Szwecji będą tymczasowo kierowane do podwarszawskich ośrodków wczasowych.

— *W listopadzie 1989 r. minister Skubiszewski zapowiedział, że Polska ratyfikuje konwencję genewską z 1951 r. o uchodźcach i dodatkowy protokół z 1967 r. rozszerzający zakres czasowy działania konwencji. Minister zapowiedział także, że Polska już obecnie będzie się stosować do postanowień konwencji, a wg. źródeł MSZ rząd PRL czynił to od wielu lat i unikał odsyłania do kraju pochodzenia wszystkich, którym mogły grozić represje polityczne.*

Co się z nimi stanie?

Pytam o to kierownictwo ośrodków, w których mieszkają. *Tego nie wie jeszcze nikt* — słyszę odpowiedź. *Ale nie powinni ich deportować. W tej sytuacji w Polsce powinien powstać obóz przejściowy dla uchodźców, skąd byliby wysyłani do innych, zamożniejszych krajów.*

Świnoujście — piękna słoneczna pogoda. W porcie, z którego dwa razy dziennie wypływają promy do Szwecji spaceruje wielu ciemnoskórych. Tęsknie obserwują biały ogromny prom „Wilanów", na który pewnie nigdy nie wsiądą.

Niespodziewane wyłączenia prądu z sieci, spadki napięć i inne awarie energetyczne to kłopoty o których można zapomnieć.

▲ DATA SAVER ▲

komputerowy zasilacz awaryjny o mocy 300 W i 500 W

O F E R U J E

PRZDSIĘBIORSTWO „COMEX"
Spółka z o.o. (j.g.u.)

Trzy lata obecności na rynku, kilkuset kontrahentów; wyspecjalizowany serwis i autoryzowany sprzęt to gwarancja niezawodności.

Gdańsk, ul. Marynarki Polskiej 82, tel. 43-22-12, tlx. 512372.

846/k

U W A G A ! U W A G A !

Rolnicy — Użytkownicy pojazdów — Zakłady konserwacji maszyn i urządzeń — Handlowcy — Ajenci

P O S I A D A M Y

do odwrotnej sprzedaży po cenach zbytu nowoczesny

ŚRODEK ANTYKOROZYJNY
▲ KORPLAST C ▲

produkowany na surowcach importowanych. Służy do ochrony przed korozją na zewnątrz pomieszczeń wszelkich elementów metalowych lub pokrytych farbami nitrocelulozowymi i syntetycznymi, podwozi samochodowych, maszyn rolniczych.

Pandto oferujemy szampony, kremy z bonifikatą oraz szeroki asortyment chemii gospodarczej (płyny, pasty, proszki). Przy ilościach hurtowych dowozimy własnym transportem. Warunki płatności do uzgodnienia.

Chemiczna Spółdzielnia Pracy „Postęp" Sopot, Al. Niepodległości 809, tel. 51-72-71/72, telex Nr 0512087

— ZAPRASZAMY —

847/k

od środy do środy PROGRAM TV

ŚRODA 11.04.1990 R.

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.05 Przez lądy i morza
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Czerwona ziemia" — kub. film fab.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów — Sami o sobie — SOS
16.50 Dla dzieci: Trąba
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX wieku
18.00 Program lokalny
18.45 Rolnicze rozmaitości
19.00 Dobranoc
19.10 Rzeczpospolita samorządna
19.30 Wiadomości
20.05 „Nie poddam się" — ang. ameryk. dramat psychologiczny

Film opowiada o autentycznych wydarzeniach. Znana aktorka telewizji amerykańskiej Ann Jillian już w jednym z pierwszych filmów tv („Mae West") odniosła sukces. Inne role przyniosły jej nagrodę Emmy i nominację do nagrody „Golden Globe". Ta popularna aktorka, przez lata cierpiała na raka. Nie poddała się jednak, postanawiając walczyć stała się niedoścignionym przykładem dla wielu walczących z tą chorobą. Główną rolę zagrała w filmie sama Ann Jillian.

21.45 Sport
22.55 Wiad. wiecz.
23.15 J. angielski

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 ABC — teleturniej
18.00 „Marc i Sophie" — serial franc.
18.30 Magazyn 102
19.00 Express gospodarczy
19.30 Syria — progr. dok.
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
20.40 „Sonata patetyczna" Beethovena w wyk. Klary Langer-Daneckiej
21.00 „Jestem zdrów i żyję" — rep.
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" — serial TP
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia

CZWARTEK 12.04.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Hannay" (3) — „Podróż w krainę strachu" ang. ser.
10.20 Domator
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Ordy"
17.15 Teleexpress
17.30 Biznes
18.00 Program lokalny
18.45 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.10 Program publ.
19.30 Wiadomości
20.05 „Hannay" (2) — „Podróż w krainę strachu" — ang. ser.
21.00 Interpelacje
21.50 Sport
22.00 Pegaz
22.45 Wiad. wiecz.
23.00 „Droga krzyżowa" — film dok.
23.55 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 „W labiryncie" — serial TP
18.00 „Katastrofy" (3) — „Na krawędzi życia i śmierci" — ang. ser.
18.30 Program na życzenie
19.30 „Zielone kino: Las i jego znaczenie" — film przyrod.
20.00 Wielki sport
20.40 „Sonata Księżycowa" Beethovena — gra Klara Langer-Danecka
21.00 Express reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne Dwójki: „Opatrzność" — franc. film fab.

Głównym bohaterem i zarazem narratorem jest umierający na raka pisarz snujący gorączkowe wizje swojej — prawdopodobnie — ostatniej powieści. Jej bohaterami postanawia uczynić najbliższą rodzinę. Rzeczywistość miesza się nieustannie z marzeniami, sen z jawą. „Opatrzność" okrzyknięto swego czasu arcydziełem, w którym wielką kreację stworzył John Gielgut.

23.25 Komentarz dnia

PIĄTEK, 13.04.1990 R.

PROGRAM I

7.45 Express gospodarczy
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Nowinki zza płotu" (4) — „Skoki w bok" — ser. NRD
10.25 Szkoła dla rodziców
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Muzyczne spotkania
17.15 Teleexpress
17.30 Raport
18.00 Program lokalny
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz
19.30 Wiadomości
20.05 „Las katyński"

Film dok. w reż. Marcela Łozińskiego, powstały w inspiracji i pod opieką artystyczną Andrzeja Wajdy. Zdjęcia realizowano na terenie Polski, ZSRR, Francji i Anglii. Wśród osób występujących w filmie są więźniowie łagrów, którzy zetknęli się z jeńcami kierowanymi do Starobielska i Ostaszkowa. Przedstawione zostały także wstrząsające relacje rodzin pomordowanych oficerów oraz mieszkańców okolic Katynia...

21.10 Droga krzyżowa — transmisja z Watykanu
22.45 Wiad. wiecz.
23.00 Pieśni Wielkopostne
23.25 Weekend w Jedynce
23.35 Sztuka i my
23.55 „Widziadła" — reż. M. Lewandowski

PROGRAM II

16.35 Korepetycje dla maturzystów
17.05 Program dnia
17.10 Ballada o drodze krzyżowej — pr. poetyc.-muzycz.
18.00 „Dobra nadzieja" — franc. ser. (3)
19.00 Express gospodarczy
19.30 Dookoła świata
20.00 „Messiasz" (1) Oratorium Haendla
20.50 S. Beckett — w rocznicę urodzin
21.30 Panorama dnia
21.45 Sonata Waldsteinowska Beethovena
22.15 „Dzień po jarmarku" — film prod. ang.

Prosta dziewczyna, analfabetka, służąca pewnej wytwornej i dojrzłej kobiety prosi swoją chlebodawczynię o prowadzenie korespondencji z ukochanym. Gdy to „drobne kłamstwo" wychodzi na jaw, chłopca zaczyna dręczyć niepokój. Która z kobiet tak naprawdę jest w nim zakochana?

23.15 Komentarz dnia

SOBOTA 14.04.1990 R.

PROGRAM I

7.45 Program dnia
7.50 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.40 Ziarno — pr. red. katolickiej dla dzieci i rodziców
9.00 Drops oraz film z serii „Heidi"
10.30 Wiad.
10.40 Azjatycka mozaika
11.05 Rycerskie serca — pr. dok.
11.30 „Poza rok 2000" — austral. film dok.
12.00 „Marcina Zaleskiego opisanie Warszawy" — film dok.
12.25 Muzyka w Leżajsku
13.00 „Polskie kwiaty" — film dok.
13.10 Teatr TV: K. I. Gałczyński — „Wielkanoc Jana Sebastiana Bacha"
13.50 Morze
14.10 Antena
14.30 Nad Niemnem, Piną i Prypecią — w Kosowie
14.50 Rewizja nadzwyczajna: „Życie Mariana" — rep.
15.40 „Computron" — film prod. włos.
17.15 Teleexpress
17.30 Butik
18.00 Program lokalny
18.45 Program muzyczny
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Piraci" — franc.-tunez. film fab.
21.55 Telew. przegląd sportowy
22.15 Tydzień w polityce
22.25 A. Osiecka: „Biała bluzka" — monodram w wyk. K. Jandy
23.40 Telegazeta
23.45 Kino nocne

PROGRAM II

13.30 Czas akademicki
14.00 Bariery
14.25 „Przeszłość — przyszłość i — ziemski raj"
14.50 Zwierzęta świata
15.25 Metra świata
15.40 Pomysł na warszawskie metro
15.50 Spektrum
16.05 Meandry architektury — balkony i tarasy (1)
16.25 Program dnia
16.30 Festiwal muzyki — Łańcut 89
17.00 Godzina z...
18.00 Publicystyka kulturalna
18.30 Wielka gra
19.30 Tradycje muzyczne sióstr Klarysek w Starym Sączu
20.00 „Messiasz" (3) — oratorium Haendla
21.00 Sztuka kontemplacji
21.30 Panorama dnia
21.55 „Świadek" — amerykański film kryminalny

Nie jest to typowy film kryminalny, czyli policyjny. Reżyser Peter Weir przedstawia w nim dwa światy — świat przemocy, gwałtu, zabójstw, ściganych i ścigających, z drugiej zaś — świat spokojnej egzystencji Amiszów, pogodnych wyznawców sekty religijnej, która żyjąc gdzieś na skraju współczesnej cywilizacji potrafi zachować swoją odrębność, odrzucić grzech i rozpustę. I to właśnie wśród nich szuka schronienia szlachetny, choć brutalny policjant...

22.55 Alfabet Kisiela
23.10 Komentarz dnia

NIEDZIELA 15.04.1990 R.

PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Wiosenne malowanie
8.25 „Ania z Zielonego Wzgórza" — cz. I film prod. kanad.
10.25 Msza święta z Bazyliki św. Piotra w Rzymie
12.40 Teatr dla dzieci: A. Wolski — „Hrabia Gliński-Popieliński"
13.20 Portrety: Piotr Michałowski"
14.20 „...i dziś zmartwychwstałem" — pr. poetycki
14.45 Wideo-Top
15.05 „Panna dziedziczka" — ser. brazyl. (ostatni)
17.00 Teleexpress
17.15 Kino muzyczne L. Kydryńskiego: „Parada Wielkanocna" — musical USA
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — Południe" — (9) serial USA
21.35 Sportowa niedziela
22.15 Piosenki z Tokio
23.15 Telegazeta
23.25 Kino nocne

PROGRAM II

9.10 Przegląd tygodnia
9.45 „Północ — Południe" — serial USA
11.15 Koncert życzeń
11.40 Polska kronika filmowa
11.50 Sto pytań do...
12.40 „Mojżesz" (1) — serial USA
13.40 M. Niesiołowski — Z batutą i humorem
14.00 Kino familijne: „Autostrada do nieba" — serial USA
14.50 Podróże w czasie i przestrzeni
15.45 Piosenki Jerzego Petersburskiego — Ta ostatnia niedziela
16.15 Biografie: „Minelli o Minelli"
17.30 Bliżej świata
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria Dwójki
20.00 Studio sport
20.50 Teatr Semafor — „Jonasz" — progr. rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 „Mojżesz" (1) — serial USA
22.45 Komentarz dnia

PONIEDZIAŁEK 16.04.1990 R.

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 „Ania z Zielonego Wzgórza" — cz. II — film kanad.
11.00 Objazd pól — film dok.
11.10 „Duchy lasów" — ang. film przyr.
12.00 Sto twarzy Chrystusa
12.20 Koncert życzeń
13.20 Teatr dla dzieci: „Ten najpiękniejszy świat"
13.55 Ballady Moniuszki przedstawia Maria Foltyn
14.25 Cyrk
15.20 Program muzyczny
15.45 Sport — ME w tenisie stołowym (finał)
16.25 Julie and Carroll — przyjaciółki z dawnych lat — pr. rozrywkowy
17.15 Teleexpress
17.30 W starym kinie: „Dodek na froncie" — polski film archiw.
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Kingsajz" — komedia prod. polskiej
21.50 Kabaret Olgi Lipińskiej
22.40 Sport (Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie CSRS — USA)
23.50 Telegazeta

PROGRAM II

10.25 „Konspiracja u króla Jana" — pr. dok.
11.55 Powitanie
12.00 Piccolo Coro dell Antoniano ponownie w Polsce — reportaż
12.45 To jest Polska właśnie — rep.
13.20 Danuta Wałęsowa — portret
14.00 Studio sport
14.30 „Ach, Ameryka — dziecko potrafi" — wid. artyst.
15.10 Kabaret „Tey"
16.10 Film fabularny
17.30 Benefis W. Furmana
18.45 Magazyn „102"
19.30 Galeria 37 milionów
20.00 Studio sport
20.45 „Krajobraz pełen nadziei" — śpiewa Marek Grechuta
21.30 Panorama dnia
21.45 Film fabularny
23.40 Komentarz dnia

WTOREK 17.04.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Dolina nadziei" — odc. 6 (ostatni) franc. ser. pt. „Guido"
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Dla dzieci — kino Tik-Taka: „Gumisie" — odc. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Program lokalny
18.45 Klinika zdrowego człowieka
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.00 Spotkanie z min. J. Kuroniem
20.15 „Dolina nadziei" — odc. 6 (ostatni) franc. ser. pt. „Guido"
21.15 Listy o gospodarce
21.50 Studio sport
23.10 Wiad. wiecz.
23.30 J. rosyjski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Dookoła świata: Na Tahiti
18.00 „Mąż pod łóżkiem" — nowela film. TVP
18.30 „VP WITH PEOPLE" — rep.
19.10 Modlitwa wieczorna
19.30 Studio sport
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego — Podróż do Mediolanu (3)
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 „Opowiadania wariackie" — film fab. TVP
23.00 Komentarz dnia

lewym okiem

Własnoręczny autoportret

Jeśli ktoś lubi tak zwane „chodzenie na łatwiznę" i nie wstydzi się tego procederu to może sobie znakomicie ułatwić pisanie felietonów notując niektóre wypowiedzi zasłyszane w radio. One się nieomal same układają w felieton nie wymagając komentarzy. Tak na przykład, kiedy słuchałem relacji o kradzieży dokonanej w jednym z muzeów amerykańskich, usłyszałem, że skradziono tam także *„autoportret Rembrandta w dodatku malowany jego własną ręką"*. To fajne: autoportret w dodatku malowany własną ręką. Ale to drobiazg.

Smakowitszym jest cytat z przemówienia jednego z posłów: *„książki* — mówił poseł — *powinny być drogie, tania książka używana jest do podpierania stołów"*. Słusznie, choć można by zapytać filuternego posła, czym będzie podpierał swoje stoły, gdy wszystkie książki będą drogie.

Inny poseł w ferworze dyskusji woła: *„ustawodawcy wolno wszystko."* W dwa dni później usłyszy w znakomitym przemówieniu rzecznika praw obywatelskich uwagę, że taka wypowiedź świadczy o bardzo mglistym pojęciu o praworządności.

Jeszcze inny mówca, tym razem w senacie, gdy mówiono o pomocy dla rodzin wielodzietnych, o dożywianiu dzieci, o przedszkolach, żłobkach, o dzieciach wymagających specjalnej troski, otóż mówca ten, z całym przekonaniem wypowiedział pogląd, że przecież to nie są dzieci senatu, że one mają własnych ojców i ojcowie powinni się o dzieci troszczyć. Idąc dalej po tej myśli należałoby dojść do wniosku, że senat powinien zajmować się tylko senatem, bo każdą sprawę można przypisać jakiemuś „ojcu" i zostawić go sam na sam z jego zmartwieniem. Można by jeszcze szerzej powiedzieć, że każdy powinien się troszczyć wyłącznie o własne sprawy. Po cóż mam na przykład płacić podatki, za które rząd, w oparciu o uchwały parlamentu, budować będzie mosty, szpitale i szkoły, skoro ja po tych mostach nie będę chodził, w szpitalu położniczym łóżka nie zajmę, a dzieci w wieku szkolnym nie mam... Po co zastanawiać się nad przytułkami dla starców, starcy mają swoje dzieci i swoje wnuki, niech u nich szukają opieki.

W cytowanym już przemówieniu rzecznika praw obywatelskich padło, między innymi, ostrzeżenie pod adresem władz, aby nie przyjmowały na siebie roli spekulanta handlującego w trybie aukcyjnym działkami budowlanymi, mieszkaniami i lokalami użytkowymi. W parę dni później słyszę w „Muzyce i Aktualnościach" wiadomość, że w Krakowie odbyła się właśnie aukcyjna sprzedaż kilku mieszkań, niewielkich, bo największe liczyło ok. 50 metrów kwadratowych, przy czym cena wywoławcza chyba tego największego wynosiła 80 milionów złotych. *„Rozsądek zwyciężył"* — komentował redaktor radiowy informując, że chętni na nabycie mieszkań się nie znaleźli.

Znalazły się jednak władze, którym podobała się rola spekulanta, nie posłuchały uwagi rzecznika praw obywatelskich. Któż ma więc tych uwag słuchać i wcielać je w życie?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Beznadziejna sprawa

W centrum Łodzi, dokładnie na rogu ulic Piotrkowskiej i Narutowicza spotkałem dość dziwnie ubranego człowieka. Miał na sobie czarny, dużo za mały smoking, w ręku zaś dzierżył białą laskę opleciona dwoma wężami i zwieńczoną parą skrzydełek. Mężczyzna ów chodził w jedną i drugą stronę, jak więzień w celi i mruczał pod nosem: *„i po co mnie to było... i po co mnie to było..."* Przyjrzałem mu się przez chwilę uważnie i podszedłem.

— Przepraszam, czy mógłbym może w czymś pomóc? — zapytałem.

Zatrzymał się, popatrzył mi w oczy i powiedział:

— *Mnie chyba nikt nie może pomóc. Wszystko przez Apolla, to on przecież wcisnął mi tę laskę* — wskazał ruchem głowy na śmieszną ni to laskę ni pałeczkę, którą trzymał w dłoni — *i teraz mam z nią tylko kłopoty... Zresztą, zawsze miałem... Sam musisz przyznać, dobry człowieku, że zamienić kitarę i flet na ową pałkę, to nie był zbyt dobry pomysł...*

— Wie pan, powiem szczerze, że nie bardzo wiem, o co chodzi. Jaki Apollo, jaka kitara, co za flet? Nic nie rozumiem...

— *A mitologię znasz, dobry człowieku?* — zapytał lekko poruszony.

— No, może nie najlepiej, ale trochę znam...

— *Widocznie za mało* — przerwał. — *Pozwolisz więc, że się przedstawię. Hermes jestem* — skinął głową.

— Włodkowski — ukłoniłem się, ale minę musiałem mieć przy tym nietęgą, bo jegomość tylko uśmiechnął się i powiedział.

— *Wiem, trudno w to uwierzyć, ale jednak... Zresztą, w tym idiotycznym stroju na pewno nie można mnie poznać... Zeus kazał mi się tak ubrać, żebym się z tłumu nie wyróżniał... i co, nie wyróżniam się, prawda?*

— Wie pan — zacząłem.

— *Mów mi Hermes* — przerwał.

— Dobrze Hermesie — powiedziałem i zacząłem się wycofywać. „Toż to jakiś wariat", pomyślałem. — Wyglądasz znakomicie — dodałem jeszcze. — Ale ja już muszę iść...

— *Zaraz, dokąd się tak spieszysz, nie jesteś ciekawy, po co Zeus zesłał mnie właśnie to tego miasta?*

— Umieram wprost z ciekawości — skłamałem, ale nic innego nie przyszło mi jakoś do głowy.

— *Staruszek Zeus zdenerwował się któregoś dnia* — zaczął — *że na ziemi wciąż ludzie ze sobą walczą, któcą się i nienawidzą. Próbowałem mu tłumaczyć, że było przecież tak zawsze, ale on nie słuchał żadnych argumentów. Powiedział tylko:* „Hermesie, ty masz tego swojego kaduceusza, nim wszak można załagodzić wszelkie spory, zejdziesz więc na ziemię, pomachasz nim trochę i wszystko szybko i sprawnie załatwisz". *W tym miejscu wtrącił się Mars i powiedział:* „Gromowładny Zeusie, nie chcesz chyba, bym stał się bezrobotny". „Właśnie że chcę", *odpowiedział Zeus,* „... mam już po prostu tego wszystkiego dosyć", *dodał jeszcze. W tym momencie zrozumiałem, że się z tego nie wykręcę, ale postanowiłem spróbować.* „Zeusie", *powiedziałem,* przecież na ziemi jest tyle sporów, że doprawdy nie wiem, od czego miałbym zacząć". *Na to on odrzekł:* „Zaczniesz od jakiejś małej sprawy, od jakiegoś niewielkiego sporu... tak na początek, żeby się rozruszać, pojawisz się w Łodzi, to taka mieścina leżąca daleko na północ od Olimpu". *I oto jestem, pobędę tu ze dwa dni i zobaczę, co się da zrobić.*

— Życzę powodzenia — rzekłem. — Nie byłbym jednak taki pewny, że uda ci się tu cokolwiek zmienić.

— *Co, nie wierzysz w moc mego kaduceusza?* — podniósł do góry białą laskę. — *Dobrze, nie traćmy czasu... odnajdę cię za dwa dni i wszystko ci opowiem. Na razie żegnaj.*

Po chwili już go nie było. „Coraz więcej wariatów chodzi po tym mieście", pomyślałem i udałem się w kierunku placu Wolności. O całej sprawie szybko zapomniałem, ale po dwóch dniach wielkie było moje zdziwienie, gdy wieczorem w drzwiach ujrzałem Hermesa. Smoking był na nim mocno wytarty, biała laska jakby nieco przybrudzona.

— *Nic nie mów* — powiedział zanim zdołałem coś wykrztusić. — *Miałeś rację, sprawa jest beznadziejna... Wracam na Olimp. Jakoś spróbuję wytłumaczyć się Zeusowi... Współczuję ci, że musisz tu mieszkać...*

— Nie jest tak źle, na świecie jest jeszcze na szczęście kilka miejsc o wiele gorszych... — zacząłem, ale on już zniknął.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

nagłe zastępstwo

Sukcesy statystyczne

Dowiedziałem się niedawno ze zdumieniem, że wśród licznych tzw. odznaczeń resortowych było i takie, które nosiło dumną nazwę „Zasłużony dla statystyki" chyba niepotrzebnie używam czasu przeszłego — piękny ten medal nadal istnieje?

Zastanawiam się głęboko, za co też można było być udekorowanym tak wysokim odznaczeniem? Chyba nie za wieloletnie ślęczenie nad liczydłami i sumowanie długich kolumn cyfr? Zapewne nie! Przecież zasłużeni dla statystyki nie są ci, którzy tę statystykę tylko sporządzali — naprawdę zasłużeni mogli być tylko ci, którzy ją w wielkim trudzie skromnych umysłów t w o r z y l i!

A jak ta twórczość wyglądała, wiemy wszyscy aż nadto dobrze. Było przecież nieźle i co rok jeszcze nieźlej. Krzywa rosła, majątek narodowy się pomnażał, było coraz więcej stali na głowę i butów na nogi. Areał się powiększał — głównie areał lasów, choć jednocześnie wzrastał wyrąb tychże lasów. Nawet papieru z tych lasów było coraz więcej! Ktoś musiał się nagłówkować, żeby tak było, żeby nam (w statystyce) Polska rosła w siłę a ludzie (w statystyce) żyli dostatniej.

A pogłówkować było nad czym — ot, choćby w kulturze. Trzeba było przy pomocy statystyki udowodnić, że naród wcale nie chce czytać jakichś tam Hłasków i Konwickich, że ich książki zalegają magazyny, podczas gdy Czytelnik wykupuje na pniu wszystkie wznowienia aktualnych członków władz ZLP. A w związku z tym sukcesem statystycznym — robić następne wznowienia!

Albo w kinematografii — ileż to się nagłówkowali szefowie instytucji rozpowszechniania filmów i kierownicy kin, żeby udowodnić niesłychane powodzenie filmów radzieckich i utworów rodzimych wybitnych twórców w rodzaju Bohdana Poręby oraz kompletny upadek amerykańskiego chłamu filmowego, tych różnych tam Spielbergów i innych, na których filmy pies z kulawą nogą nie przychodził. Z ogromnym, rosnącym napięciem oczekiwałem w końcu lat siedemdziesiątych na konsekwencje tej twórczości statystycznej, tj. zaniechanie kupowania niechodliwych zachodnich chał...

Przy okazji chcę uprzejmie nadmienić, że akurat nie mam nic przeciw filmom radzieckim. Czym, niestety, różnię się od tzw. szerokich mas odbiorców, którym bardzo skutecznie obrzydzono wszystko co radzieckie, między innymi metodą wspaniałej twórczości statystycznej.

A skoro już o radzieckiej sztuce mowa, to nie mogę się nie podzielić pewną refleksją nad programem TV w ostatnich miesiącach. Nie wiem czy to przypadek czy też określone osobiste gusty Andrzeja Drawicza, ale mamy ostatnio prawdziwy festiwal dramaturgii radzieckiej. Były dwie sztuki Erdmana, był dramat mało znanego w Polsce autora ukraińskiego. Adaptacja „Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa gromadziła przed ekranami rzesze miłośników tej wspaniałej powieści. Przy okazji — wszystko to są utwory, powstałe w latach dwudziestych bądź na początku trzydziestych. Utwory śmiałe, nowatorskie i odważne politycznie. Mało zorientowany polski widz, który znał dotąd tylko „Jak hartowała się stal" i „Szosę wołokołamską" nie posiada się ze zdziwienia: więc w porewolucyjnej Rosji takie rzeczy pisali? I były wydawane? Niesamowita rzecz... Ano były. Co akurat nie jest jakąś rehabilitacją stalinowskiej cenzury. Przeciwnie, to dopiero ukazuje, jaki wielki skok trzeba było zrobić od wolności słowa do realizmu ze znakiem „soc".

ANDRZEJ KAROL

Sekrety prominentów (19)

ALEKSANDER MINKOWSKI

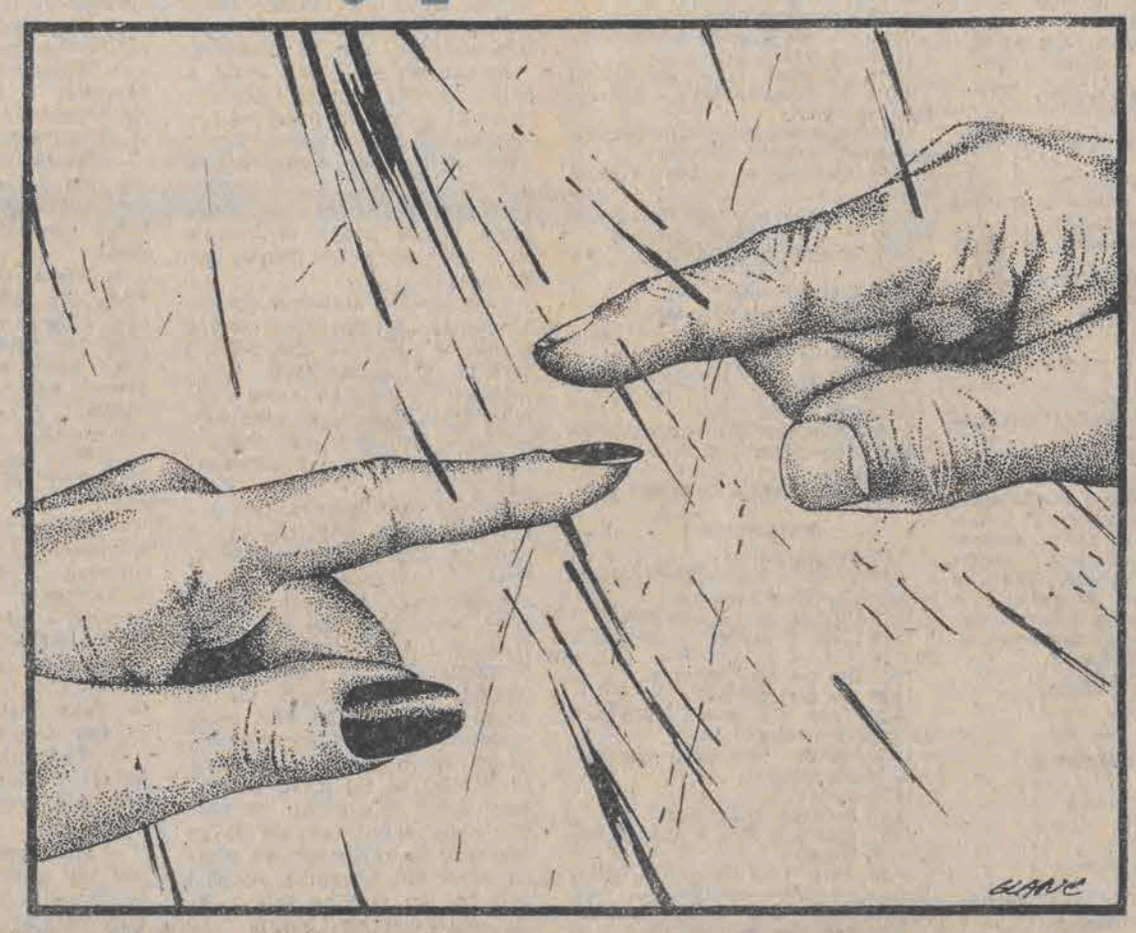

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Komendant chwilę jeszcze słuchał, potem wyłączył aparat: Gajdacz niemiłosiernie fałszował nucąc „Czerwone maki". Ktoś zapukał do drzwi.

— Wejść — rzucił Major.

Do kantoru wkroczył Leonard Rem z płócienną torbą na ramieniu.

— Co się dzieje? — zapytał. — Wartownicy nie wypuszczają mnie za bramę. Jestem umówiony w nadleśnictwie na jedenastą.

— Nie szkodzi — powiedział komendant. — Mam trochę czasu, może zagralibyśmy w warcaby?

— Jestem umówiony na jedenastą — powtórzył Rem.

— Usprawiedliwimy cię — zapewnił Major. — Prowadzone jest dochodzenie w sprawie męczennicy. Dla dobra śledztwa nikt nie może opuścić terenu.

Major rozłożył na biurku ceratową szachownicę i rozstawił pionki, po swojej stronie białe. Wolał grać białymi. W młodości był warcabowym mistrzem batalionu, zaszedł aż do finału w rozgrywkach dywizyjnych. Rem nie żalił się, że ma czarne. Zawsze przegrywał. Tylko z rzadka, w sposób dla Majora całkowicie niezrozumiały, dostawał skrzydeł: roznosił partnera jak bezbronne dziecko, zamykał w kątach, zmiatał mu wszystko z szachownicy. Wychodziły mu wtedy kombinacje, które nie mieściły się w głowie. Potem wracał do normy.

— Nie ucieknę od swego losu — powiedział komendant. — Mam to już we krwi po tylu latach służenia. Ale bywa czasem, że brzemię jest szczególnie ciężkie.

— Została w tobie wrażliwość — powiedział Rem, nieuważnie przesuwając pionek w odpowiedzi na ruch partnera. — Wrażliwcy cierpią, czyniąc wbrew przekonaniu.

— Podstawiasz pod bicie.

— To bij.

— Ty nigdy wbrew?

— Bóg był łaskaw, nie musiałem — odpowiedział leśniczy. — Czystość sumienia to parszywy luksus, kiedy widzisz, jak inni się męczą, paskudząc. Każdy by chciał mieć czyste rączki, tylko kto wtedy odwali brudną robotę?

Kpi ze mnie, pomyślał komendant.

— Kpisz ze mnie? — zapytał.

— Coś ty.

— To nie gadaj, że odwalam brudną robotę. Ja tylko wykonuję służbowe obowiązki. Gdyby wszyscy je wykonywali, mielibyśmy szczęśliwy kraj.

— Nasz kraj jest szczęśliwy — powiedział Rem. — Żyjemy w nim jak beztroskie dzieciaki, z fantazją i na wesoło, choć dla fasonu narzekamy. Gdzie masz tyle wolności, co u nas? Każdy ma własną, każdy ciągnie ku sobie, a w więzieniach luz. Anglik, dajmy na to, donosi pod przymusem obywatelskim. Ma to podobnież w konstytucji.

— Co za bzdura — sapnął komendant.

— Dumny jest, że szpieguje za granicą dla dobra ojczyzny. Szpiegowanie u nich to zaszczyt.

— Kto ci tych bzdur nagadał?

— A u nas? — zapytał retorycznie Rem. — Improwizacja, dobrowolność. Rodak prędzej by skisł niż się przyznał, że szpicluje i donosi. U nas honor. Godność. Donoszą tamci, szpiclują oni, my — nigdy! Nicby cenzura, a zajrzyj do gazet. Widziałem w telewizorze, jak Naczelny całował lidera dysydentów.

— Byłem przy tym. Nie całował, tylko ściskał. Z okazji jubileuszu.

— Swoich nie ściska.

— Swój i tak jest swój — powiedział komendant.

— A dysydent pozostanie dysydentem, bo kto nie lubi, jak się go ściska? My jesteśmy Chrystusowi Majorze. Kochamy swoich wrogów. Nadstawiamy policzek. Spowiadamy się nawet z tych grzechów, które chcielibyśmy popełnić. Czy to nie jest szczęśliwy kraj?

— Przegrałeś — stwierdził komendant, bijąc Remowi ostatniego pionka. — Nie rozumiem w takim razie, skąd tyle buntu.

— Dla radochy — odpowiedział wesoło leśniczy. — A co, nie wolno? Rebelie nas oczyszczają jak kąpiel w upał. Lejemy się po mordach, potem płaczemy, padamy sobie w objęcia i pięknie jest!

— Nie na długo. Zagramy jeszcze jedną?

Nie zdążyli. Ledwo Major zbił Remowi pierwsze dwa piony, rozdzwonił się brzęczyk, zamrugała pomarańczowa lampka nad pulpitem. Naczelny wzywał do siebie komendanta.

Postawił go na baczność. Major stał przed biurkiem w postawie zasadniczej, a szef przechadzał się po gabinecie. Jego szara twarz była jeszcze bardziej szara, spojówki czerwieńsze.

— Gdzie biuletyn? — zapytał, stając w rozkroku przed komendantem. — Gdzie są raporty i prasa?

— Melduję, że wszystko będzie — zaraportował komendant. — Wydałem niezbędne rozkazy. Zapewne jeszcze dzisiaj przywrócona zostanie łączność.

Naczelny milczał. Wpatrywał się nieruchomo w jakiś punkt nad głową komendanta.

— Zmieniono mi adiutanta — powiedział cicho, jakby do siebie. — Doktor Lech zniknął, nie ma radiooficera Kamińskiego, personel nosi w klapach niezapominajki. Personel też jakby nie ten sam.

— Rotacja — wyjaśnił Major. — Zapewniam, że nie ma powodów do niepokoju.

— A gazety?

— Drogi są nieprzejezdne. Huragan powywracał drzewa, uszkodził most. Rzeka wystąpiła z brzegów. Ale zapewniam...

Szef kazał mu zamilknąć niecierpliwym machnięciem ręki. Podszedł do komendanta tak blisko, że omal dotykali się czołami.

— Tobie ufam. Gorbanowi i tobie, nikomu więcej.

— Dziękuję, szefie.

Nagle sam z siebie włączył się radioodbiornik. Z głośnika buchnął Bach. Po chwili muzyka zgasła i lektor odczytał komunikat o tragicznej śmierci studentki politechniki krasnogajskiej, Anny Genowefy, która podpaliła się na oczach wysokich władz, protestując przeciwko skażeniu środowiska, gwałtom zadawanym naturze, frymarczeniu ojczyzną, jakby to był folwark garstki prominentów. Komunikat wspominał o aroganckim zamiarze odwrócenia biegu rzeki, dygnitarskiej fanaberii, która kosztować będzie chłopski głód. „Kaprys bonzy i jałowe połacie czarnoziemu" — czytał z emfazą lektor. — Studentka Anna Genowefa, działaczka Komitetu Ocalenia Ziemi Ojczystej, oddała swe młode życie w ofierze dla dobra nas wszystkich. Cześć jej pamięci!"

Radioodbiornik umilkł. Naczelny podszedł szybko, zakręcił gałkami, ale z głośników dobywało się tylko jednostajne buczenie.

— Łącznościowcy pracują — powiedział komendant. — To była próba.

— Słyszałeś? — oczy szefa zapadły się jeszcze głębiej, zwęziły, pociemniały. — Odwołać dyrektora radiokomitetu. Natychmiast.

— Tak jest — strzelił obcasami komendant, choć taki rozkaz nie mógł być adresowany do niego.

Naczelny siadł przy biurku, wyrwał z bloku kartkę i skreślił kilka zdań:

— Daj to na teleks. Bez szyfrowania. Zaczekaj!

Widocznie przyszło mu do głowy, że może mieć już łączność. Odwrócił się do konsoli, wcisnął klawisze, zdjął słuchawkę z widełek.

— Działa? — zapytał z nadzieją w głosie Major.

Naczelny pełen zniechęcenia, położył słuchawkę.

— Dawniej tak nie było — powiedział. — Mogłem iść na urlop i o nic się nie bać. Każdy każdego pilnował. Ten komunikat to apel kontrrewolucyjny. Ktoś postanowił wykorzystać naszą trudną sytuację i rozhuśtać nastroje. My im jednak władzy nie oddamy. O której przylatuje Bard? W południe? Jest południe, helikopter powinien zaraz wylądować.

— Tak jest — przytaknął komendant.

— Domagają się zwrotu — powiedział Naczelny. — Próbują mnie przekonać, że więcej demokracji i ludzie poderwą się do pracy, urosną im skrzydła, będziemy tu mieli Amerykę... Pamiętasz u nas pracę z pieśnią na ustach?

— Tak jest.

— Czy była wtedy demokracja? Przeciwnie. Trzymało się krótko, na stalowej smyczy, a ludzie śpiewali, bili rekordy, stawiali dom w dwa tygodnie. Było wielu szczęśliwych.

— Więcej niż dziś.

— Więcej niż dziś — zgodził się Naczelny. — Nie zrobimy tu nigdy ani Japonii, ani Ameryki, ponieważ tutaj kocha się romantyczne hasła i żelazną pięść. Infantylizm: miliony dzieci, które trzeba chwalić, nagradzać, karcić, stawiać do kąta. Infantylna próżność, infantylne okrucieństwo, nawet wiara infantylna: raj i piekło, diabeł i anioł.

— Kościół tak wychowuje — powiedział Marian Major.

— Nasz Kościół — skorygował Naczelny. — Z Bogiem na wzór świętego Mikołaja Gdzie indziej Bóg jest sędzią, który ocenia ludzi nie wedle słów, a według pracy. U nas kult ubóstwa każe skrywać zachłanność, pożądanie dóbr. Gdzie indziej kościół głosi: „Bogaćcie się! Byle uczciwie, w zgodzie z przykazaniami bożymi. Modlitwa pracą!". Nam by taki kościół, Marianie... — szef uśmiechnął się, dotknął palcami białych skroni. — Bez Kościoła ani rusz. Ludziom potrzebna pociecha. Błąd robiliśmy, zniechęcając, do siebie zniechęciliśmy. Tu wprowadzę korektę.

— A ideologia? — wyrwało się Majorowi.

— Ideologia daje się rzeźbić — powiedział Naczelny. — A ty? Doprawdy jesteś niewierzący? Aż do samego dna?

C.D.N.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", którą napisał w 1935 r. podczas odsiadywania wyroku za działalność przemytniczą i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m in. „Żywot człowieka rozbrojonego" i „W imieniu organizacji". Kontynuujemy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej". Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich". Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

SERGIUSZ PIASECKI

22 czerwca, 1941 roku
Vilnius.

Wszystko mi w głowie poplątało się i czuję, że zginąłem ja na zawsze I nie mam pojęcia co teraz robić.

Poszedłem ja na spacer za Zielony Most. Dzień piękny. Ciepło. Słoneczko świeci. Słyszę ja: samoloty warczą. Przyjemnie mi się zrobiło, że nasze orły czuwają na straży Związku Radzieckiego. Tymczasem samoloty zaczęły pikować na most. „Manewry robią" — pomyślałem ja sobie. Ale wnet wybuchy się rozległy i woda z rzeki w górę trysnęła a belki z tratew w powietrze jak zapałki. „Oho! — pomyślałem ja sobie. — To nie manewry, lecz akcja wroga. Chcą nam most zniszczyć".

Ludzie biegną, chowają się gdzie kto może. Z daleka też wybuchy słychać. Dym idzie do góry. Pożary zaczęły się. Zrozumiałem ja, że to Anglicy nalot na miasto zrobili. Bo więcej nie ma komu. Nie dostrzegł nasz kochany Hitlerek jak przelecieli nad Niemcami i biją, podli faszyści, po Związku Radzieckim! Wybrali czas kiedy jesteśmy zajęci wywożeniem Polaków. A może nawet specjalnie, jako faszyści, chcą przyjść z pomocą polskim faszystom i przeszkodzić likwidacji ich. Ale im to darmo nie ujdzie. Ja sam nawet po jednym aeroplanie trzy razy z pistoletu wystrzeliłem i pewnie trafiłem dobrze, bo widziałem jak zachwiał się w powietrzu.

Tymczasem nalot się skończył. Wylazłem ja z dołu, w którym ukryłem się od odłamków bomb i biegnę do domu. A po drodze do mnie jakiś bojec krzyknął:

— Niemcy miasto bombardują!

— Anglicy, a nie Niemcy! Dureń jesteś! — krzyknąłem ja do niego.

Przybiegłem ja do domu, a tam nauczycielki okna zamykają, które poprzednio pootwierały żeby im szyby od wybuchów bomb nie wyleciały. Odemknąłem ja swój pokój i widzę: w oknach ani jednej całej szyby nie ma. Wówczas poszedłem ja do nauczycielek i pytam:

— Maria Iwanowna, moja droga, co to się dzieje?

— A czy pan jeszcze nie wie?!

Nie zrugałem ja jej za „pana" i dalej grzecznie z tą zarazą rozmawiam.

— Nic nie wiem dokładnie. Przypuszczam, że to Anglicy zrobili nalot na Wilno.

Umyślnie powiedziałem nie Vilnius, lecz Wilno, żeby tym burżujkę udobruchać. A ona patrzy na mnie. Ale jak patrzy? Tak, jakby mnie rogi urosły. A potem mówi:

— Gdzież tam Anglicy! To Niemcy bombardują miasto i zaczęli ofensywę.

— Jakie Niemcy?

— No Niemcy... hitlerowskie... Czy pan i tego nie wie?!

— Ale jakże im na to Hitler i Stalin pozwolili?! Chyba Hitlera już nie ma!

— Toż właśnie Hitler wojnę przeciw wam zaczął.

Poczułem ja, że w oczach mi ciemno robi się, a w głowie szumieć zaczęło. Oparłem się o ścianę i omal nie upadłem. Ale Maria Iwanowna zimnej wody mi napić się przyniosła. Oprzytomniałem ja dopiero w swoim pokoju. Położyłem się na łóżku i ze dwie godziny bez ruchu leżałem. Tak od razu zasłabłem. Potem do koszar pobiegłem, żeby czegoś więcej dowiedzieć się. Patrzę: w koszarach nie ma nikogo. Tylko kilka naszych oficerów biega, którzy — jak i ja — na prywatnych mieszkaniach żyli.

Okazało się, że sztab już uciekł z miasta, a pułk nasz na dworzec skierowano. Zacząłem ja ganiać po mieście, bo nie wiedziałem, co robić? Ale przekonałem się, że żadnych naszych władz już nie ma. Wszyscy pouciekali. I kiedy oni zdążyli — pojęcia nie mam! Ani Komendantury nie ma, ani NKWD. Tylko ciężarówki jeszcze jeżdżą i Polaków na dworzec według spisów wożą. Wiadomo: rozkaz władz spełniają, bo chyba nie był odwołany. A władze dawno fju-fju! I śladu nie ma po nich.

Wróciłem ja do domu dopiero późnym wieczorem. Okazało się, że rzeczywiście Hitler uderzył na Związek Radziecki. Sam komunikat naszego radia słyszałem: „...Zezwierzęceni hitlerowcy napadli na Związek Radziecki, ale drogo za to zapłacą!"

Może i drogo zapłacą, ale co mi z tego? Co ja mam teraz robić?... Widziałem już kilku naszych oficerów w cywilnych ubraniach. A ja, jak dureń, walizki i katarynki kupowałem. Teraz nawet przebrać się nie mam w co. A hitlerowcy, jak słyszałem, całą parą naprzód walą i może wkrótce tu będą. Ich NKWD takich gości jak ja na pewno w robotę weźmie i na niemiecki Sybir do łagrów wyśle.

Trzeba było zawczasu dowiedzieć się: jak Niemcy postępują z tymi, którzy im sami poddają się. Mam ja trochę różnych wiadomości wojskowych, to bym im chętnie wszystko opowiedział. Ale czort ich wie! Może u nich z nami rozmowa krótka. Kula w kark i po wszystkim. Pożałowałem ja bardzo, że do nauczycielek za surowo odnosiłem się. Ale kto to wiedział, że takie zmiany nadejdą. Teraz i poradzić się nie ma kogo. I o pomoc poprosić nie ma jak.

Przypomniał mi się kontrik Kola i jego słowa: „...za 20 lat w tej samej książce, lecz w innym wydaniu, będzie napisane... jeśli Armia Czerwona gdzieś od kogoś dostanie w skórę, to tylko dlatego, iż Stalin był kapitalistycznym agentem i zwycięstwu przeszkodził". Zgadł Kolka. Wielka to prawda! Bo Trocki zdradził Rosję w 1920 roku. A dlaczego zdradził? Bo był Żyd, więc co go tam ruski naród obchodził!... A teraz ten... bo.... też jest obcy. To znaczy Gruzin. Po tym nosie paskudnym i po wąsach widać, że to dobry numer! Zwąchał lepszy interes za granicą, albo się dowiedział, że go chcą zlikwidować prawdziwi ruscy patrioci, więc Hitlerowi za dolary sprzedał się. A o tej przyjaźni Hitlera dla naszego narodu, to on umyślnie trąbił, żeby czujność proletariacką uśpić!... W ten sposób zrozumiałem ja od razu całą jego reakcyjną robotę. Bo, pierwsza rzecz: jeśli nie był on pewien Hitlera, to po co go zawsze i wszędzie wychwalał i materiałami wojennymi wspomagał? Druga: Jeśli go Hitler rzeczywiście wykiwał i durnia z niego zrobił, to cóż on wart?!... W takim razie nawet Morgałow jest sto razy od niego mądrzejszy, bo dawno wojnę z Niemcami przewidywał, ale za to z całą rodziną do łagru trafił. A może dlatego Morgałowa Stalin unieszkodliwił, że budził on czujność proletariatu...?

Złość mnie ogarnęła. Porwałem się na nogi. Stanąłem przed portretem Stalina, który, zdawało mi się, do portretu Hitlera porozumiewawczo oko robi i spytałem go:

— Jakże tam poszło tobie z naszym wiernym przyjacielem? Powiedz mi to, nauczycielu nasz i wodzu kochany! Chyba ty zgłupiałeś na stare lata zupełnie, albo takim samym zdrajcą jesteś jak Trocki!

A on nic.

Więc ja portret jego ze ściany zdjąłem i patrzę w tę fałszywą gruzińską mordę. A on milczy... Wówczas ja tak do niego przemówiłem:

— Tato twój uczciwym proletariuszem i szanowanym szewcem był. Trzeba było i tobie się wyuczyć porządnie buty szyć. Ale nie lubiłeś uczciwej pracy, więc zacząłeś na popa się kształcić. Tylko rozumu na to miałeś za mało, więc wygnali ciebie z seminarium jak sobakę. A teraz znów durniem okazałeś się!... Nie! Nie twoje miejsce w tym honorowym kącie!

Położyłem ja portret Stalina na krześle, a na jego miejscu powiesiłem portret Hitlera i czerwoną lampkę przed nim zapaliłem. A Stalina jak kopnę, to tylko szkło posypało się z ramy i portret w górę frunął, i za piec upadł. Nawet z tej sytuacji wykręcił się, bo zamierzałem ja go w drobne kawałeczki podrzeć. Polazłem ja na piec, ale w żaden sposób portretu dostać nie mogłem, bo w dół zsunął się. Plunąłem ja tylko tam i zlazłem.

Potem stanąłem ja przed portretem Hitlera i patrzę mu w oczy. Od razu zrozumiałem, że jest on bardzo mądrym i ideowym wodzem. A jaki odważny! Tyle już państw zagarnął, a teraz jednocześnie Anglię i Rosję wziął w robotę. I to jak wziął! Sam przekonałem się.

Stanąłem ja na kolana przed portretem Hitlera i nisko jemu pokłoniłem się. Zrozumiałem ja, że to ON właśnie prowadzi ludzkość do lepszego życia i walczy o dobro proletariatu. Że on prawdziwy socjalizm może na świecie ustanowić.

Bardzo ja pożałowałem, że nie mogę na jego cześć niemieckiego „Internacjonału" zaśpiewać. Nawet tego nie wyuczyłem się, zaślepiony fałszywą stalinowską propagandą.

C.D.N.